

**RICKY GERVAIS, STEPHEN MERCHANT
KARL PILKINGTON**

Idiota za granica



Idiota za granicą

**RICKY GERVAIS, STEPHEN MERCHANT
KARL PILKINGTON**

Idiota za granicą

Z języka angielskiego przełożyła
Dorota Kaczor



WYDAWNICTWO
SONIA DRAGA

Tytuł oryginału:

AN IDIOT ABROAD

Copyright © Karl Pilkington 2010

Introduction and Conversations © Ricky Gervais and Stephen Merchant 2010

Photography Copyright © Rich Hardcastle, Freddie Clare

and Ray Burmiston, 2010

Illustrations Copyright © Dominic Trevett, 2010

Published by arrangement with Canongate Books Ltd,

14 High Street, Edinburgh EH1 1 TE.

Copyright © 2012 for the Polish edition by Wydawnictwo Sonia Draga

Copyright © 2011 for the Polish translation by Wydawnictwo Sonia Draga

Zdjęcia: Rich Hardcastle i Freddie Clare

Ilustracje: Dominic Trevett

Wykonanie okładki: DT Studio s.c.

Redakcja: Jolanta Olejniczak-Kulan

Korekta: Wioletta Bagnicka, Aneta Iwan

ISBN: 978-83-7508-642-3

Sprzedaż wysyłkowa:

www.merlin.com.pl

www.empik.com

WSTEP

KARL PILKINGTON



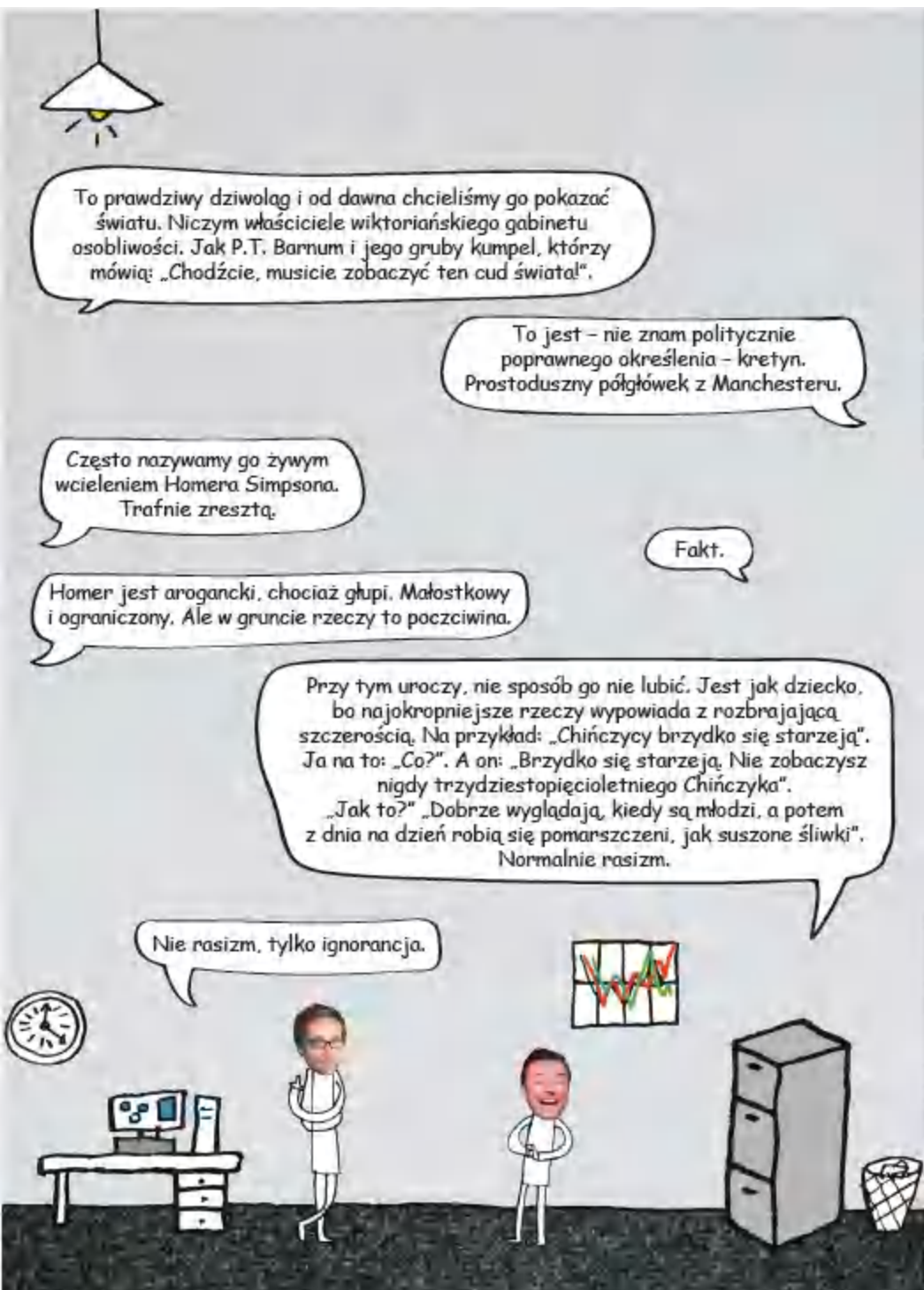
„TO JEST - NIE ZNAM POLITYCZNIE
POPRAWNEGO OKREŚLENIA - KRETYN.
PROSTODUSZNY PÓŁGŁÓWEK Z MANCHESTERU”.

RICKY GERVAIS

„BYŁBY SZCZĘŚLIWSZY, GDYBY ŻYŁ
W ŚREDNIOWIECZU, KIEDY LUDZIE NIE
WYSTAWIALI NOSA POZA SWOJE WIOSKI”.

STEPHEN MERCHANT





To prawdziwy dziwoląg i od dawna chcieliśmy go pokazać światu. Niczym właściciele wiktoriańskiego gabinetu osobliwości. Jak P.T. Barnum i jego gruby kumpel, którzy mówią: „Chodźcie, musicie zobaczyć ten cud świata!”

To jest – nie znam politycznie poprawnego określenia – kretyn. Prostoduszny półgówek z Manchesteru.

Często nazywamy go żywym wcieleniem Homera Simpsona. Trafnie zresztą.

Fakt.

Homer jest arogancki, chociaż głupi. Małostkowy i ograniczony. Ale w gruncie rzeczy to poczciwina.

Przy tym uroczy, nie sposób go nie lubić. Jest jak dziecko, bo najokropniejsze rzeczy wypowiada z rozbijającą szczerością. Na przykład: „Chińczycy brzydko się starzeją”. Ja na to: „Co?”. A on: „Brzydko się starzeją. Nie zobaczysz nigdy trzydziestopięcioletniego Chińczyka”. „Jak to?” „Dobrze wyglądają, kiedy są młodzi, a potem z dnia na dzień robią się pomarszczeni, jak suszone śliwki”. Normalnie rasizm.

Nie rasizm, tylko ignorancja.



On naprawdę tak myśli. Tłumaczę mu: „Wielu najstarszych ludzi na świecie to Chińczycy”. „Jasne”. Jego zdaniem kłamią. Ci chińscy starcy mają tak naprawdę trzydzieści pięć lat, tylko oszukują co do swojego wieku, bo „brzydko się starzeją”. No po prostu idiota. Te jego teorie, poglądy na życie. Gdyby nie dziewczyna, nigdy nie ruszyłby się z domu.

Byłby szczęśliwszy, gdyby żył w średniowieczu, kiedy ludzie nie wystawiali nosa poza swoje wioski. Tam czułby się dobrze.

Tak, siedząc i wymyślając własne teorie na temat księżyca.

Przerazony, że nie wie, co się z nim dzieje w ciągu dnia.

Tak, to wyjątkowy osobnik. Przydałoby się poszerzyć jego horyzonty, a podobno podróże kształcą, więc myślę, że fajnie byłoby go wysłać w podróż dookoła świata.

Już wcześniej wyjeżdżał, ale tylko na krótkie, dwutygodniowe wakacje w jakieś bezpieczne miejsce typu Majorka.

Gdyby nie jego dziewczyna, nic by nie robił. W domu odpowiada za zmywanie. Lubi to, bo już to kiedyś robił. Gdy dzwonię do niego, często słyszę: „Właśnie zmywam”, jakby to było jakieś doniosłe wydarzenie. Któregoś dnia zaczął pisać pamiętnik, pozmywał naczynia i zaniósł buty dziewczyny do szewca. Dawno nie słyszałem tego słowa. Szewcy jeszcze istnieją?



Nie wiem. Myślałem, że już tylko w książkach.

No właśnie. I ta dziewczyna siłą wyciąga go na wakacje. Kiedy rezerwuje wyjazd, on mówi: „Muszę jechać, żeby nie zostać w domu sam”. Jeśli zostaje, zapomina jeść. Raz z radia, gdzie kiedyś pracował, przysłano nam maila, który wysłał przez pomyłkę. To był mail od jego dziewczyny - tego wieczoru wychodziła i zostawiła mu szczegółowe instrukcje, gdzie w lodówce leży quiche i co z nim zrobić. Że ma je pokroić, i dopisała nawet „zjeść”.

Pamiętasz, jak raz próbował odgrzewać paluszki rybne w tosterze?

Kielbaski.

A jakże. Nie, to były kielbaski.

Dziewczyna wraca do domu i pyta: „Co ty wyrabiasz?”. Zapominał też o picciu, więc się dorobił kamieni w nerkach.

To typowy Angol, nie lubi ruszać się z domu. Ma koło siebie wszystko, co lubi i z czym się czuje bezpiecznie. Nawet jadąc na urlop, zabierze ze sobą kilka torebek herbaty. Boi się wszystkiego, czego nie rozumie, i uważa, że go to nie interesuje. Strasznie nas korci, żeby go zmusić do wyjścia z tej skorupy. Chcemy zobaczyć, jak się odnajdzie w innych kulturach, wśród innych ludów, i przekonać się, czy to w jakiś sposób zmieni jego postrzeżenie świata.





Muszę przyznać, że motywy Stephena są dużo szlachetniejsze od moich. On chce, żeby Karl czerpał z tego przyjemność.

Sporo podróżuję, byłem w wielu egzotycznych miejscach na świecie i naprawdę uważam, że podróże kształcą. Stałem się przez to wewnętrznie bogatszy...

A ja chcę, żeby się męczył. Dla własnej rozrywki chcę, żeby nienawidził każdej sekundy tego doświadczenia. Poślijmy go klasą turystyczną, załatwmy noclegi w barakach i obskurnych hotelach. Postarajmy się, żeby doznał najgorszego upodlenia. Będzie śmiesznie. Nie ma nic zabawniejszego niż Karl przyparty do muru i dźgany kijem. Ja jestem tym kijem i mam za sobą potęgę telewizji. To najlepszy i najdroższy kawał, jaki w życiu zrobiłem. Będzie super.

Liczę, że gdzieś dosłownie podźgają go kijem.

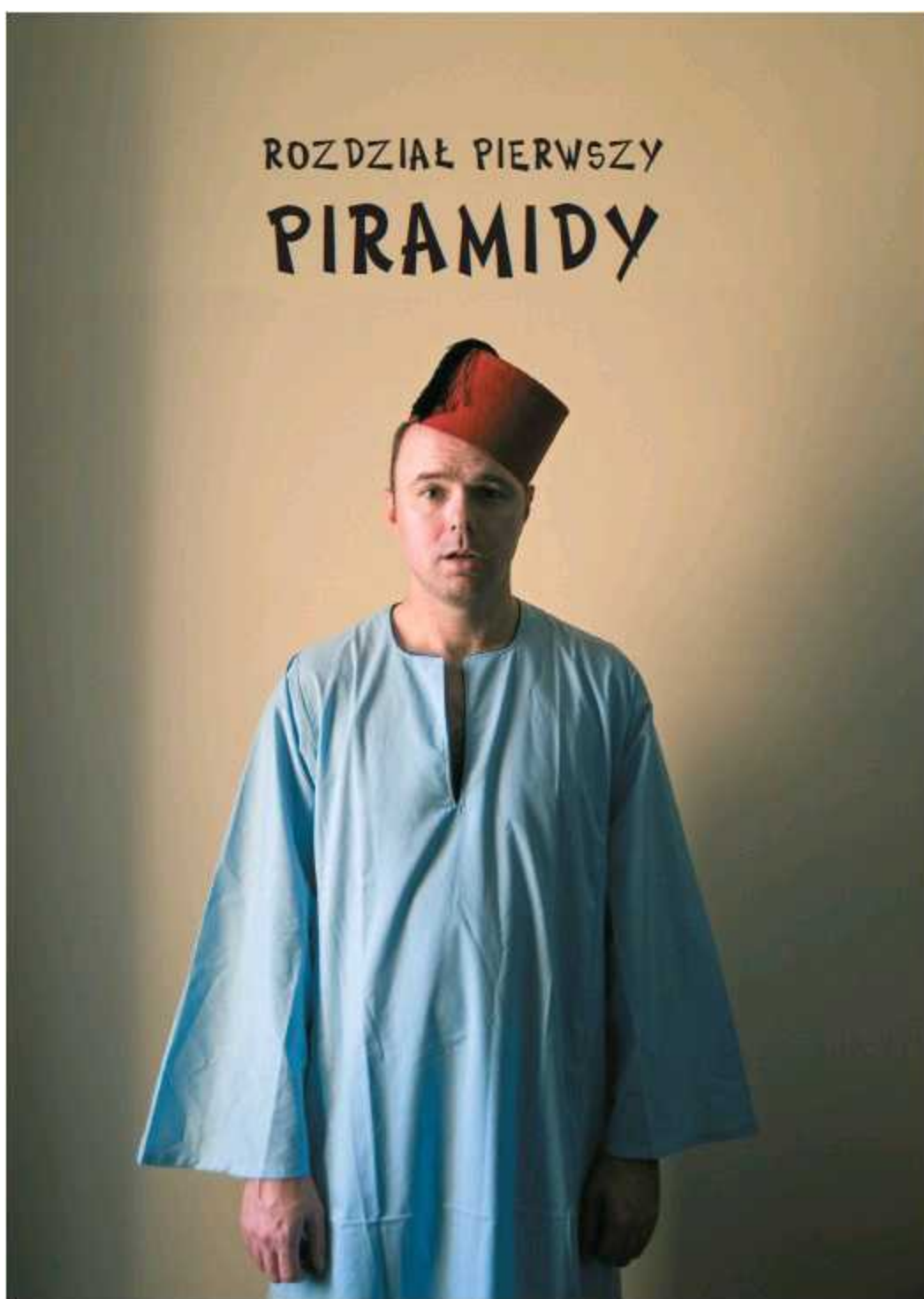
Właśnie. A gdzie tak robią?

Nie wiem, ale musi być taki kraj.

Na pewno. Może to któreś z tych dziwnych państweczek, gdzie prawo zezwala dźgnąć kijem każdego napotkanego gościa z okrągłą tyśa głową. Znajdź mi to państwo!



ROZDZIAŁ PIERWSZY
PIRAMIDY



„WSPINAJĄC SIĘ NA PIRAMIDĘ, POMYŚLAŁEM
O MOŚCIE WATERLOO W MOIM UKOCHANYM
RODZINNYM LONDYNIE – BUDOWLI RÓWNIĘ
PIĘRNEJ I MAJESTATYCZNEJ, A ZARAZEM
RÓWNIĘ BEZUŻYTECZNEJ I SAMOTNEJ”.

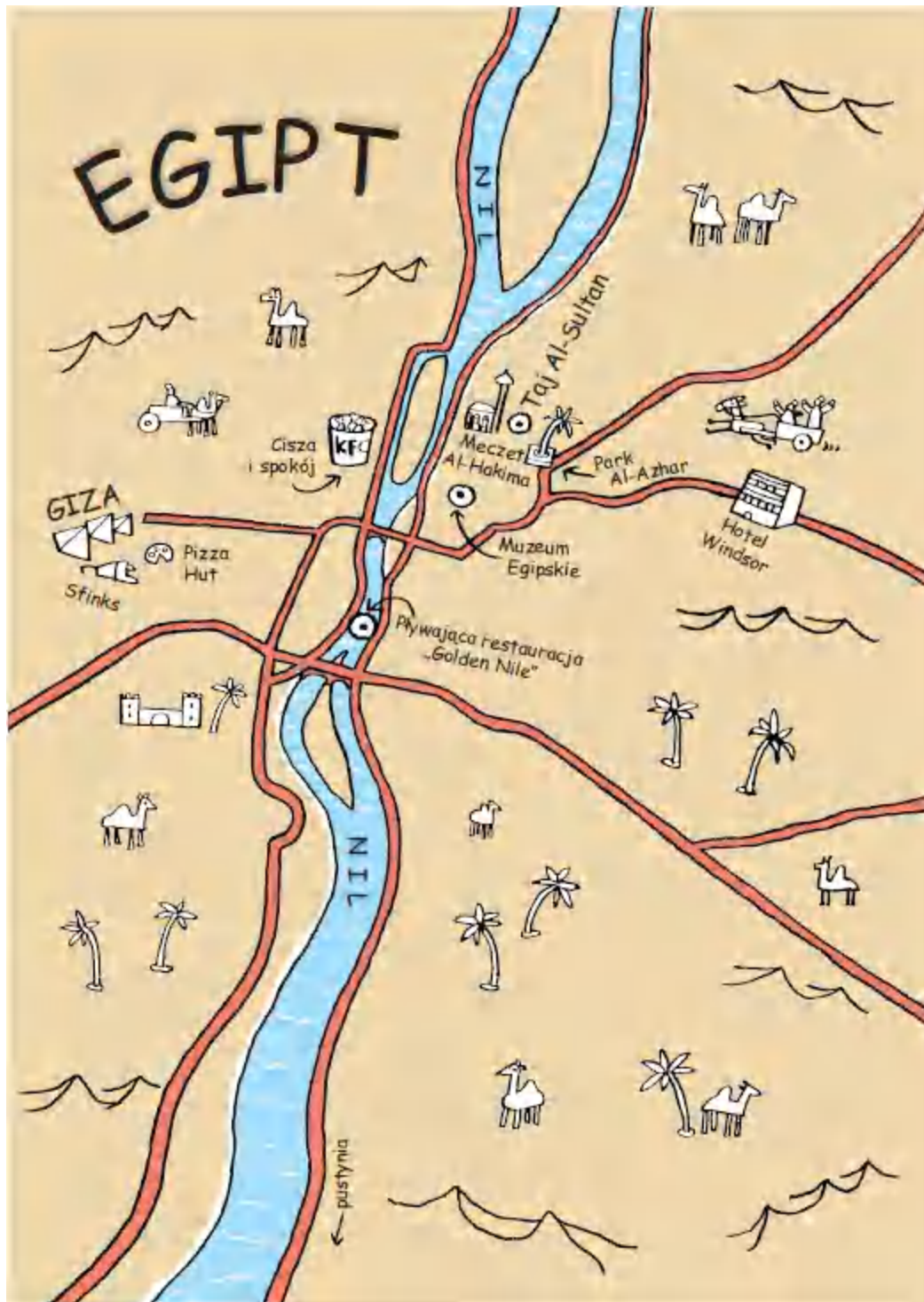
WILLIAM MAKEPEACE THACKERAY

„JESTEM ZASKOCZONY, W JAKIM STANIE SĄ
TE PIRAMIDY. MYŚLAŁEM, ŻE MAJĄ GŁADKIE
BOKI, ALE Z BLISKA WIDAĆ, ŻE TO USTAWIONE
JEDEN NA DRUGIM GIGANTYCZNE KŁOCE.
WYGLĄDA TO JAK WIELKA PARTIA JENGI,
KTÓRA SIĘ WYMKNĘŁA SPÓD KONTROLI”.

KARL PILKINGTON



EGIPT



Piątek 17 października

Moja wyprawa do siedmiu cudów świata rozpoczęła się dziś od wycieczki do lekarza na szczepienia. Nigdy wcześniej przed wyjazdem na wakacje nie musiałem brać zastrzyków. Zwykle staram się nie jeździć w niebezpieczne rejony. W czasie wakacji chcę się czuć jak w domu, tyle że gdzie indziej. Kiedy raz wybraliśmy się do Cotswolds i nie mogłem dostać innego mleka niż pełne, prawie zdecydowałem się wracać do domu, więc ta podróż będzie dla mnie dużym wyzwaniem.

Zarejestrowali mnie w przychodni w pobliżu Tottenham Court Road w Londynie. Dziwne, bo ta okolica słynie głównie ze sklepów z artykułami elektrycznymi. To jakby iść do chińskiej dzielnicy na curry. Powiedzieli mi, że muszę wziąć sześć zastrzyków: przeciwko tężcowi, durowi brzuszemu, żółtej febrze, wściekliźnie oraz zapaleniu wątroby A i B. Spytałem, czy wszystkie mogę dostać w tyłek, bo właśnie się przeprowadziłem i będę potrzebował sprawnych rąk, kiedy przywiozą mi nową pralkę. (Domyślam się, że Michael Palin nie miał takich problemów.) Pielęgniarka odparła, że jeszcze nikt jej nie prosił o zrobienie zastrzyków w pośladek, że za bardzo się przejmuję i że mojej ręce nic nie będzie.

Zaszczepiła mnie i powiedziała, że jestem teraz zabezpieczony na każdą, nawet najgorszą ewentualność, na przykład ugryzienie przez brudną małpę. Odparłem, że właśnie dlatego mamy problem z przeludnieniem — po co chronić idiotów, którzy drażnią brudne małpy?



Sobota 18 października

Całe szczęście, że nie wziąłem zastrzyków w tyłek, bo cały dzień musiałem na nim siedzieć, czekając na dostawę pralko-suszarki. Powiedzieli, że będą między ósmą a osiemnastą. Niezły rozrzut, cała sobota sparana.

Wstałem za dziesięć ósma. Pralka przyjechała o siedemnastej czterdzieści. Po jej zamontowaniu w kuchni rozboleła mnie ręka.



Poniedziałek 23 listopada

Dziś trochę nagrywaliśmy z Rickym i Steve'em. Powiedzieli mi, jakie kraje odwiedzę w czasie podróży: Egipt, Brazylię, Indie, Meksyk, Chiny, Jordanię i Peru. Muszę przyznać, że do żadnego z nich nigdy mnie nie ciągnęło. Gdyby nie te cuda, wątpię, czy większość ludzi by tam jeździła. My z Suzanne jeździmy przeważnie do Cotswolds, Devonu, Hiszpanii albo Włoch. Nie jestem zapalonym podróżnikiem. Nie lubię wyzwań, zbyt wielu zmian. Wolę wyskoczyć na tydzień, żeby odpocząć, niekoniecznie poszerzać horyzonty. Niespecjalnie szukam przygód. Może obejrzałbym te cuda świata, gdyby możliwe były podróże w czasie. Jednak miło wspominać wakacje na Majorce w pięciopokojowej willi z basenem, które kosztowały jedyne trzysta funtów za tydzień, więc pewnie użyłbym wehikułu czasu, żeby tam wrócić, bo przynajmniej wiem, że było fajnie, a w dodatku nie musiałbym drugi raz płacić.

Steve mówił, że w niektórych rejonach niekiedy jest niebezpiecznie. Krish, nasz producent, pocieszył, że nie mam co się bać, bo będzie nam towarzyszył uzbrojony facet, który w razie czego nas ochroni. W tej sytuacji perspektywa ugryzienia przez chorą na wściekliznę brudną małpę nie jest już taka straszna.



Środa 25 listopada

Musiałem porobić badania, żeby się upewnić, czy mój organizm sobie poradzi z takim wyzwaniem, jakim jest podróż dookoła świata. Trafiłem do bardzo eleganckiej przychodni przy Harley Street. Poznałem, że to ekskluzywne miejsce, bo wszystkie krzesła w poczekalni wyglądały tak samo, a to rzadkość. Lekarze, których odwiedzałem, mieli przeważnie każde krzesło z innej parafii, kupowane w różnym czasie. Zawsze kojarzy mi się to ze świętami, kiedy się pożyczają krzesła od sąsiadów, żeby pomieścić rodzinę przy stole.

Podobno jakość usług w gabinecie lekarskim można określić na podstawie czasopism leżących w poczekalni. Przy Harley Street mieli ich mnóstwo. Wszystko, czego można sobie życzyć, i parę takich, które niekoniecznie chce się oglądać. Na przykład pismo gejowskie „Boyz”. Siedziałem sam w poczekalni, więc postanowiłem zerknąć, co tam czytują geje. W środku do czytania wiele nie było, bo przeważały zdjęcia półnagich facetów (głównie od pasa w dół) w strojach mechaników, farmerów i hydraulików ze sprzętem na wierzchu. Nigdy nie rozumiałem, co ich kręci w oglądaniu takich obrazków, przecież mają własne fiuty, na które mogą się pogapić. Oprócz zdjęć były luźne kawałki tekstu, głównie gry słowne krążące wokół tematu klejnotów. Zapamiętałem jedną: Suckcocko. To było zwykłe sudoku, tylko z przerobioną nazwą.

Lekarz mnie zbadał i stwierdził, że jak na swój wiek jestem w dobrej formie. Pierwszy raz ktoś połączył mój wiek ze stanem zdrowia. Poczułem się strasznie stary.



Środa 9 grudnia

Przyjechali po mnie o wpół do piątej rano i zawieźli na lotnisko, gdzie czekał samolot do Kairu. Sześć godzin później byliśmy już w drodze do hotelu. Nie powiedzieli ani słowem, z kim się spotkam, co będę zwiedzał i co jadł. Najwyraźniej na tym polega ta cała zabawa i wiem, że będzie mnie to irytować, bo nie lubię być zaskakiwany. Wystarczy mi jajko-niespodzianka.

Pierwsze, co mnie uderzyło w Egipcie, to ruch uliczny. Jakieś kompletne szaleństwo. W latach osiemdziesiątych The Bangles śpiewały piosenkę o chodzeniu jak Egipcjanie, ale tu nikt nie chodzi — wszyscy jeżdżą. Z każdej trzypasmowej jezdni robią sześciopasmową i upychają w autach absurdalne ilości ludzi. Siedzą przyciśnięci do okien jak te pluszowe Garfieldy, które się dawniej przyklejało do szyb. W ciągłym użyciu są klaksony, ale pewnie dlatego, że ci stłoczeni pasażerowie naciskają je przypadkiem tyłkami.

Jechaliśmy bardzo długo. Wszystkie przyzwoicie wyglądające hotele zostawialiśmy za sobą, aż w końcu stanęliśmy przed budynkiem o nazwie The Windsor. To jeden z najstarszych hoteli w Kairze, usytuowany w jednej z najbardziej szemranych okolic. Jakby na potwierdzenie przy wejściu zamontowali bramkę z wykrywaczem metali. Kiedy przechodziłem, pasek od spodni uruchomił alarm. Ja się wystraszyłem, za to strażnik nawet się nie obudził.

Jeden z najstarszych hoteli ma też stosowny personel. W Anglii nie zatrudnia się w hotelach ludzi w tym wieku. Jakiś dziadek przyniósł moją walizkę z samochodu. Zaparkowaliśmy tuż przed wejściem, a jednak zajęło mu to tyle czasu, ile mnie wypełnienie papierów i pobranie klucza w recepcji. Przypomniało mi się, jak się przeprowadzałem i znalazłem firmę, która była tańsza od wszystkich innych — brała dziesięć funtów za godzinę. Zrozumiałem swój błąd dopiero, gdy się pojawił pracownik. Musiał mieć z siedemdziesiąt lat. Pół godziny wdrapywał się po schodach na trzecie piętro. Cały się spocił, a niósł tylko puste pudła. W sumie ta przeprowadzka kosztowała nas majątek.

Inny facet zaprowadził mnie do pokoju — na drugim piętrze, obok miejsca, gdzie się zbierają sprzątaczkі. Mocno się zdziwiłem. Nie tym, że akurat tam się zbierają, ale że hotel zatrudnia sprzątaczkі. Najwyraźniej był to też magazyn, bo pod drzwiami stało pianino, a na szafie w pokoju jeden na drugim pięć telewizorów.

Facet zaprezentował mi cały pokój: „Tu telefon. Tam łazienka”. Coś jeszcze mówił, ale nie dosłyszałem, bo podłoga trzeszczała, a z za okna dobiegał uliczny

hałas. W pokoju stały dwa łóżka przedzielone wiszącą na ścianie jarzeniówką, w świetle której liczne zacieki stały się widoczne w całej okazałości.

Zszedłem na dół do reszty ekipy i przy wejściu natknąłem się na właściciela hotelu. Nie wiem, czy specjalnie na mnie czekał, żeby się upewnić, czy wszystko gra, czy może przyszedł na lekcje gry na pianinie. Na oko podchodził pod siedemdziesiątkę, wyglądał elegancko, ale miał zmęczoną twarz. Pochwalił się, że w jego hotelu nocował raz Michael Palin[1]. Jeżeli Palin zatrzymywał się w takich miejscach, nie dziwota, że objechał świat w osiemdziesiąt dni. Najwyraźniej chciał jak najszybciej wrócić do domu.

Potem właściciel przedstawił mi swojego ojca, staruszka, który miał co najmniej dziewięćdziesiąt lat. Żałuję, że go poznałem. Gdybym go nie zobaczył, łatwiej byłoby mi zażądać lepszego pokoju.





O szesnastej zamówiliśmy obiad. Większość kolegów wzięła kebaby z kurczaka, z wyjątkiem kamerzysty Jana, który jest bardziej od nas zaprawionym podróżnikiem. Kiedy jadąc przez Kair, gadaliśmy o najgorszych miejscach, w jakich byliśmy, i ja wspomniałem o beznadziejnym tygodniu spędzonym na Lanzarote, Jan powiedział, że przeżył trzy miesiące na Antarktydzie.

W końcu o wpół do szóstej na stole pojawiło się jedzenie. Właściwie opuściło kuchnię dziesięć minut wcześniej, ale leciwy personel bardzo powoli się ruszał.

Położyłem się do łóżka. Zasnąłem, licząc dźwięki klaksonów za oknem.



Czwartek 10 grudnia

Dziś rano poznałem Ahmeda. To tutejszy ekspert od piramid i w ogóle historii Egiptu. Bałem się, że go nie zrozumie, ale mówił po angielsku lepiej ode mnie. Równie dobrze mógłby do mnie mówić po egipsku, bo wiele angielskich słów, których używał, słyszałem pierwszy raz w życiu.

Zaprowadził mnie do meczetu. Religia i modlitwa to w Egipcie ważna rzecz. Ahmed modli się pięć razy dziennie. Ja bym nie wytrwał. Ledwo pamiętam, żeby pięć razy dziennie jeść owoce. W moim życiu religia nie odgrywała większej roli. Nie jestem ochrzczony. Mama przestrzegała, że bym się tym za głośno nie chwalił, bo stanę się dobrym celem dla czarownic. Do dziś nie wiem, co chciała przez to powiedzieć.

Ahmed wierzy, że po śmierci trafiamy do miejsca, które jest pod każdym względem idealne. Powiedziałem mu, że ja jestem całkiem zadowolony ze swojego obecnego życia. W idealnym świecie Ahmeda nie trzeba, na przykład, chodzić do toalety. Ja na to, że wizyta w kiblu to jedna z najprzyjemniejszych chwil dnia. Wtedy jestem sam i w spokoju mogę się oddać rozmyśleniom.

Chociaż po zobaczeniu egipskich toalet nawet rozumiem, dlaczego Ahmed tak uważa. To są zwykłe dziury w podłodze z węzłem do spłukiwania.

Po rozmowie pojechaliśmy do starej części Kairu zwiedzić bazar.

Bazary składają się z sieci wąskich, wyboistych uliczek pełnych furgonetek i motorowerów. Stoiska oferują głównie ciuchy z bawełny i wełny. Handlarze nachalnie namawiają do kupowania wszelkiej maści tandety.

Chciałem kupić miejscowy strój dla Ricky'ego, bo on lubi chodzić po domu w czymś wygodnym. Przeważnie jest to piżama, w której potrafi siedzieć do piątej po południu. Dość szybko znalazłem odpowiedni, ale utargowanie dobrej ceny zajęło mi czterdzieści pięć minut. Wolałbym, żeby od razu przyczepiali metki z ceną, to by wszystkim oszczędziło czasu. A tak wyskakujesz rano po chleb i nie ma cię parę godzin. Jedynym plusem takiego sposobu kupowania jest to, że unikasz tej krępującej sytuacji, gdy ci braknie paru pensów i musisz prosić sprzedawcę, żeby ci odpuścił.

Minęliśmy człowieka z klatkami pełnymi żywych królików i gołębi. Sprzedawał je jako żywność. Nigdy nie jadłem królika, ale też nigdy nie miałem go w domu w charakterze zwierzątka. Fajny pomysł, kupujesz króliczka jako maskotkę, a potem, kiedy opiekowanie się nim staje się zbyt kłopotliwe, zjadasz go. Gdyby świnki morskie nie były tak drogie, pewnie też byśmy je jedli.

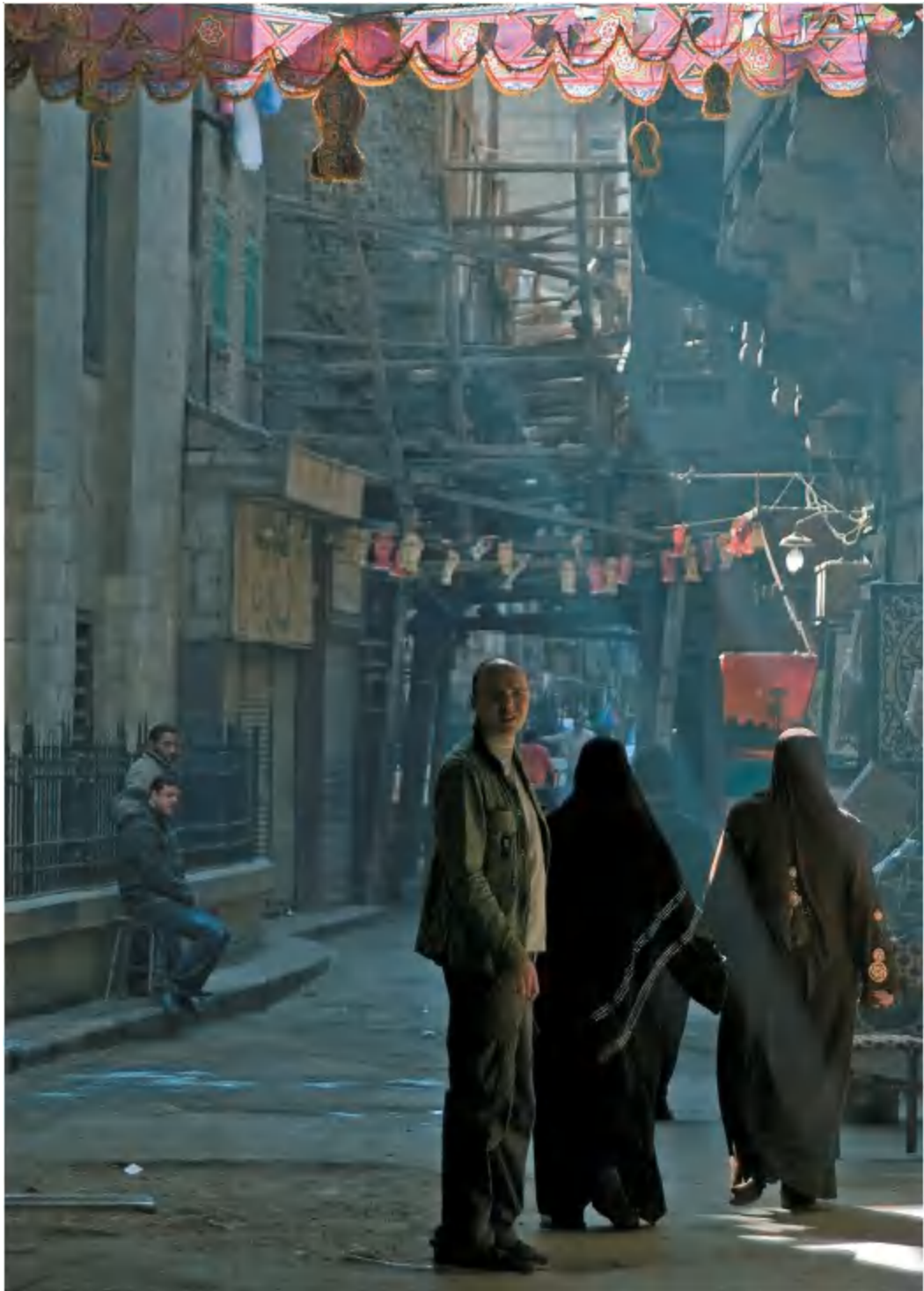
Nowy bazar także wypełniały tandetne pamiątki dla turystów. Chusty, popielniczki, pluszowe wielbłądy, plastikowe piramidy. Choć nie planowałem przed wyjściem żadnych zakupów, wracałem, mając w ręku plastikowego kota i figurkę orła dla mojej mamy. Mam nadzieję, że się ucieszy, bo swego czasu miała dwa ptaszki, ale jeden zdechł, więc zastąpiła go kamyczkiem, do którego przykleiła piórko z jego skrzydełka, żeby Kes, ten drugi, nie czuł się taki samotny. Pomyślałem, że ten orzeł z bazaru dobrze się nada na zastępstwo.

Zatrzymałem się na herbatę, ale nie powiem, żeby to była chwila relaksu, ponieważ ciągle nagabywali mnie handlarze usiłujący mi wcisnąć portfele, okulary, zapalniczki, papierosy, wisiorki, pierścionki i zegarki.

Po raz pierwszy na własne uszy usłyszałem muezinów. Trudno to przegapić.

To jedyny moment, gdy klaksony na ulicach są zagłuszone przez nawoływania do modlitwy dolatujące z różnych części miasta.

Wszystko zamiera. Tylko raz widziałem coś podobnego, kiedy jako osiemnastolatek pracowałem w drukarni. Wszyscy drukarze, pakowacze i krajacze punktualnie o jedenastej przerywali pracę, żeby posłuchać audycji Simona Batesa w pierwszym programie BBC.



W tych zawodzeniach panuje konkurencja; każda część miasta chce być głośniejsza od innych. Wszyscy się w to angażują. Nic dziwnego, nie sposób od tego uciec. Człowiek odruchowo zaczyna myśleć o religii, choć wcześniej wcale o niej nie myślał. Coś jak wtedy, gdy na dźwięk dzwonka lodziarza nabieramy nagle ochoty na lody. Kiedy dorastałem, o religii przypomiąłem sobie tylko w niedzielę, kiedy wieczorem nadawali w telewizji *Pieśni pochwalne*. To był zawsze dla mnie znak, że czas wziąć cotygodniową kąpiel.



Piątek 11 grudnia

Wczoraj wieczorem dzwonił Ricky. Marudził, że się nie odzywam. Podobno zostawił mi pełno wiadomości z prośbą o telefon, ale nie mam jak się do nich dostać, bo zablokowałem sobie komórkę, wstukując cztery razy zły kod. Powiedziałem mu, że ciągle mogę odbierać SMS-y, ale każdy kosztuje mnie jakieś siedemdziesiąt pensów.

Ahmed zabrał mnie dziś do Muzeum Egipskiego. Nie podobało mi się wcale. Było dokładnie tak, jak się spodziewałem. Nigdy nie lubiłem łązić po muzeach. Poza tym wiele z tych rzeczy widziałem już w Londynie, kiedy w Millenium Dome urządzono wystawę skarbów Tutenchamona. Wtedy też nie chciałem iść, ale moja dziewczyna Suzanne umówiła nas tam ze swoim bratem. Wyglądało tak samo jak tutaj. Pełno gablot z jakimiś starymi ozdobami pomalowanymi na złoto. Nawet zwłoki Tutenchamona leżały w jednej z nich. Większość ludzi bardziej się podniecała obecnością wśród zwiedzających słynnej Jilly Goolden, tej od wina.

Ahmed powiedział, że muzeum ma zostać rozbudowane, żeby pomieścić więcej turystów. Moim zdaniem to tylko zachęci pracowników do wstawienia jeszcze większej ilości gablot. Ciekawe, że już tysiące lat temu ludzie mieli tyle kłopotów. Jedyнным sposobem, żeby się ich pozbyć, było zakopanie ich pod

ziemią, a potem przyjechał jakiś archeolog i wszystko wygrzebał. Ludzie zawsze lubili gromadzić rupiecie.

A co z mailem? Możesz odbierać maile w telefonie?

Mogę, ale wolę nie, bo za każdy bułę siedemdziesiąt pensów czy coś koło tego. Dzisiaj dostałem maila z Oxfamu z pytaniem, czy nie chcę znowu kupić kozy. Skasowało mnie na funta.

Płacisz, nawet jak nie odbierzesz?

Jeśli dotrze do mojej komórki, kasują mnie. Więc niech ci do głowy nie przyjdzie podsyłać mi swoje zdjęcia z głupimi minami.

No to kretyn z ciebie, bo teraz będę ci co kilka minut wysyłał maila albo SMS-a. Po co mi mówisz takie rzeczy?

Nie wiem.



Pewnie dlatego wymyślono lofty; można tam upchać cały dobytek życia, zamiast go zakopywać.

Ahmed mówił, że wiele z tych przedmiotów wykonano specjalnie dla faraonów, żeby mogli je ze sobą zabrać na tamten świat. Gdybym żył w tamtych czasach, chyba bym się wkurzał, słysząc co chwila:

- Witaj, królu Karlu. Mam dla ciebie wspaniały prezent.
- Naprawdę? Pokaż.
- Nie, to na później, kiedy umrzesz.
- Ale ja wolę teraz.
- Nie można, jest zapakowany. Dopiero po twojej śmierci...
- Przestań ciągle gadać o mojej śmierci!

Raczej sam powinienem decydować, co zabrać ze sobą na tamten świat. Przynajmniej miałbym czas zorganizować wyprzedaż garażową, żeby się pozbyć najmniej lubianych rzeczy.



Wyszedłem z muzeum, bo już nie mogłem wytrzymać. Za dużo ludzi, wszyscy się rozpychają. Niektórzy przyszli nawet z rozwrzeszczanymi bachorami w wózkach. To chyba nie jest najlepsze miejsce dla dzieciaka.

Zauważyłem po drugiej stronie ulicy KFC, więc poszedłem, bo potrzebowałem czegoś, co mi przypomni dom. Chciałem złożyć zamówienie, ale dziewczyna za ladą pokazała mi napis. Że co? Restauracja prowadzona przez głuchoniemych? Potem wskazała na planszę z menu. Była tam instrukcja, jak zamawiać, co właściwie sprowadzało się do pokazania palcem wybranej pozycji. Zawsze tak zamawiam, kiedy jestem za granicą. Poszło szybko i sprawnie. Bałem się, że nikt nie będzie znał angielskiego i nie dam rady zamówić ulubionego zestawu. Okazało się, że milczenie znacznie ułatwia życie.

Fajnie posiedzieć w knajpie, w której nie ryczy muzyka, a pracownicy nie przekrzykują się jak maklerzy na Wall Street. Obsługa jest sympatyczna i szybka, bo nie zajmuje się plotkowaniem pod maszyną do shake'ów, jak to zwykle bywa w większości sieciowych restauracji. Zauważyłem gościa, który używał wideotelefonu do rozmowy na migi. Nigdy nie pomyślałem o takim zastosowaniu. W domu często oglądaliśmy programy telewizyjne z napisami, ale nie dlatego, że ktoś w rodzinie nie słyszał, tylko dlatego, że tata pracował po nocach i musieliśmy być cicho.

Dziś zadzwoniła Suzanne. Była zła, bo bojler w domu szwankuje, a jeszcze przed wyjazdem prosiła mnie, żebym go naprawił. Zawsze mam kłopoty z bojlerami.

Ricky przysłał SMS-a: „70p”.



Sobota 12 grudnia

Wczoraj wieczorem chodziłem w galabiji, którą kupiłem dla Ricky'ego. Potrzebowałem czegoś wygodnego, żeby się odprężyć, więc ją rozpakowałem i przymierzyłem. W końcu w niej zasnąłem. Fajny ciuch, leciutki i wygodny. Gdybym mieszkał w tym kraju, mógłbym go używać jako piżamy, a rano wystarczyłoby wstać za pięć dziewiąta i prosto z łóżka iść do roboty. Pewnie dlatego lekarze chodzą w tych jasnoniebieskich piżamach. Śpią w nich, a jak mają dyżur i ktoś ich budzi w środku nocy, są gotowi do pracy.

Jedyną wadą galabiji jest brak zaznaczonej talii, więc możesz nie zauważyć, kiedy zaczniesz tyć.

Wczoraj zadzwonił Steve. Powiedziałem mu, że wizyta w muzeum była stratą czasu. Wkurzył się, ale zaproponował mi wycieczkę statkiem po Nilu. Nie powiem, żebym był zachwycony. Godzinami przebywasz w ograniczonej przestrzeni w towarzystwie obcych ludzi, bez możliwości ucieczki. Powiedziałem mu, że jak dla mnie to za bardzo zorganizowana forma rozrywki, ale nie miałem innych planów, więc się zgodziłem.

Spotkałem się z kierownikiem. Elegancki gość koło sześćdziesiątki z włosami ufarbowanymi na czarno i pomalowanymi oczami. Oprowadził mnie po wielkim na trzy piętra statku, przedstawił załogę, kucharzy i jednego milczącego typa, którego zadaniem jest nurkowanie w rzece i wydobywanie wszystkiego, co upuszczą nieostrożni turyści. Podobno nieraz musiał wyławiać aparaty fotograficzne, zegarki czy biżuterię. Kiedy kierownik mi to opowiadał, stał przede mną cały ubrany na ciemno, w golfie wsuniętym do spodni, i wyglądał jak czarny charakter z *Tożsamości Bourne'a*. Zapytałem, czy też mogę coś wrzucić do Nilu, żeby zobaczyć, jak tamten nurkuje. Zgodził się, więc zadowolony poszedłem coś zjeść.

Jedzenie było dobre. Wziąłem zupę, indyka z warzywami, a na deser ciasto czekoladowe.

Potem musiałem odsiedzieć obowiązkowy program artystyczny złożony z popisów gościa, który kręcił się w kółko przez piętnaście minut, egipskiego komika o irytującym głosie i tancerki brzucha. Nie jestem amatorem tego

rodzaju rozrywki. W życiu nie byłem na striptizie ani w klubie go-go, więc nie wiedziałem, jak się zachować. Wypada się gapić na tyłek i cycki tańczącej dziewczyny czy wyjdę na zboczeńca? Ale jeśli będę się gapił w talerz, to znowu czy się nie obrazi? W końcu robiłem po trosze jedno i drugie.



Okazało się, że byłem jedynym zapisanym na oficjalną wycieczkę po Kairze organizowaną przez Hotel Windsor.



Przymierzam galabię Ricky'ego.



Powiedzieli, że dzięki temu nie spale sobie głowy na słońcu.



Po pokazie poszedłem poszukać kierownika i jego znajomego nurka. Spytałem, czy naprawdę mogę coś wrzucić do wody. Odparł, że tak, nie ma problemu. Poprosiłem, żeby jeszcze dla pewności spytał nurka, ale stwierdził tylko, że jeśli on mu coś każe, tamten wszystko robi. Powiedziałem, że chcę wyrzucić za burtę moją egipską komórkę, ale nie bardzo mu się spodobał ten pomysł. W końcu ustaliliśmy, że wyrzucimy solniczkę. Wcześniej jednak kierownik zaproponował oklejenie jej odblaskową taśmą, żeby była lepiej widoczna w zamulonych wodach Nilu. Zacząłem wątpić, czy nurek jest w stanie wyłowić solniczkę i jeszcze raz spytałem kierownika, czy jego kolega na pewno nie ma nic przeciwko. Znowu odpowiedział za niego: „Skądże”.

Już miałem rzucać, kiedy kierownik mnie powstrzymał i kazał poczekać, aż statek podpłyne bliżej brzegu, gdzie jest słabszy prąd i płytsza woda. To już pachniało lipą. Potem kierownik zszedł ze statku i pokazał mi dokładnie, w którym miejscu wrzucić solniczkę. Zaraz, czyli ten gościu umie wyławiać tylko te rzeczy, które pasażerowie upuścili za burtę blisko brzegu, gdzie jest słaby prąd, przypadkiem okleili je wcześniej odblaskową taśmą i w dodatku uprzedzili go o tym?

Nagle między kierownikiem a nurkiem wywiązała się kłótnia. Spytałem, co się stało. Kierownik odpowiedział, że nurek nie chce tego zrobić. Ja na to, że nie ma sprawy, w ogóle bym nie pytał, gdyby nie poruszył tego tematu. To trochę popsuło wieczór. Według mnie kierownik po prostu tak bardzo chciał nam zaimponować, że był gotów poświęcić i wyrzucić za burtę swojego pracownika.

Powiedziałem, że indyk był pyszny i odszedłem.

Dziwny wieczór.





Niedziela 13 grudnia

Byłem dziś w mieście i w pewnej chwili poczułem burczenie w brzuchu. Powiedziano mi, że na bazarze są kible. Okazało się, że to płatny szalet publiczny, ale trudno, poszedłem, bo czułem, że to nie będą pieniądze wydane na darmo.

Tyle tylko, że nie zabrałem ze sobą gotówki. Minąłem więc dziadka, który pilnował wejścia, i wszedłem do środka. Otwarłem pierwszą kabinę, a tam tradycyjna egipska toaleta. W drugiej i trzeciej to samo. Już miałem skorzystać z pisuaru, ale kabina numer cztery uratowała sytuację. Znajdował się w niej zwykły, klasyczny sedes, jak na zachodzie. Wpadłem do środka, zamknąłem drzwi i już miałem siadać, kiedy zauważyłem, że nie wszystko jest jak u nas. Brak papieru, tylko kran z gumowym węzem. Myślałem, czy by nie zaryzykować, ale jakoś nie wierzę, że można się dobrze umyć, używając tylko węża. To tak, jakby próbować umyć samochód samym węzem. Nie da rady, brud tylko się rozprysnie. Trzeba wziąć gąbkę. Chciałem wyjść z kabiny, ale nie mogłem, bo się okazało, że nie ma klamki. Znalazłem się w pułapce. Walilem w drzwi, ale nikt nie przyszedł. Dziadek przy wejściu mnie nie słyszał, prawdopodobnie z powodu zawodzenia muezina. Dobrze, że nie zapłaciłem. Strasznie tam śmierdziało, nie było papieru ani klamki. Próbowałem zadzwonić do Krisha i Christiana, ale nie miałem zasięgu. Nawet usiąść nie mogłem, bo nie było deski.

Tkwiłem tam z dziesięć minut, aż wreszcie ktoś otworzył drzwi.

— Nie ma klamki — ostrzegłem.

To był Anglik. Wyjaśnił mi, że najpierw trzeba zapłacić, wtedy dostaje się klamkę. W życiu o czymś takim nie słyszałem.

— Lepiej zacząłby sprzedawać papier, bo tutaj nie ma — mruknąłem.

Anglik wyjął z torby rolkę i odparł, że nie rusza się bez niej z hotelu.

Wszedł do kabiny. Zastanawiałem się, czy na niego nie poczekać i nie poprosić o pożyczenie kawałka papieru, ale nie chciało mi się tam dłużej sterczeć.

Dołączyłem do Krisha i Christiana. Nawet się nie zorientowali, że nie było mnie pół godziny. Byli zajęci wymyślaniem, gdzie by tu zjeść.

— Masz jakieś specjalne życzenia? — spytał mnie Krish.

Było mi wszystko jedno.

— Może być gdziekolwiek, byle mieli kible — odparłem.

Zabrali mnie do luksusowej restauracji prowadzonej przez niejakiego George'a.

Właściciel powiedział, że da mi spróbować tradycyjnej egipskiej kuchni. Od razu się zaniepokoiłem. To, co dotąd widziałem, składało się przeważnie z brązowawej mazi, w której macza się chleb. Nie przepadam za tego rodzaju potrawami. Humus czy kuskus to nie jest dla mnie prawdziwe jedzenie.

Skorzystałem za to z toalety. Była ładna i czysta, a drzwi miały klamki. Wypas.

Musieliśmy czekać na zamówienie ponad czterdzieści minut. Właściciel George usiadł przy mnie, a ja próbowałem potraw. Wyglądały dobrze. Wziąłem po jednym kęsie z każdej, a potem zadawałem pytania. Okazało się, że właśnie próbowałem byczego mózgu, ozora, oka oraz fiuta i jaj. Kto normalny je takie rzeczy? Po co brać takie wielkie zwierzę jak byk i zjadać oba końce zamiast tej pysznej, mięsistej części w środku?

W sumie przyjechałem do Egiptu, żeby doświadczyć czegoś nowego, a to zdecydowanie była dla mnie nowość. Normalnie wołowinę jadam we wtorki.

Mój żołądek zachowywał się dużo spokojniej w porównaniu z tym, co wyprawiał rano. Myślę, że zjedzenie tylu dziwnych rzeczy wprawilo go w szok, więc przed pójściem spać schrupałem jeszcze kilka przywiezionych z Anglii delicji, żeby dać mu coś, do czego jest przyzwyczajony.



Poniedziałek 14 grudnia

Poznałem dzisiaj miejscowego chłopaka, Mahmuda. Ma dwadzieścia dwa lata i zarabia na życie, organizując przejażdżki wielbłędami wokół piramid. Zaprosił mnie do swojego domu. Drzwi ma otwarte dla każdego — nawet dla swojego wielbłąda. Trochę to dziwne, mnie nie wolno trzymać w mieszkaniu nawet kota, takie mam warunki najmu.

Zaraz po wejściu skorzystałem z ubikacji, bo wczorajsze bycze jaja chyba mi nie posłużyły.



Lunch w egipskiej Pizza Hut. Mała Chicken Supreme w zestawie z kuskusem. Kuskus zostawiłem.



Nie tylko wielbłąd jest wykończony.



Pół godziny później uprawiałem na nim woltyżerkę.

Ubikacja była zajęta. Przez kurę. Mahmud ją przegonił. Już miałem mu powiedzieć, że kiedyś supermarket, w którym pracowałem, dostał mandat z inspekcji sanitarnej za przechowywanie chińskich zupek w toalecie dla personelu, ale i tak miał duże trudności ze zrozumieniem mojego akcentu. Zapytałem, gdzie mogę umyć ręce. Pokazał na kuchenny zlew, w którym też była kura, tym razem nieżywa i oskubana, w otoczeniu pływających w wodzie marchewek i ziemniaków. W ogóle się nie przejął, że myję ręce nad jego obiadem.

Żona Mahmuda siedziała na podłodze i obierała ziemniaki. Mahmud powiedział, że mógłby mieć cztery żony, ale na razie jest tylko ta. Zapytałem z ciekawości, czy na drugą żonę wybrałby całkiem inny typ kobiety. Ja bym tak zrobił. Królowna Śnieżka miała siedmiu krasnoludków, dzięki czemu mogła się cieszyć pełnym zestawem męskich cech. Stwierdził, że tym razem wzięłby silniejszą. Powiedział to tak, jakby mówił o kupnie nowego samochodu.

Zrobiło się trochę niezręcznie, więc wyszliśmy z domu i pojechaliśmy pod piramidy.

Nigdy przedtem nie siedziałem na wielbłądzie. To nie jest najwygodniejsze zwierzę do jazdy wierzchem. Głównie przez ten garb. Poza tym miałem pietra, bo kiedy ostatnio dosiadałem zwierzęcia, konkretnie konia na jakimś festynie przed laty, spłoszył się, ponieważ jakaś baba zgasła mu na zadzie papierosa. Ześliznąłem się z siodła i oberwałem z kopyta.

Mahmud prowadził nas dosyć uczęszczanymi drogami, więc nie wzbudzaliśmy zachwytu, bo tamowaliśmy ruch. W końcu dotarliśmy na pustynię, ale z powodu burzy piaskowej niewiele było widać. Drobne ziarenka piasku bombardowały mi twarz. Sądząc po tym, jak Egipcjanie lubią na wszystkim zarabiać, aż dziwne, że izba turystyki nie reklamuje tego jako dodatkowej atrakcji: „Dzień na pustyni podczas burzy piaskowej — najskuteczniejszy peeling na świecie”.

Postanawiamy wrócić jutro.



Wtorek 15 grudnia

Znowu pojechałem pod piramidy, tym razem autem. Dzisiaj był tłok. Dotarliśmy wcześniej, a i tak nie byliśmy pierwsi. Przy bramie zbierały się całe autokary ludzi. Najpierw jest Sfinks. Średnio mi się to podoba — lew z głową człowieka. Kilku ludzi sprzedawało jego figurki. Sfinksowi brakuje nosa, więc siłą rzeczy jego modele też go nie mają, przez co wyglądają na uszkodzone.

Jestem zaskoczony, w jakim stanie są te piramidy. Myślałem, że mają gładkie boki, ale z bliska widać, że to ustawione jeden na drugim gigantyczne kłocce. Wygląda to jak wielka partia jengi, która się wymknęła spod kontroli.

Dowiedziałem się, że tylko jedną z trzech stojących tam piramid zaliczono do siedmiu cudów świata. Dziwne, bo wszystkie wyglądają tak samo. To piramida Cheopsa, zwana też Wielką Piramidą. Gdybym był budowniczym którejś z pozostałych, wkurzyłbym się, że kolega, który pracował przy tej ważniejszej, zbiera wszystkie zaszczyty. Nie zdziwiłbym się, gdyby to właśnie jeden z budowniczych pozostałych piramid odrąbał ze złości nos Sfinksowi, kiedy się o wszystkim dowiedział.

Z przykrością stwierdzam, że na żywo nie robią takiego wrażenia jak na zdjęciach. Zawsze myślałem, że stoją na środku pustyni i dokoła nic nie ma, a w rzeczywistości za nimi widać bloki, obok wejścia jest Pizza Hut, no i w dodatku wkoło leży pełno gruzu.

Jutro mam się wybrać na wycieczkę z przewodnikiem.



Środa 16 grudnia

Znowu pojechaliśmy pod piramidy. Miałem się tam spotkać z doktorem Hawassem, najważniejszym człowiekiem sprawującym nad nimi opiekę, ale w ostatniej chwili odwołał spotkanie z powodu choroby. Moim przewodnikiem został więc niejaki Aladin, człowiek, który wie o piramidach wszystko.

CIEKAWOSTKI KARLA

W Egipcie jest tak naprawdę 118 piramid,
nie tylko te trzy, o których wszyscy mówią.



Piramidę Cheopsa zbudowano z około 2,3 miliona
bloków skalnych ważących średnio po 2,5 do
10 ton. Szacuje się, że robotnicy musieli kłaść
jeden blok co dwie i pół minuty.

W wyniku przemieszczania się skorupy ziemskiej
w ciągu ostatnich 4500 lat Wielkie Piramidy stoją
teraz prawie 5 kilometrów na południe od miejsca,
gdzie je pierwotnie zbudowano.



Nawet budowniczy mieli swoje grobowce.
Kiedy jedna Amerykanka spadła z konia w Gizie,
okazało się, że kamień, o który koń się potknął,
to fragment olbrzymiego cmentarza liczącego
ponad 600 grobów.



Strasznie się nimi podnieca. Nie rozumiem tego. Przecież nie jest jakimś kierownikiem budowy, który codziennie przyjeżdża i patrzy, jak rosną — one wyglądają tak samo od lat i nigdy się nie zmieniają ani nie zostaną wykończone.

Zaczął zachwalać, w jaki sposób je zbudowano. Nie lubię takiego sposobu zwiedzania, przypomina raczej lekcję historii. Za dużo dat do zapamiętania. Patrzyłem po innych turystach — też mieli rozczarowane i niepewne miny. Zupełnie jakby nie wiedzieli, co teraz robić, kiedy już zobaczyli piramidy. To jak z odwiedzinami w szpitalu: pogadałeś o pierdołach, wręczyłeś owoce i chciałbyś się zmyć, ale czujesz, że jeszcze nie wypada. Ja tak właśnie się czułem.



Czwartek 17 grudnia

Krish powiedział, że mam się dziś spotkać z małżeństwem, które ma patent na wykorzystanie piramid, i że będzie okazja wejść do środka. Chyba pierwszy raz od przyjazdu jestem podekscytowany.

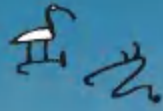
Pojechałem do nich do domu. Nazywają się Andrew i Seija, prowadzą biznes o nazwie Galactic Light i dość często wchodzą do wnętrza piramid, żeby — jak tłumaczą — „nawiązać kontakt z siłami Kosmosu, z Siatką Jedności lub inaczej Siatką Chrystusową oplatającą Ziemię, a także z Atlantydą. Ponieważ piramida Cheopsa to centralny punkt tej siatki, jest połączona ze wszystkimi świętymi budowlami na Ziemi oraz z centrum wszechświata i centrum naszej planety. To wspaniały i niezwykły monument wykraczający poza czas i przestrzeń”.

Tu trochę zgłupiałem. Ja tylko chciałem zobaczyć, jak wyglądają w środku, bo z zewnątrz mnie rozczarowały.

Za to Andrew i Seija mieli fajne mieszkanie, z kibla roztaczał się piękny widok na piramidy. Pokazali mi, jak się relaksować, i nauczyli kilku mantr, które

mieliśmy odmówić, kiedy znajdziemy się na miejscu.

Wbrew obiegowej opinii wewnątrz piramid
nie znaleziono ani jednej mumii.
Te odnajdywano głównie w Dolinie Królów.



Żeby obalić inny popularny mit, powiem,
że w piramidzie Cheopsa nie ma hieroglifów
ani żadnych innych form pisma.



Wszystko szło fajnie i rzeczywiście zacząłem się wyluzowywać, ale nagle rozległo się zawroźenie muezina. Megafon znajdujący się pod oknem salonu ryczał dobre dwadzieścia minut. Głównie z tego powodu nigdy nie mógłbym mieszkać w Egipcie. Pytałem Andrew, czy kupując mieszkanie, wiedzieli o tym megafonie. Założę się, że koleś z agencji nieruchomości przywoził ich tu specjalnie między modlitwami. Kiedy już znałem na pamięć parę pieśni, zjedliśmy hamburgery z frytkami i ruszyliśmy pod piramidy. Było już późno, ale mieliśmy specjalne pozwolenie na przebywanie na terenie piramid po godzinach otwarcia dla turystów. Niesamowite uczucie: pusto, żadnych wielbłądów, handlarzy, ani jednego autokaru. W dodatku zapadł zmrok.



Weszliśmy do piramidy Cheopsa i wspięliśmy się po stromych stopniach jakieś sto pięćdziesiąt metrów w górę (tak mówili Seija i Andrew). Potem musieliśmy na kolanach precyzyjnie się przesuwać przez wąski otwór do pomieszczenia zwanego Komnatą Króla. Nie potrafię ocenić, jak duże ono było, ale myślę, że na upartego weszłoby tam z pięćdziesiąt osób.

Ściany całe z różowego granitu robią wrażenie, ale kamienny sarkofag w głębi wygląda już gorzej. Bloki ociosane były jak, zupełnie jakby na tym etapie budowy (po dwudziestu trzech latach) wszyscy mieli już dosyć i śpieszyli się, żeby jak najszybciej skończyć. To tak, jak się stawia dobudówkę w domu i po wszystkim zostaje cała lista poprawek typu pęknięty tynk czy poluzowane gniazdko, które w sumie zajmują więcej czasu niż sama budowa.

Sarkofag nie był przykryty, w środku nie było też mumii.

Andrew i Seija zapalili świece. Pomysł nie okazał się najlepszy, bo w środku i tak można się było upiec z gorąca. Żadnej wentylacji ani wyjścia pożarowego. Nie odzywałem się jednak, bo nie chciałem zepsuć nastroju. Zaczęli odśpiewywać mantrę. Potem Seija zaprowadziła mnie pod sarkofag i kazała się w nim położyć. Nie wiedziałem, że to planowali, ale śpiewali cały czas, więc nie miałem jak im przerwać, żeby spytać, co jest grane. To jedno z najdziwniejszych doświadczeń w moim życiu. Leżałem nieruchomo w kamiennej trumnie, która ma ponad cztery tysiące lat, a dwoje obcych ludzi zawodziło nad moją głową. Trwało to może pięć minut, potem oboje pomogli mi wyjść, a moje miejsce zajęła Seija.

Zanim opuściliśmy piramidy, spytała, czy choć trochę poczułem działanie sił kosmicznych. Chciałem powiedzieć, że tak, ale to byłaby nieprawda. Postanowiłem być z nią szczery — wyglądała na zawiedzioną.

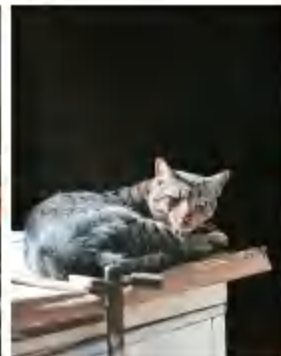


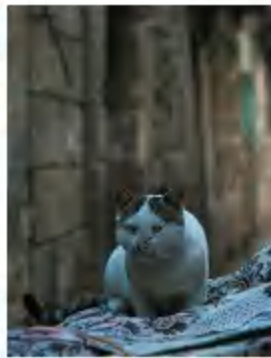
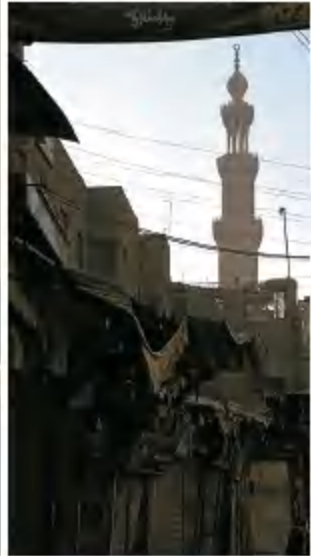
Mimo całej dziwacznej otoczki przeżycie okazało się jednak niesamowite i pomyślałem, że choćby dla niego warto tu było przyjechać. Ile osób może się pochwalić, że leżało w trumnie przy świecach w samym środku jednej z piramid?

Poza tym tylko wtedy nie słyszałem wokół zawodzenia muezinów, trąbienia samochodów ani żadnych innych hałaśliwych dźwięków.









ROZDZIAŁ DRUGI
POMNIK CHRYSYTA ZBAWICIELA

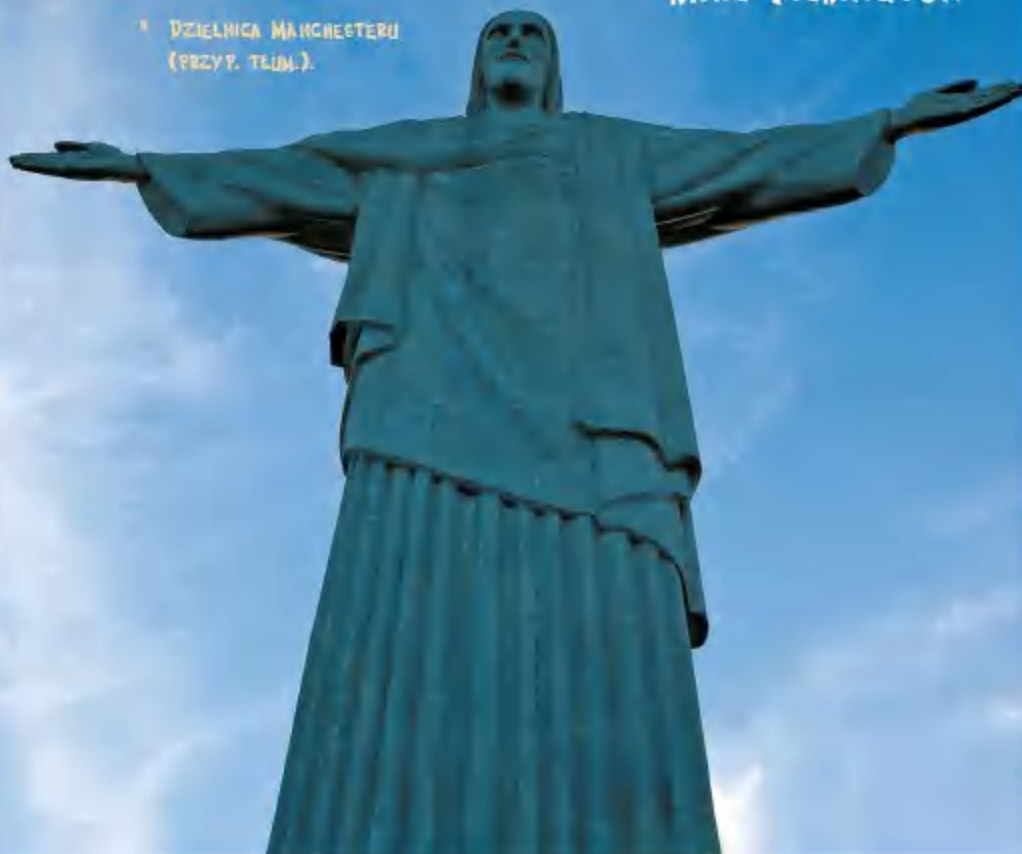


„NIE OBAWIJ SIĘ, ŻE SPOTKA CIĘ ROZCZAROWANIE:
WSPINACZKA NA POMNIK ZA DNIA JEST NIEZWYKŁYM
PRZEŻYCIEM, A NOCĄ WRĘCZ OSZAŁAMIAJĄCYM”.
Z PRZEWODNIKA THE ROUGH GUIDE TO BRAZIL

„JESTEM PEWIEN, ŻE GDYBY STANĄŁ
NA ŚRODKU RONDA W STRETFORD*, OBLOK CENTRUM
HANDLOWEGO ARNDALE, NIE MIAŁBY SZANS”.

KARL PILKINGTON

* DZIELNICA MANCHESTERU
(PRZYP. TŁUM.).





Wtorek 9 lutego

Gdy wychodziliśmy z lotniska, uderzył nas koszmarny upał. Nigdy nie pocę się na głowie, ale dzisiaj dosłownie ze mnie kapało. Nawet uszy mi się pocily. Ricky i Stephen obiecywali, że ta podróż przyniesie mi nowe doświadczenia, ale nie spodziewałem się, że obejmą one spocone uszy.

Kiedy jechaliśmy w słońcu, mijając złote piaski Ipanemy, powiedziałem do kamery, że bardzo się cieszę na pobyt w Rio i na pewno będzie mi się podobało. Potem dotarłem na miejsce noclegu, do hostelu Piratas de Ipanema, i mina mi zrzędała.

— Regulamin przewiduje, że każdy korzystający z kuchni sprząta po sobie — poinformował mnie właściciel hostelu, Fredericko, zanim zdążyłem postawić walizki.

— No to chyba musisz jeszcze raz przeczytać ten regulamin gościowi, który tu był ostatni — odpowiedziałem.

Panował tam straszny syf. Wszędzie kubki z resztkami kawy, zgniecione puszki po piwie, brudne sztucce i niedojedzone jogurty, w których dobroczynne bakterie na pewno już dawno dały się pokonać tym szkodliwym.

Fredericko to czterdziestosześcioletni hipis bardzo lubiany przez miejscową młodzież. Z twarzy nie schodził mu szeroki uśmiech, palił własnoręcznie skręcane papierosy i chodził w bielonych dżinsach z obciętymi nogawkami. Szkoda, że nie użył trochę tego wybielacza w kuchni zamiast na spodniach.

Zaprowadził mnie długą, krętą drogą do pokoju, w którym miałem zamieszkać. Najpierw był ciemny korytarz, gdzie stał tylko jeden wentylator pozbawiony osłony i podłączony gołymi drutami do gniazdka, skąd wydobywały się groźne trzaski. To mi przypomniało wycieczkę do Alcatraz. Mijali nas młodzi ludzie w szortach i strojach kąpielowych. Dalej były jakieś podejrzane schody,

potem niebezpiecznie chwiejąca się pod nogami galeria i w końcu dotarliśmy na miejsce — do ciemnej sali, w której upchnięto ze dwadzieścia łóżek. Płatało się tam pełno młodzieży; co chwila ludzie pojawiali się i znikali. „Ja tu nie pasuję, jestem za stary”, pomyślałem. Ostatnio poczułem się tak, kiedy jako czternastolatek zdecydowałem się wreszcie zapisać na pływanie. Większość dzieciaków była ode mnie młodsza, miała po siedem, osiem lat. Brała mnie za instruktora.

Fredericko zatrzymał się przy piętrowym łóżku obok okna.

— To jest najlepsze łóżko w hostelu — powiedział z dumą. Nie bardzo wiedziałem, dlaczego, dopiero jeden chłopak z Hull wytłumaczył mi, że kiedy w nocy zachce mi się sikać, mogę to zrobić przez okno, zamiast drałować do kibla. Cóż, to nie to samo co pokój z łazienką, ale chyba nie powinienem narzekać.

Mój materac miał straszne plamy. Wyglądał gorzej niż inne, ale to pewnie dlatego, że w dziennym świetle padającym z okna te plamy były bardziej widoczne. Na poręczy łóżka wisiały czyjeś majtki. Najpierw chciałem je przesunąć, ale zmieniłem zdanie, bo stwierdziłem, że będą odciągać ode mnie muchy.

Spytałem Christiana, naszego reżysera, ile tu biorą za noc. Powiedział, że cztery funty. A potem się pożegnał i z resztą ekipy poszli się zameldować w wynajętym domu przy Rua Saint Roman.

Postanowiłem wcześniej się położyć. Uspięło mnie brzdąkanie gitary jakiegoś chłopaka z sąsiedniego łóżka, który wyglądał na dziewięć lat.



Środa 10 lutego

Obudził mnie Christian przystawiający mi kamerę do twarzy. Musiało być koło siódmej. Całkiem dobrze mi się spało. Teraz wszystkie łóżka w sali były zajęte. Tu i ówdzie zwisała goła noga, gdzie indziej wyzierały spod majtek klejnoty,

czekając na pluskwy chętnie spożyć śniadanie w łóżku. Poszedłem się umyć. Łazienka była w jeszcze gorszym stanie niż kuchnia.

Pojechaliśmy na śniadanie do baru w supermarkecie, gdzie się kupuje dania na wagę. Fajny pomysł. Powinni go jeszcze zmodyfikować i kasować ludzi zależnie od tuszy. Jeśli jesteś gruby, płacisz trochę więcej, a to ci pomoże ograniczyć jedzenie. Wziąłem tosta i kawałek papai. Pierwszy raz ją jadłem. Dobra, ale gdyby ktoś mi powiedział, że już nigdy w życiu jej nie zjem, nie płakałbym. Ja tak mam z owocami. Ich jest po prostu za dużo na świecie, a nie lubię kupować wielkich ilości, bo szybko się psują. Pewnie dlatego każą nam jadać owoce pięć razy dziennie, żeby zużyć zapasy, zanim spleśnieją.



Po śniadaniu postanowiłem przede wszystkim poszukać jakiegoś taniego hotelu, bo nie zamierzałem spędzić kolejnej nocy u Fredericka. Wszędzie jednak mieli komplet ze względu na sezon karnawałowy. Przynajmniej tak mi mówili. A może w krótkich gaciach i wymiętej koszulce wyglądałem jak brudny niechluj i nie chcieli mnie u siebie widzieć. W mieście gościły Madonna i Beyoncé. Gdyby Madonna zobaczyła mnie w takim stanie, zaraz by mnie z litości zaadoptowała.

W końcu Christian i Krish stwierdzili, że mogę nocować z resztą ekipy w wynajętym domu przy Rua Saint Roman. To mi poprawiło humor.

Później dowiedziałem się, że jestem umówiony na spotkanie z człowiekiem, który mi pokaże Rio. Na imię miał Celso, liczył sobie czterdzieści siedem lat i chodził o lasce. I dobrze, bo przez to poruszał się wolniej, a przy tym upale to błogosławieństwo. Na powitanie od razu dał mi prezent — prezerwatywę na rzemyku. Rozpakowałem ją i zobaczyłem serię rysunków, na których dwóch facetów zakłada ją sobie nawzajem. Nie wiem, po co rysować aż tyle fiutów, do celów demonstracyjnych wystarczyłby jeden. Spytałem Celsa, czy jest gejem, ale nie odpowiedział.

Zabrał mnie za to do salonu kosmetycznego, bo chciał sobie woskiem wydepilować ciało. Zaprosił mnie do małej kabiny, żebym popatrzył. Mówił, że w Rio wielu facetów pozbywa się niechcianego owłosienia, bo wtedy ciało lepiej wygląda na plaży i lepiej się opala. Stwierdził, że ja mam za dużo włosów i też powinienem to zrobić. Odmówiłem. Celso powtarza zabieg co cztery miesiące. Spojrzałem na cennik. Usunięcie włosów z okolic odbytu kosztowałoby w przeliczeniu mniej więcej osiem funtów brytyjskich. Nie rozumiem, po co to komu. Żeby się opalić nawet tam? Celso opowiadał, że raz wydepilował sobie jądra i to bardzo bolało. Może dlatego chodzi o lasce?

Przyglądałem się chwilę i postanowiłem, że dam sobie usunąć włosy z dolnej części pleców. Rosną mi tam wyjątkowo długie. Fakt, że muszę je wsuwać pod majtki, uświadomił mi, że może czas się ich pozbyć.

Bolało, i to bardziej, niż się spodziewałem.

— Wystarczy, mam dość. — Chciałem wstać, ale Celso powiedział, że kosmetyczka usunęła dopiero połowę.

Po zakończeniu zabiegu Celso postanowił to uczcić, kupując nowe kąpielówki. Mnie też chciał sprezentować parę. Odparłem, że dziękuję, bo i tak nie skorzystam. Mimo to je kupił.

Dom, w którym zamieszkała ekipa, jest w porządku. Nic nadzwyczajnego. To niespokojna okolica i policja patroluje ulice, bo kilka tygodni temu przeprowadzono obławę na handlarzy narkotyków. Czujemy się więc dość bezpiecznie. Śpię na gołym materacu, nie mam światła w łazience, ale to i tak luksus w porównaniu z hotelem Fredericka.

Mamy kucharkę, ugotowała nam na kolację kurczaka z fasolą.



Czwartek 11 lutego

Dzisiaj Celso zabrał mnie na plażę. Spytał, czy wziąłem ze sobą nowe kąpielówki. Nie wziąłem. Wieczorem je przymierzyłem, ale prawdę mówiąc, nie spodobały mi się. Nie wiedziałem, jak mu to powiedzieć.

Odbyliśmy długi spacer wzdłuż brzegu, gadając o różnych sprawach, od codziennego życia w Brazylii po problem dzisiejszej młodzieży, której wszystko wolno. Spytałem, co mu się stało w nogę. Okazało się, że to ma jakiś związek z cukrzycą. Szliśmy chyba z godzinę, kiedy nagle stwierdził, że nogi go bolą i musi usiąść. Rozejrzałem się za wolnymi leżakami. Celso powiedział, że to jego ulubiony fragment plaży, znane miejsce spotkań gejów. Zaproponowałem, żebyśmy przeszli kawałek dalej, ale się uparł. Miałem wrażenie, że wszyscy go tam znają. Jeszcze raz więc spytałem, czy jest gejem. Nie odpowiedział mi wprost.

Czułem się niekomfortowo i trochę byłem zły, że przyprowadził mnie akurat

tam. Dlatego postanowiłem się nie odzywać. Celso tymczasem wiercił się na leżaku, luzując kołnierzyk koszuli. Za chwilę podszedł do nas jakiś jego znajomy. Ten dopiero wyglądał na geja. W życiu nie widziałem tak zniewieściałego gościa.

Nawet mówił jak gej. Wyobraźcie sobie, że Kenneth Williams[2] miałby jeszcze bardziej zniewieściałego brata — to byłby właśnie ten facet. Powiedział, żebym się wyluzował i zdjął część ciuchów. Odmówiłem.



Ja i Celso.



Odwrócone do góry nogami
wygląda tak samo.



Chowam się przed nudystami.



Nieży odłot, co?

Nawet jeśli wcześniej chciałem to zrobić, teraz nie było mowy. Celso natomiast bardzo chętnie zdjął szorty, prezentując koledze nowy zakup. Chciałem stamtąd iść. Kolega Celsa ocenił, że mam świetne nogi i miałbym powodzenie u brazylijskich gejów ze względu na posmak nowości. Ale dodał, że nie jestem w jego typie, bo on woli Murzynów. Cóż można na to powiedzieć? Skomentował też moje owłosienie i stwierdził, że geje zaklasyfikowaliby mnie jako tak zwanego „miśka”. I znów nie wiedziałem, co powiedzieć.

Ricky kiedyś stwierdził, że gdyby lwy mówiły po angielsku, i tak byśmy nie zrozumieli ani słowa, tak bardzo ich życie różni się od naszego. Dopiero teraz wiem, co miał na myśli.

Celso zafundował sobie masaż u miejscowego masażysty, niejakiego Nelsona Mandeli. Wyglądał, jakby mu to sprawiało dużą przyjemność.

Zagadnąłem jego kumpla, czy Celso jest gejem. Odparł, że on sam powinien mi na to pytanie odpowiedzieć. Spojrzałem na Celsa, który trzymał teraz głowę wciśniętą między uda Nelsona Mandeli i stwierdziłem, że spytam kiedy indziej.

Zostawiłem towarzystwo i wróciłem do domu.

Na kolację znów był kurczak z fasolą.



Piątek 12 lutego

Wstaliśmy wcześnie, o piątej. Dziś jedziemy pod pomnik Chrystusa Zbawiciela. To jest prawdziwy cel mojej podróży — dajmy sobie spokój z depilacją i opalaniem się na gejowskich plażach.

Wyruszyliśmy w drogę vanem wypożyczonym na czas pobytu w Rio. Dali nam do niego kierowcę, który się przedstawił jako Bin Laden. Smętny typ. Nie pozwalał nikomu dotykać klimy i nie chciał brać za dużo bagażu. Dotarliśmy pod

pomnik, kiedy akurat wschodziło słońce. Chrystus Zbawiciel nie jest tak duży, jak myślałem, ale to, że byliśmy tam sami, tak wcześnie, robiło szczególne wrażenie. Pomnik stoi tak wysoko, że można stamtąd ogarnąć wzrokiem całe Rio. Bóg wie, jak oni go tam wtaszczyli (koleś, który mi przywiózł pralkę, narzekał, że musi się wspinać na trzecie piętro). Pewnie dlatego uznali go za cud świata.

Drugi powód to, moim zdaniem, otoczenie. Jestem pewien, że gdyby stanął na środku ronda w Stretford, obok centrum handlowego Arndale, nie miałby szans.

Razem ze słońcem obudziły się latające mrówki. Były ich setki, małych i dużych. Nie wiem, czy to dobrze, żeby mrówki miały skrzydła. Są beznadziejne, jeśli chodzi o poruszanie się po ziemi. Obserwowałem je nieraz. Łażą w kółko po tych samych ścieżkach. Z lataniem jest jeszcze gorzej.

Zeszliśmy na dół na spotkanie z Dolores, przewodniczką, która jest zafascynowana pomnikiem. Po drodze zjadłem kokosa. Znowu coś nowego dla mnie. Jedzenie i picie w jednym. Wyglądał jednak inaczej niż te z supermarketu. Nie był owłosiony. Nie wiem, czy to tutejsza odmiana, czy po prostu Brazylijczycy nigdzie nie tolerują włosów i je wydepilowali.

Dolores nadjechała małą terenówką i zabrała mnie z powrotem pod pomnik, pokazując po drodze słynne obiekty, między innymi dom, w którym mieszkał Ronnie Biggs.

Teraz przy Jezusie panował duży ruch i już nie było tak fajnie i spokojnie jak rano. Setki turystów kłębiły się u podstawy, przepychając się i hałasując. Dwudziestoosobowe grupy prowadzili przewodnicy, którzy usiłowali przekrzyczeć innych przewodników, mających pod opieką jeszcze większe grupy. Nawet latające mrówki się wyniosły, bo nie mogły tego wytrzymać. Dowiedziałem się od Dolores, że Chrystus Zbawiciel ma trzydzieści osiem metrów wysokości, a w jego cokole mieści się kaplica. Przyznałem, że panorama ze wzgórza jest piękna, ale sam pomnik nie powala na kolana. Akurat kiedy to mówiłem, mijała nas para angielskich turystów. Zapytałem ich o opinię. Też nie byli zachwyceni, woleli pomnik z Lizbony. Dolores się skrzywiła i stwierdziła, że

się nie znajdują.

Dodała, że jeśli chcę zobaczyć naprawdę niesamowite widoki, powinienem przelecieć się wokół pomnika helikopterem.

Wieczorem znowu podali kurczaka z fasolą.



Sobota 13 lutego

Dziś rano Christian obudził mnie dziesięć po piątej. Powiedział, że o wpół do szóstej musimy wyjść, bo mamy zarezerwowaną wycieczkę helikopterem. Nie mogłem się zwlec z łóżka. W nocy prawie nie spałem. O trzeciej zbudziły mnie jakieś odgłosy za oknem. Zdawało mi się, że coś się rusza w zaroślach. Podniosłem się i przez szparę w drzwiach zobaczyłem przemykający cień. Myślałem, że ktoś się próbuje włamać. Nie mogłem tego tak zostawić, zdecydowałem się po prostu otworzyć drzwi i zobaczyć, kto to jest. Okazało się, że to kura. O trzeciej nad ranem! Dlaczego nie śpi o tej porze? Nie wiem, czy w Brazylii kura przebiegająca drogę to zły omen, ja w każdym razie nie byłem zachwycony, bo to oznaczało, że na kolację prawdopodobnie znowu będzie to samo.

Wziąłem sobie banana na śniadanie i dołączyłem do Bin Ladena i reszty osób, które już czekały w vanie. Po czterdziestu minutach wsiadałem na pokład helikoptera. Jeszcze nigdy czymś takim nie latałem. Trochę się denerwowałem, bo helikopter w razie awarii silnika nie może szybować. Usiadłem z tyłu, dostałem słuchawki i wystartowaliśmy. Żadnego instruktora ani informacji, jakie zwykle się podaje przed odlotem. Nie było też czego się trzymać. Nawet ford fiesta ma z tyłu uchwyt na suficie, a tu nic.

Lecieliśmy wzdłuż plaży jakieś sześć metrów nad powierzchnią wody. Miałem lekkiego stracha, bo to znaczyło, że gdybym nawet przeżył ewentualną katastrofę, musiałbym płynąć przez najbardziej wzburzone fale, jakie w życiu

widziałem. Potem jednak się przyzwyczailem i zaczęło mi to nawet sprawiać frajdę. To jeden z najlepszych sposobów przemieszczania się. Cztery razy okrążyliśmy pomnik Chrystusa, wyglądał niesamowicie. Dolores miała rację. Wspaniały widok. Spojrzałem na tych wszystkich turystów kłębiących się przy cokole jak mrówki (to zresztą mogły być mrówki, biorąc pod uwagę, co tam się dzieje na dole). Z tej perspektywy monument robił zdecydowanie większe wrażenie. Wydawał się wyższy niż te trzydzieści osiem metrów. Poczułem, że muszę wyrazić na głos swój zachwyt. W końcu krążąc helikopterem z dużą prędkością wokół jego głowy, wolałbym go nie krytykować. Jedynie dolna szczęka wydała mi się nieproporcjonalnie duża i wystająca. Uznałem, że rzeźbiarz widocznie się śpieszył, bo mu dokuczały latające mrówki, ale już po wylądowaniu, kiedy ustał hałas i można było wreszcie normalnie rozmawiać, Christian wyjaśnił, że miała to być broda.

Lot helikopterem był super. Bardzo mi się podobało. To na razie chyba najfajniejsza część wyprawy.



Wróciliśmy do domu i mój dobry nastrój prysnął. Zadzwoił Steve i powiedział, że Celso zaprasza mnie do siebie, żebym mógł lepiej poznać codzienne życie w Brazylii. Odparłem, że moim zdaniem to strata czasu. W ciągu ostatnich kilku dni spędziłem z nim dość dużo czasu i niewiele się dowiedziałem. Nie wiem nawet, czy jest gejem. Steve powiedział, żebym przestał marudzić i jechał. Poszliśmy na metro. Totalny chaos, ludzie pchają się bardziej niż w Londynie. Jechaliśmy godzinę. Kiedy wysiedliśmy, zdziwiłem się, że Celso mieszka w takiej okolicy. Robił wrażenie człowieka, który żyje w pewnym luksusie, tymczasem to był zwykły pięciopiętrowy blok, przed którym jacyś dziadkowie grali w domino. Dzieciarnia kopała piłkę na podwórku, a przy budce z napojami plotkowały dwie bezzębne kobiety. To nie był smutny widok, właściwie sam wychowałem się na podobnym osiedlu, tylko tutaj młodzi i starzy wydają się bardziej ze sobą integrować.

Cześć, stary. Co słychać?
Jak ci się mieszka w hotelu?

Wyniosłem się.
Nie wytrzymałem.

Wyniosłeś się?

Tak. Bez jaj, nie jestem jakimś pedantem, ale tam po prostu był syf. Na moim łóżku wisały czyjeś majtki.

To ile tam wytrzymałeś?

Jedną noc.

Słabo.

Coś ty, to było zagrożenie dla zdrowia. W ogóle nie powinienem tam wchodzić. Wziąłem przed wyjazdem zastrzyki, które mają mnie chronić przed ugryzieniem brudnych małp, ale przed tym, co tam widziałem, chyba nic by mnie nie ochroniło. Jedna noc to i tak za długo.

Mam dla ciebie dobrą wiadomość.

Dawaj.

Pakuj walizki. Nie wiem, gdzie teraz mieszkasz, ale to na pewno nic w porównaniu z tym, dokąd cię teraz wysyłamy. Poznałeś Celsa, twojego lokalnego przewodnika. Sympatyczny gość. Zaprasza cię do siebie na noc.



Przecież to już twój kumpel.
Nieładnie odrzucać zaproszenie,
zwłaszcza w obcym kraju.

Ale po co? Steve, czy
ty go w ogóle znasz?
Rozmawiałeś z nim?

Nie przesadzałbym.

Mój drogi, ktoś ci oferuje
nocleg, więc korzystaj.

Skoro to mój kumpel, to czemu nie
chce powiedzieć, czy jest gejem?
Dlaczego to taki problem?

A co to ma do rzeczy?
On tylko chce cię
przenocować!

Tego właśnie się boję.

O co ci chodzi? Biadoliłeś przed chwilą,
że w hostelu jest syf. Facet proponuje
ci nocleg. Nic w tym złego.

Przecież to pedał. Będę się czuł jak u ciotki Nory.
Założę się, że wszędzie ma falbanki, koronki i pełno
bibelotów. Wpaść na godzinkę to jeszcze, ale...



Gdyby mnie twoja ciotka Nora zaprosiła do siebie na noc, poleciałbym jak na skrzydłach.

A co będziemy robić? Jest jakaś impreza? Może po prostu zagramy w karty?

Jasne. Nie musisz iść na żadną imprezę.

Na pewno?

Tak.

Ma tam Internet?

Nie wiem, sam go spytaj. Najlepiej zaraz przy wejściu: „Dzięki, stary, za zaproszenie. Masz tu Internet?”.

Mylisz?

[Śmiech] Karl, chyba za bardzo się przejmujesz. Potraktuj to jak nocleg w pensjonacie.

Spróbuję. To na razie. Odezwę się później.

Daj znać, jak poszło.

Cześć.



— Czeeeść — zawołał cienki głos. To był Celso, który rozebrany do pasa machał chusteczką zza krat swojego okna.

Weszliśmy na górę, uciekając przed agresywnym psem, którego właściciel siedział za zamkniętą bramą i gapił się na nas.

Zapukałem do drzwi. Były oklejone afiszami różnych karnawałowych imprez oraz reklamą prezerwatyw. Ciekawe, czy Celso powiesił to dla gości, żeby mieli co poczytać, czekając, aż doczłapie do drzwi. Wreszcie mi otworzył ubrany tylko w jedwabne bokserki i japonki. Właśnie spryskiwał rośliny i narzekał na straszny upał. Dzisiaj wydał mi się spokojniejszy i mniej pewny siebie.

Mieszkanie było malutkie. Podobne kiedyś wynajmowałem, tyle że nie tak zagracone, a to zawsze optycznie pomniejsza. W pokoju było tyle rzeczy, że nie wiedziałem, gdzie patrzeć.

Celso zaproponował mi szklanekę soku z orzechów. Z orzechów? Chyba nie można sobie wyobrazić mniej soczystego owocu. Ledwo się oswoiłem z myślą, że istnieje sok z marchewki, a tu orzechy.

Powiedziałem mu, że jestem zaskoczony jego zaproszeniem, bo znamy się dopiero kilka dni. Celso odparł, że według brazylijskich zwyczajów, gdy ktoś proponuje ci nocleg we własnym domu, niegrzecznie jest odmówić. Miał przy tym całkiem poważny wyraz twarzy, poważniejszy, niż kiedy przymierzał kąpielówki w sklepie. Dodał, że gość musi wtedy spać w łóżku gospodarza. Z reguły potrafię zdusić w zarodku takie sytuacje, ale Celso ciągle powtarzał, że to tradycja i będzie mu przykro, jeśli odmówię, więc w końcu się zgodziłem.

Zostałem z Krishem w dużym pokoju, a Christian poszedł porozmawiać z Celsem w jego sypialni. Przejrzałem kolekcję płyt. Dinah Washington, Dionne Warwick i Bette Middler. Trochę inna muzyka od hałaśliwego rapu dobiegającego z aut za oknem.

Czterdzieści pięć minut później Celso wszedł do pokoju w sukience, w peruce

i z makijażem na twarzy. Powiedziałem mu, że przypomina mi ciotkę Norę. Gdyby nie przesadny makijaż, wyglądałby całkiem, całkiem. Poprosił, żeby odtąd mówić do niego Lorna Washington. Okazało się, że jest drag queen. Musiał wyjść, bo miał robotę na weselu i imprezie urodzinowej. Zapytałem, czy to znaczy, że jest gejem. Usłyszałem coś w stylu: „A jak myślisz, kotku?”. Znowu pokrętna odpowiedź.

Kazał mi się rozgościć i częstować sokiem z orzechów. Zapisał swój numer telefonu, pokazał, jak obsługiwać pilota do telewizora, i wybrał kilka filmów na DVD, w tym *My Fair Lady*. Przypomniały mi się czasy dzieciństwa, kiedy mama, wychodząc z domu, zostawiała mi drobne na cukierki i zabraniała komukolwiek otwierać drzwi.

Przyjechała jego taksówka. Patrzyłem przez kraty w oknie, jak Lorna Washington odjeżdża do pracy pod baczny spojrzeniem sąsiadów.

W mieszkaniu było gorąco. U sufitu kręcił się wentylator, ale to niewiele pomagało. Siedziałem, zastanawiając się, czy to też brazylijska tradycja zaprosić kogoś do domu, a potem się zmyć na całą noc. Jak dla mnie trochę dziwne. Nie umiałem uruchomić DVD, więc pooglądałem telewizję. Potem poszedłem do łazienki, gdzie spłoszyłem cztery tłuste karaluchy. Nie znoszę tego cholerstwa. Na mój gust za szybko biegają. W dodatku u Celsa było tyle rupieci, że miały gdzie się chować. Coś mnie nagle zaswędziało i zauważyłem na nogach kilka śladów po ugryzieniu. Myślę, że tego wieczoru odkryłem na sobie jakiś nowy gatunek.

Nie wiem, jak opisać stopień zagracenia mieszkania Celsa. Powiem tylko, że trudno było znaleźć kawałek wolnej powierzchni, żeby coś położyć. Nie mam pojęcia, po co on trzymał niektóre rzeczy, zwłaszcza że często nie wiedziałem, co to było. Christian zgubił w tym bajzlu komórkę i nie mógł jej znaleźć. W końcu nie wytrzymałem. Powiedziałem, że dłużej tam nie zostanę. Nie lubię przebywać w ciasnych pomieszczeniach. Im dłużej się rozglądałem, tym bardziej rosła moja irytacja. Do tego te karaluchy. Jednego martwego znalazłem w kuchni. Mówią, że to najodporniejsze stworzenia na Ziemi, przetrwałyby atak

nuklearny i mogą żyć tydzień bez głowy, więc fakt, że ten egzemplarz nie przeżył w mieszkaniu Celsa, uświadomił mi, że dalsze przebywanie w nim jest niebezpieczne dla zdrowia.

CIEKAWOSTKI KARLA

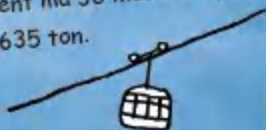


Wielki pomnik Jezusa powstał w 1931 roku.
Budowa rozpoczęła w 1922 roku trwała
dziewięć lat.



Brazylia

Wzniesiono go ze zbrojonego betonu
i steatytu. Żeby podejść pod samą
statuę, trzeba pokonać 220 stopni.
Monument ma 38 metrów wysokości
i waży 635 ton.



Twórca Chrystusa Zbawiciela,
rzeźbiarz Paul Landowski, za
to dzieło dostał złoty medal na
olimpiadzie w 1928 roku.



Było w pół do drugiej w nocy. Pomyślałem, że niegrzecznie tak zniknąć bez słowa, więc zadzwoniłem do Celsa i powiedziałem, że tu jest dla mnie za gorąco i za głośno. Wcale nie był tak bardzo rozczarowany.

Za piętnaście trzecia leżałem już z powrotem we własnym łóżku.



Niedziela 14 lutego

Obudziłem się z wyrzutami sumienia z powodu Celsa. Potem jednak przyszło mi do głowy, że mógł mnie zaprosić tylko po to, żebym mu przypilnował mieszkania. Krish i Christian stwierdzili, że dobrze zrobiliśmy, wyjeżdżając, więc nie było mi aż tak głupio.

Wybraliśmy się dziś na osiedlową imprezę uliczną. Beznadzieja. Człowiek snuje się bez celu, a wkoło wszyscy gwizdzą i trąbią na czym się da. Nie przepadam za tym. Pamiętam, że jako dziecko wcale się dobrze nie bawiłem na festynie z okazji Jubileuszu Królowej. Jedna sąsiadka zeżarła prawie cały pudding, który zrobiła moja mama, a sama nic nie przyniosła. Tutaj było jeszcze gorzej — nie było nawet puddingu. Ludzie po prostu stali wkoło lekko skonsternowani. Czułem się, jakbym krążył między pracownikami biurowca, którzy musieli się ewakuować na ulicę, bo włączył się alarm przeciwpożarowy. Głośny dźwięk alarmu jest przynajmniej uzasadniony. Hałas, który robili ci ludzie, powodował tylko ból uszu. Natknąłem się na kolesia przebranego za różowego pudła. Z tyłu miał gołą dupę. Może to nie była impreza uliczna, tylko rzeczywiście pożar w biurowcu, a jemu spaliły się spodnie? Denerwował się, kiedy obcy ludzie go podszczyrywali.

Zobaczyłem kolegę Celsa, tego z plaży. Był z jakimś innym facetem. Nie wiem, czy to jego kochaś, bo skórę miał białą.

Powiedziałem Krishowi, że mam dość. Wróciliśmy do domu.

Dzisiejszy dzień był do bani. Na poprawę humoru zjadłem batonik.

Zaproponowałem, żeby znaleźć jakąś fajną, cichą plażę i uciec od tego całego hałasu. Krish stwierdził, że zna taką, tylko musimy jutro bardzo wcześnie wstać. Zgodziłem się.

Znowu dostaliśmy kurczaka z fasolą. Christian obiecał pogadać z właścicielem, żeby namówił kucharkę na zmianę menu.



Poniedziałek 15 lutego

Wstaliśmy dwadzieścia po piątej, żeby wyjechać na plażę. O tej porze nawet na Ipanemie i Copacabanie byłoby pusto i cicho. Krish stwierdził, że droga zajmie około godziny. Bin Laden nie wyglądał na szczęśliwego. Chyba nie lubi wcześnie wstawać.

Jak łatwo zgadnąć, byliśmy pierwszymi osobami na plaży, nie licząc gościa sprzedającego drinki pod parasolem. Znaleźliśmy fajne miejsce i rozłożyliśmy leżaki. Siedziałem sobie, podziwiając widoki, gdy nagle wystraszył mnie jakiś łoskot. Odwróciłem się — gość pod parasolem kruszył lód. Zauważyłem, że jest bez majtek.

Powiedziałem Krishowi, ale wcale nie był zdziwiony. Okazało się, że to plaża nudystów. Nigdy nie rozumiałem, co to za przyjemność, zwłaszcza tak wcześnie rano. Jeszcze nie było aż tak gorąco, słońce dopiero wschodziło. Barman wciąż miał na sobie koszulkę, po co więc zdjął gacie? Kiedy spojrzałem, schylał się po lód. Zupełnie jakby się ze mną droczył. Za każdym razem wypinał w moją stronę tyłek z wiszącymi jajkami. Wyglądał jak buldog od tyłu.

Pojawiło się więcej facetów. Rozmawiali, stojąc z założonymi rękami i klejnotami na wierzchu. Przyszło też kilka kobiet. Dwie takie przy kości rozsiadły się za mną. Nie wiem, czy były całkiem gołe, bo obwisłe cycki

zasłaniały bardziej intymne części ciała.

Jakiś człowiek podszedł do mnie i wręczył ulotkę z regulaminem plaży. Zawierała wiele użytecznych porad, na przykład, co ma zrobić mężczyzna, kiedy nieoczekiwanie się podnieci. Sugerują, żeby jak najszybciej usiąść albo wejść do wody i poczekać, aż się ochłonie. Przy tych paniach, które widziałem, taka sytuacja nikomu raczej nie grozi.

Pół godziny później człowiek od ulotki wrócił i poprosił, żebym się rozebrał albo opuścił plażę. Odpowiedziałem: „Dzięki, to już wolę iść”.

ABRICÓ NATURISTS ASSOCIATION - ANA
Brazilian Federation of Naturism - FBrN

Abricó Nude Beach
Welcome to Rio de Janeiro's First Nude Beach

Resolution 64/94 Secretary of Environment Rio de Janeiro
Decision of the Tribunal of Justice Rio de Janeiro October 2004
City law number 4059 of May, 18th, 2005



Code of Ethics*

Naturism is a way of life in harmony with nature and characterized by the practice of nudism in a group setting with the intention of encouraging self-respect, respect for others and respect for the environment.

International Nudism Federation - INF

The following are prohibited:

- 1) Practicing sexual or obscene acts;
- 2) Acting in a disrespectful or aggressive manner toward anyone, at any time, for any reason;
- 3) Aggressively or passively make fellow nudists and other beach goers feel uncomfortable;
- 4) Playing sports outside of designate areas;
- 5) Satisfying biological needs in public areas;
- 6) Leaving trash behind when leaving the beach;
- 7) Using, carrying or selling any substance whatsoever which can be construed by law to be an illicit drug or other illegal object or substance;
- 8) Film, record or video nudists (by any means, at any distance) without the express permission of all those in focus.

* This code of ethics is the same for any other municipal beach in Rio de Janeiro with the exception of number 8). All rules will be enforced by the appropriate civil authorities, members of the Abricó Naturists Association - ANA and is applicable for all nudists and non-nudists while at this beach.

OBS:

Nude means uncovered genitals. Topless is not considered nude.

In this area everybody should be nude. Policemen, security professionals, life guards, fishermen with fishing equipment going to fish on the rocks and divers who will not stay on the beach may enter and stay dressed inside the second area while passing through or on duty. Teenagers from 13 y.o. should respect all rules.

On all other days, clothing is optional on Abricó Nude Beach until further notice. All are welcome to Abricó Nude Beach. Please follow the rules. If you see anyone breaking any of these rules, please notify any association member, the police or the lifeguards. Abricó Nude Beach is restricted to the sand, water and rocks directly adjacent to its beach area, which starts at the signs at its entrance.

Tips

Avoid aggressive or unfriendly behavior and expressions, as well as, loud screaming, loud conversations, jam sessions and loud music. People who look for out-of-the-way nude beaches like Abricó are normally interested in enjoying quiet seclusion and communion with nature.

Avoid staring at others for whatever reason. Respect others and respect their spatial requirements.

If male beach goers should become excited and reach an erection, remain discreet about it and **avoid** exhibitionist behaviors. Remain seated or go to the water until this condition passes. Penis erection is natural but provoking or exhibiting oneself in this state is not appropriate at this beach.

Always apply sun block especially where you usually wear clothes, including the genital areas. Be discrete but do not feel embarrassed about this. Avoid handling genital parts.

Remember, on a nude beach you attract more attention and criticism if you keep your clothes on. So, take off your clothes as soon as you arrive and blend in.

Cigarette butts and straws are trash and should be taken to the orange trashcans provided on the beach or back home.

Members of the Abricó Naturists Association - ANA are always present on the beach on Saturdays, Sundays and holidays. Look for us and come say hello!



President: Pedro Ribeiro
Tel: (21) 2542 9807 / (21)9441-5652
E-mail: anabrico@anabrico.com
Site: www.anabrico.com
Newsletter Website: www.jornalohonu.com
Brazilian Nudist Federation Website: www.fbrn.com.br
Abricó call in the beach: (21) 8639 0368

 **PREFEITURA**
MUNICIPAL DE ABRICÓ

**"NUDITY IS A NATURAL HUMAN STATE: NUDE IS
SIMPLY NATURAL!"**

Tłumaczenie na następnej stronie

STOWARZYSZENIE NATURYSTÓW ABRICÓ - ANA
Brazylijska Federacja Naturystów - FBrN

**Witamy na pierwszej plaży nudystów
w Rio de Janeiro**

Rozporządzenie Ministra Środowiska Rio de Janeiro nr 64/94
Decyzja Trybunału Sprawiedliwości Rio de Janeiro
z 30 września 2003 r.
Uchwała Rady Miasta nr 4059 z 18 maja 2005 r.



Kodeks etyki*

**Naturyzm to sposób życia w harmonii z naturą
polegający na wspólnym przebywaniu nago w celu
wzmocnienia szacunku wobec samego siebie,
wobec innych oraz całej przyrody.**

Międzynarodowa Federacja Naturystyczna - INF

Na plaży zabrania się:

1. Uprawiania seksu oraz wszelkich zachowań nieobyczajnych.
2. Obraźliwego i agresywnego zachowania w stosunku do innych osób.
3. Zawstydzania w sposób agresywny lub bierny innych nudystów oraz plażowiczów.
4. Uprawiania sportów poza wyznaczonymi obszarami.
5. Zaspokajania potrzeb fizjologicznych w miejscach publicznych.
6. Pozostawiania po sobie śmieci.
7. Używania, posiadania oraz sprzedaży środków odurzających oraz innych substancji i przedmiotów zabronionych prawem.
8. Filmowania, nagrywania i fotografowania naturystów (także z daleka) bez ich wyraźnej zgody.

*Niniejszy kodeks z wyjątkiem punktu 8, ma zastosowanie na wszystkich miejskich plażach Rio de Janeiro. Regulamin będzie egzekwowany przez stosowne organy władzy cywilnej, członków Stowarzyszenia Naturystów Abricó - ANA. Obowiązuje on wszystkich naturystów oraz nienaturystów korzystających z plaży.

Uwaga:

Nudyzm oznacza nieoskrojone genitalia. Topless nie kwalifikuje się jako nudyzm.

Wszyscy przebywający na terenie plaży powinni być rzeźbieni. Wyjątkiem są policjanci, funkcjonariusze ochrony i ratownicy będący na służbie, a także wędkarze udający się ze sprzętem na skały oraz pletwonurkowie, o ile nie zamierzają pozostać na plaży. Młodzież od 13. roku życia obowiązują wszystkie punkty regulaminu.

Plaża Abricó zaprasza wszystkich chętnych. Prosimy o przestrzeganie regulaminu. Jeżeli zauważycie, że ktoś łamie którykolwiek z jego punktów, powiadomcie członka federacji, policję lub ratowników.

Granice plaży nudystów Abricó wyznaczają stosowne tabliczki.

Porady

Staraj się unikać agresywnych zachowań i wulgarnego słownictwa, głośnych krzyków, głośnych rozmów i głośnej muzyki. Ludzie, którzy odwiedzają ustronne plaże, takie jak Abricó, poszukują ciszy, spokoju i bliskości z naturą.

Staraj się nie podglądać współplażowiczów. Szanuj ich prywatną przestrzeń.

Jeżeli mężczyzna korzystający z plaży dozna erekcji, powinien zachować dyskrecję i unikać ekshibicjonizmu. Najlepiej wówczas usiąść lub wejść do wody i poczekać, aż ten stan minie. Wzród to zjawisko naturalne, ale afiszowanie się z nim na plaży jest niestosowne.

Zawsze używaj kremów z filtrem przeciwsłonecznym, zwłaszcza w miejscach, które na co dzień chowasz pod ubranie, także w okolicach genitaliów. Rób to dyskretnie, ale bez skrępowania. Unikaj zbędnego dotykania genitaliów.

Pamiętaj, na plaży nudystów zwrócisz na siebie większą uwagę i staniesz się obiektem krytyki, jeżeli pozostaniesz w ubraniu. Rozbierz się więc zaraz po przyjeździe i włącz się w tłum.

Niedopalki i słomki po napojach to śmieci, które należy wyrzucić do wyznaczonych pojemników lub zabrać do domu.

Członkowie Stowarzyszenia Naturystów Abricó są zawsze obecni na plaży w soboty, niedziele oraz podczas wakacji. Odszukaj nas i przyjdź się przywitać!



Prezes: Pedro Ribeiro
Tel.: (21)25429807 / (21)94415652

E-mail: anabrico@anabrico.com
www: www.anabrico.com

Newsletter: www.jornalohonu.com
Strona internetowa Brazylijskiej Federacji

Naturystów: www.fbrn.com.br
Informacja na plaży: tel. (21)86390368

PREFEITURA
MUN. ABRICÓ

**„NATURALNYM STANEM CZŁOWIEKA JEST NAGOŚĆ.
NUDYZM TO PO PROSTU ŻYCIE W ZGODZIE Z NATURĄ!”**

Daleko jednak nie uszedłem. Krish, Christian, Jan (kamerzysta) i Freddie (dźwiękowiec) musieli jeszcze nakręcić trochę materiału do programu.

Usłyszeli, że jeśli chcą dalej filmować, muszą się rozebrać. No więc się rozebrali. Wreszcie mogłem się na nich odegrać za to wszystko, co mi dotąd zrobili.

Po powrocie do domu Krish poinformował mnie, że jutro jedziemy do faweli. Zwykle wolą trzymać plany w tajemnicy, ale fawele to bardzo nieciekawe miejsca, handluje się w nich narkotykami i bronią, więc chcieli ze mną omówić kwestie bezpieczeństwa. O co chodzi? Nie przyjechałem do Brazylii szukać guza. Krish nagle zaczął się zachowywać strasznie serio. Trudno mi było wytrzymać, bo ciągle miałem w pamięci, jak paradyje po plaży z ptakiem na wierzchu.

Dzisiaj kolację przygotowywała inna kucharka. Zrobiła pikantną wołowinę z fasolą.







Wtorek 16 lutego

Wstałem pół godziny wcześniej, bo miałem ochotę na tosta z szynką na śniadanie, a opiekacz potrzebuje dwudziestu minut, żeby się nagrzać. Pomyślałem, że skoro jedziemy do faweli, to może być mój ostatni posiłek. W tym kontekście nie powinienem chyba narzekać, że muszę czekać na rozgrzanie opiekacza.

Przy śniadaniu dużo się nasłuchałem o *Mieście Boga*. Ponoć fawela, do której jedziemy, jest bardzo podobna do tej z filmu. Wszyscy go widzieli oprócz mnie. Pamiętam, że o nim słyszałem, ale zniechęciły mnie napisy. Nie lubię filmów z napisami. Równie dobrze mogę przeczytać książkę.

Krish powiedział, że zabierzemy się tam jako pasażerowie motorami, bo w fawelach nie bardzo da się poruszać vanem. Po raz pierwszy zobaczyłem zadowolenie na twarzy Bin Ladena — miał wolne. Wsiadłem więc na wielki motocykl, który prowadził koleś o imieniu Johnny, mieszkaniec faweli. Pędziliśmy krętymi, wąskimi uliczkami, na każdym rogu widziałem uzbrojonych ludzi.

Niektórzy mieli karabiny. Ekipa jechała za nami. W niektórych miejscach musieliśmy wyłączać kamery, bo przywódcy gangów nie chcieli być filmowani. Trzeba było spuszczać obiektywy, żeby widzieli, że nie robimy tego ukradkiem.

W końcu się zatrzymaliśmy i podszedł do mnie gość o imieniu Henrique. On nie miał broni. Nie był przywódcą gangu. Miał mnie nauczyć brazylijskiej samby.

Zaprowadził mnie do jakiegoś opuszczonego budynku, gdzie przez dwie godziny uczył mnie różnych kroków tanecznych. Ja mu też pokazałem kilka swoich, ale stwierdził, że są gównem. Dość brutalne. Przez pierwsze pół godziny nawet nieźle się bawiłem i nie traktowałem tego poważnie, dopóki nie

usłyszałem, że mam zatańczyć w wielkiej paradzie karnawałowej.

Może nie jestem tak obyty w świecie, ale o karnawale w Rio słyszałem i mocno się wystraszyłem. Wzięłem się solidnie do roboty. Henrique powiedział, że paradę obejrzą cztery tysiące ludzi i dla grupy, z którą zatańczę, to będzie bardzo ważny występ. Trenowali cały rok, więc mają nadzieję zrobić wrażenie na sędziach i dostać się do parady finałowej.

Im bardziej jednak się starałem, tym większa ogarniała mnie frustracja. Za dużo rzeczy do zapamiętania. W końcu Henrique zarządził przerwę na posiłek.

Poszliśmy do miejscowej knajpki. Jedzenie było świetne, ale w końcu kiedy przychodzą do ciebie klienci uzbrojeni w granaty, pistolety maszynowe i raketnice, nie podasz im byle czego.

Potem jeszcze trochę poćwiczyliśmy i Henrique dał mi kostium, w którym miałem wystąpić. Wyglądałem idiotycznie — arlekin z niebieskimi piórami. Henrique powiedział, że to jeszcze najmniejszy problem. Zapominam o uśmiechu. Rzeczywiście to nie jest moja specjalność. Owszem, czasem się uśmiechnę, ale nie tyle, co niektórzy. Nawet kiedy w środku jestem wesoły, po twarzy nie zawsze to widać.

Potrenowaliśmy jeszcze z godzinkę i daliśmy sobie spokój. Henrique był zmęczony, bo tańczył w karnawale od trzech dni. Ja już po trzech godzinach padałem z nóg. Kondycji już nie zdążę poprawić, nie ma na to czasu, ale chociaż postaram się wcześniej położyć i zjeść porządne śniadanie.

Wieczorem znowu była wołowina z fasolą. Zjadłem samo mięso, bo na fasolę już patrzeć nie mogę.

Przed snem poćwiczyłem w pokoju kroki, a przed lustrem w łazience uśmiech. Nie wyglądał zbyt naturalnie, ale mogłem niedowidzieć, bo nie mamy w łazience światła.



Środa 17 lutego

Dzień parady. Jadąc wczoraj do niebezpiecznej faweli pełnej narkotyków i uzbrojonych gangsterów, nie bałem się tak jak dziś, kiedy miałem zatańczyć na oczach tłumu ludzi.

Na miejscu zjawiliśmy się wczesnym popołudniem, ale powiedziano mi, że moja grupa zatańczy dopiero kwadrans przed dziewiątą wieczorem. Byłem już przebrany w ten kretyński kostium z piórami, a nie wziąłem ze sobą żadnych normalnych ciuchów, więc zostałem w vanie z Bin Ladenem, a koledzy z ekipy poszli montować sprzęt. Czas okropnie się dłużył. Rozmowa z Bin Ladenem była niemożliwa z powodu bariery językowej. Chociaż to taki wredny sukinsyn, że wcale bym się nie zdziwił, gdyby świetnie znał angielski, tylko nie chciało mu się ze mną gadać.



Nieoczekiwana wizyta ciotki Nory.



Nieemożliwe. Więcej zakładam na siebie, idąc spać.



Tradycyjny brazylijski pogrzeb.



Zdrzemnąłem się jakąś godzinę. Obudzili mnie Krish z Christianem, mówiąc, że niedaleko tańczy w paradzie Henrique. Znaleźliśmy go, pokazał mi jeszcze parę kroków, łatwiejszych do zapamiętania niż te wczorajsze. Poradził, że jeśli się pomyłę, mam się po prostu energicznie ruszać i pamiętać o uśmiechu.

Poszliśmy wtrącić po hamburgerze w brazylijskim odpowiedniku McDonalda, a wszystko, co działo się później, pamiętam jak przez mgłę. Henrique pokazał, gdzie mam stanąć, i powtarzał bez końca, że mam „emanować energią”. No i przypominał o uśmiechu. Wybuchły fajerwerki. W tej samej chwili poczułem rewolucję w brzuchu. Nie wiem, czy to z nerwów, czy z powodu zjedzonego wcześniej hamburgera. Szybciutko poszukałem kibla, bo nie chciałem ryzykować, że w połowie parady narobię w gacie na oczach czterech tysięcy widzów, nie mówiąc o sędziach.

Znalazłem toaletę i przy wejściu zapłaciłem dwa reale (około sześćdziesięciu pensów). Była paskudna. Usiadłem na brudnej desce i zobaczyłem swoje odbicie w wiszącym na drzwiach lustrze. Klaun w kretyńskim kapeluszu z piórami — na co mi przyszło?

Nie miałem jednak czasu poużalać się nad sobą, bo właścicielka kibla zaczęła się dobijać do drzwi. Nie cierpię, gdy ktoś mnie popędza w takiej chwili. Wychodzę, a ta pokazuje mi cennik i mówi: „Dwie minuty, dwie minuty...”. Sześćdziesiąt pensów wystarcza tylko na dwuminutową nasiadówkę. Może trzeba było wczoraj zjeść tę fasolę. Znając jej właściwości, zaoszczędziłbym ze trzydzieści pensów.

Przecisnąłem się przez tłum i wróciłem na miejsce. Przyszło mnóstwo tancerzy. Henrique umieścił mnie w grupie seniorów. To niewiele pomogło, a wręcz zwiększyło presję. Stwierdziłem nagle, że jeżeli na ich tle nie wypadnę dobrze, to będzie prawdziwy cios dla mojej samooceny.

Odezwały się bębny i ruszyliśmy. Wczułem się w rolę i dałem z siebie wszystko. Byłem jak w transie.



Niecałą godzinę później przekroczyłem linię końcową. Od lat nie byłem tak wykończony. Na stopie miałem wielki odcisk, słańałem się na nogach, ale byłem szczęśliwy, że już po wszystkim.

Henrique na szczęście chyba był ze mnie zadowolony. Spytałem go o wyniki, ale powiedział, że wszystko się okaże dopiero za kilka dni.





Czwartek 18 lutego

Dziś wróciliśmy do domu.

Wyjechałem na lotnisko o wpół do drugiej po południu i odleciałem do Anglii przez Lizbonę, bo nie było bezpośredniego połączenia. Wyglądałem przez okno, próbując dojrzeć ten pomnik, o którym para Anglików mówiła, że jest fajniejszy od Chrystusa Zbawiciela, ale było za dużo chmur. O północy byłem już w domu.

Chrystus Zbawiciel podobał mi się bardziej niż piramidy. Jeden do zera dla Brazylii.

Właśnie się dowiedziałem od Christiana, że szkoła samby Henrique'a przegrała awans o dwie dziesiąte punktu.





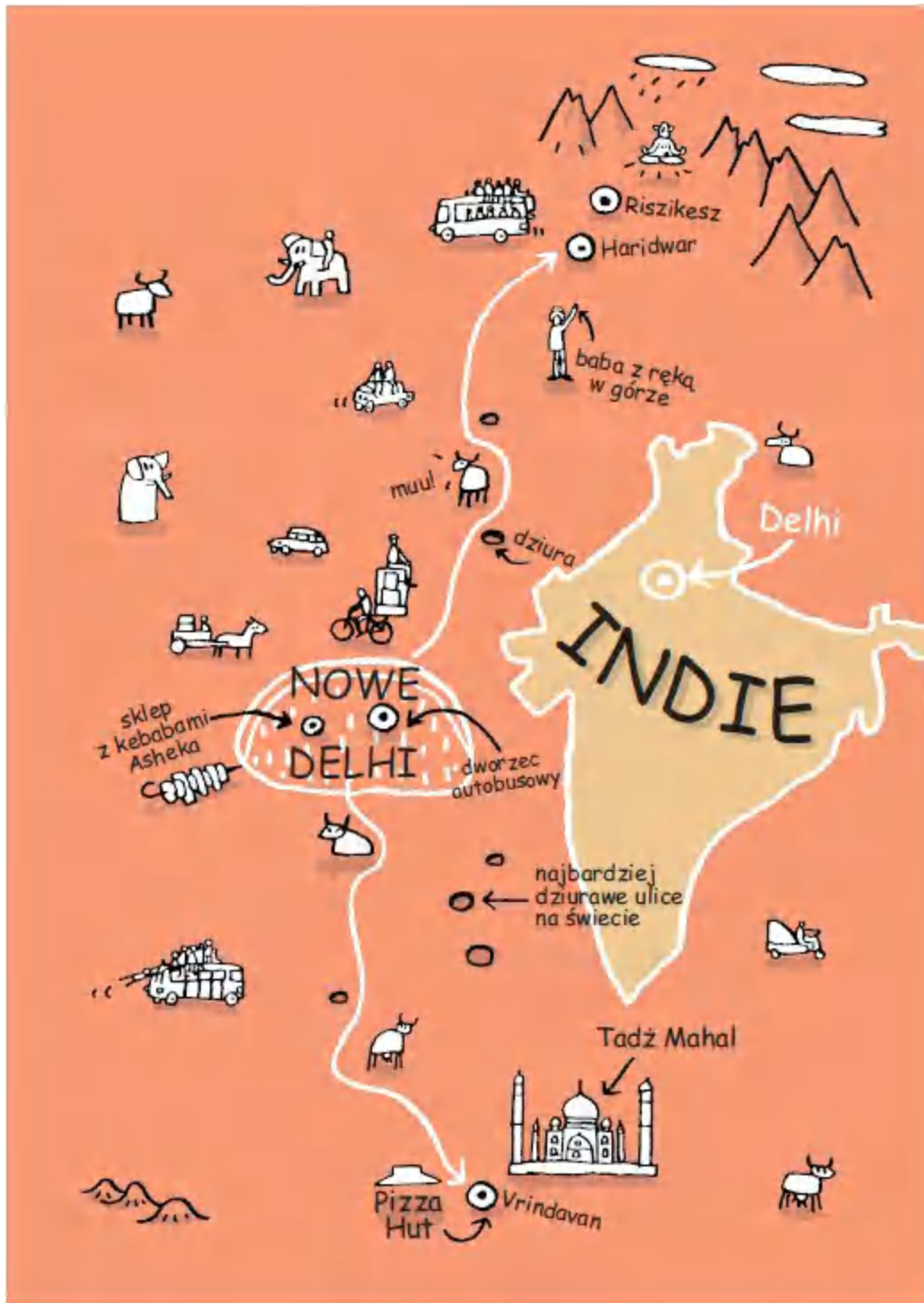
ROZDZIAŁ TRZECI
TADŻ MAHAL



„BRAMA, PRZEZ KTÓRĄ MUSZĄ PRZECHODZIĆ
WSZYSTKIE SNY”. RUDYARD KIPLING

„AŻ DZIWNIE, ŻE KTOŚ GO ZALICZYŁ DO CUDÓW
ŚWIATA. OTOCZENIE NA TO NIE WSKAZUJE.
GDYBY GO POKAZYWALI W KTÓRYMŚ Z TYCH
PROGRAMÓW O NIERUCHOMOŚCIACH, POTENCJALNI
KUPCY PEWNIĘ BY MÓWILI: »WZIAŁBYM, ALE
GDYBY MOŻNA GO BYŁO PRZENIEŚĆ W JAKIEŚ
ŁADNIEJSZE MIEJSCE«. NAPRAWDĘ NIE POWINNI
BYLI GO TUTAJ STAWIAĆ”. KARL PILKINGTON





Czwartek 25 lutego

Kiedy się przygotowywałem do dzisiejszego lotu do Indii, Luke, producent odcinka, wręczył mi paczkę pieluch dla dorosłych. Oryginalny prezent na drogę. Nie zakładałem, że kiedykolwiek w życiu będę ich potrzebował, przynajmniej nie do osiemdziesiątki — ale na wszelki wypadek włożyłem dwie do walizki.

Z kimkolwiek rozmawiałem o Indiach, wszyscy wspominali o tak zwanym Delhi Belly. Jakby z góry było wiadomo, że każdy, kto tam pojedzie, musi się rozchorować. Chyba żaden inny kraj na świecie nie ma takiej reputacji. Dobrze miejsce, żeby otworzyć restaurację. Żadnych konsekwencji, kiedy klient dostanie sraczki po twoim żarciu. Zupełnie jakby była wpisana w kartę, zaraz po deserze.

Luke ostrzegł, że czasami możemy nie mieć dostępu do kibla, więc jak mnie przyciśnie, pielucha będzie jak znalazł. Nie wiem, czy to dobry pomysł. Jeśli się przyzwyczaję do wypróżniania byle gdzie, kiszki mi się rozleniwia i zaczną się same opróżniać, gdy już wrócę do domu i nie będę miał na sobie pieluchy.

Dostałem też saszetki z dobrymi bakteriami. Mają niby wzmocnić mój żołądek, ale myślę, że złe bakterie indyjskie w sekundę dadzą sobie z nimi radę. W sumie tych środków przeciwbiegunkowych zabrałem więcej niż ciuchów.



Piątek 26 lutego

Do Nowego Delhi leciałem pierwszą klasą. Nazwali je „Nowym” Delhi, pewnie chcąc wywołać wrażenie, że wszystko jest tam inne. Jak producenci proszków do prania — co jeden, to „nowy, ulepszony”.

Wylot się opóźnił o pięć godzin. Rozparty w wygodnym fotelu luksusowej poczekalni pierwszy raz w życiu byłem z tego powodu zadowolony. Ale to chyba tylko odwlekanie tego, co nieuniknione. To samo pewnie czuje skazaniec w czasie awarii prądu tuż przed pójściem na krzesło elektryczne.



Sobota 27 lutego

Po siedmiu godzinach wylądowaliśmy na międzynarodowym lotnisku w Nowym Delhi. Nie wiem, co Gandhi powiedziała by na to, że lotnisko nazwali jego imieniem. Czy to taki zaszczyt? Niewiele o nim wiem, tylko to, że pomagał biednym podobnie jak Bob Geldof i Lenny Henry w latach osiemdziesiątych. Zastanawiam się, czy gdyby żył teraz, też cieszyłby się tak dobrą opinią, czy tabloidy doszukałyby się jakichś brudów i przekrętów. Luke mówił, że Gandhi opiekował się grupą biedaków zwaną niedotykalnymi albo Dalitami. Tych ludzi uznawano za totalne doły społeczne, nadające się tylko do sprzątnięcia ulic. Ciekawe, czy w związku z tym w tamtych czasach było czystiej? Tutaj wszędzie są śmieci. Przypuszczam, że kiedy ludzie żywili się tylko mięsem i owocami, odpadki albo gniły, albo były zjadane przez zwierzęta. Odkąd mamy plastikowe butelki, foliowe torebki, styropianowe opakowania, wszędzie walają się ich całe sterty. Jeszcze się nie natknąłem na żaden kosz.

Do starego Delhi wjechaliśmy vanem prowadzonym przez miejscowego szofera. Odgłosy uliczne takie jak w Egipcie, stosunek do przepisów ruchu drogowego podobny. Klaksony w ciągłym użyciu. Nie wiem, jaki to ma sens, skoro wszyscy trąbią naraz. Skąd masz wiedzieć, że akurat na ciebie? Całe rodziny upchane w małych samochodzikach. Po cztery osoby uwieszone na jednym skuterze, bez żadnych kasków. Autobusy też nabite po sufit. Ciekawe, jakie są szanse znalezienia miejsca siedzącego w godzinach szczytu w kraju liczącym ponad miliard mieszkańców. Na własne oczy widziałem, jak w jednym

autobusie nawet kierowca prowadził na stojąco.

Wszystko tu sprawia wrażenie niedokończonego. Ulice rozkopane, chodniki położone tylko do połowy. Widziałem, jak malowali mur, który jeszcze był w budowie.

Mijaliśmy targ, gdzie na prowizorycznych straganach leżały oskubane kurczaki oblepione muchami. Wiem na pewno, że zachoruję. Pytanie tylko kiedy.

Za każdym razem, kiedy stawaliśmy na skrzyżowaniu, ktoś pukał w szybę i prosił o pieniądze. Nie miałem nic przy sobie. Jednemu gościowi, który miał całe powykręcane nogi, oddałem butelkę coli. Kierowca mnie opieprzył i zabronił im dawać cokolwiek.



LEAVY
CAMERA ON HIRE
CAMERA REPAIRS
CAMERA BATTERIES
DIGITAL CAMERA
MEMORY CARDS
DVD/CD BURN
CD

Nawet ciekawie było obserwować cały ten dziki świat z za szyby samochodu, ale wiedziałem, że w którymś momencie będę musiał wysiąść i w niego wkroczyć.

W końcu się zatrzymaliśmy. Luke wysłał mnie na ruchliwe skrzyżowanie i kazał czekać na jednego Hindusa imieniem Ashek, który przyjedzie po mnie rikszą. Tam było jak na placu Piccadilly, totalny kocioł. Trzy ulice schodziły się w jedną, widziałem wszystkie możliwe środki lokomocji, nawet faceta na słoniu. To chyba kiepski pojazd, za wielki. Na grzbiecie siedział tylko jeden człowiek. Ciekawe, czy tutejszych kierowców ludzie na słoniach wkurzają tak samo, jak londyńczyków właściciele wielkich paliwożernych terenówek powodujących korki. Przecież takie zwierzę też wymaga dużo paliwa w postaci żarcia, a mimo to może wieźć tylko jedną osobę.

Widziałem osły, konie, kozy i świnie. W Indiach zebra na ulicy to dosłownie zebra na ulicy. Jeden człowiek jechał na rowerze niesamowicie obładowany. Tobały przykrywały cały rower, a właściciel pod nimi usiłował pedałowac. Mało tego, na samej górze siedział jeszcze jego kumpel. Jakies jaja. Gdyby ten gość leciał samolotem, strach pomysleć, co by zadeklarował jako bagaż podręczny. Takich jak on było więcej.

Minął mnie inny rowerzysta wiozący stertę zgniecionych kartonów wysoką chyba na pięć metrów. Ci faceci byli jak ludzkie mrówki, nieprawdopodobnie silni. Głupio mi się zrobiło, że narzekałem na ciężką torbę, kiedy musiałem roznosić weekendowe wydania gazet ze wszystkimi dodatkami.

W pobliżu krążyło mnóstwo rikszarzy. Każdy się zatrzymywał i pytał, czy mnie nie podwieźć, a ja nie wiedziałem, czy któryś z nich to Ashek. Po czterdziestu minutach wreszcie się pojawił. Przeprosił za spóźnienie, powiedział, że jest trochę chory. Młody chłopak, ale wyglądał na zmęczonego życiem. Kiepsko mówił po angielsku, chociaż i tak lepiej niż ja po hindusku.

Przewiózł mnie po mieście, zobaczyłem jeszcze więcej przygnębiających

scen. Miałem wrażenie, że na każdym rogu stoi ktoś bez ręki albo nogi. Potem pojechaliśmy spotkać się z szefem Asheka, właścicielem firmy riksarskiej. zaproponował, że nauczy mnie prowadzić riksę. Zawsze dobrze jeździłem na rowerze, więc chętnie się zgodziłem. Zabrali mnie na wielki plac, coś w rodzaju boiska. Rosło na nim trochę trawy, ale głównie była to sucha, ubita ziemia. Powiedzmy, że stosunek trawy do gołej ziemi był mniej więcej taki jak stosunek włosów do łysiny na mojej głowie. Dzieciarnia grała w krykieta i w nogę. Dookoła rozsiadły się całe rodziny, a kilku biedaków leżało i wachało klej.

Spróbowałem poprowadzić riksę. Myślałem, że nieźle mi idzie, ale szef stwierdził, że nie zdałbym egzaminu, bo jeżdżę za szybko i za mało się uśmiecham. Uśmiech nigdy nie przychodził mi naturalnie, poza tym Indie to nie miejsce, gdzie człowiek ma ochotę się uśmiechać, głównie dlatego, że lepiej trzymać zamknięte usta, żeby muchy nie wpadały.

Ashek zaprosił mnie do swojego mieszkania, które wieczorami jest też jego miejscem pracy — sprzedaje tam kebaby z kurczaka. Szliśmy wąskimi, krętymi uliczkami, po których spływała krew, gdzie walały się gnijące kawałki mięsa, kurze flaki i kości. Im głębiej się zapuszczaliśmy, tym liczniejsza była populacja much. Jak byłem mały, mieliśmy w domu muchę, która tak często u nas przesiadywała, że stała się członkiem rodziny. Mama nazwała ją Harry. Wpisała nawet jej imię do formularza, kiedy brałem udział w biegu dobroczynnym. Wtedy myślałem, że jest jej u nas dobrze, ale chyba jednak Indie są najlepszym miejscem do życia dla much. Te zasyfione uliczki to darmowa stołówka.

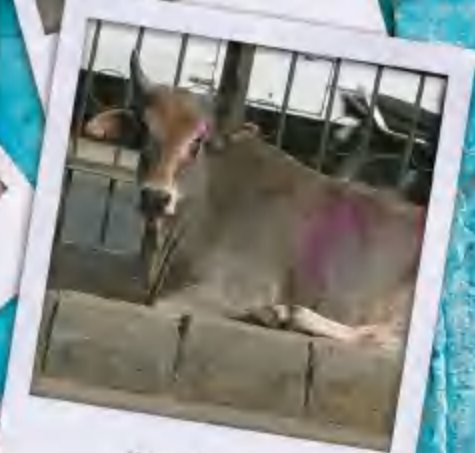
Ze względu na obecność kamer i mikrofonów, gdziekolwiek się pojawialiśmy, wzbudzaliśmy niemałą sensację. Tubylcy uwielbiają być filmowani. Idąc ulicą, czułem się jak Flecista z Hameln. W pewnym momencie otaczało mnie ze trzydzieści, czterdzieści osób. Widziałem kiedyś film, na którym podobny tłum otaczał Gandhiego, i zawsze myślałem, że to dlatego, że był tak lubiany, ale teraz się zastanawiam, czy to czasem nie przez obecność ekipy filmowej.

Dotarliśmy do mieszkania Asheka. To była klitka. Wynajmowałem kiedyś mieszkanie tak małe, że z wanny mogłem oglądać telewizję, ale to i tak nic w

porównaniu z tym tutaj. Jeden pokój z okiennicą w charakterze drzwi, ale za to bez okien. W zasadzie nieduży garaż. Na oko jakieś dwa metry na sześć, z czego połowa zajęta przez urządzenia do kebabów. Strefa mieszkalna to może półtora metra na dwa na tyłach pomieszczenia. Skrajny minimalizm. Żadnych ozdób, telewizora, krzeseł. Tylko koc do siedzenia.



Próbuje się nie wyróżniać.



Krowa świętuje.



Wozę Asheka jego riksza.



Dlaczego facet, który haruje całymi dniami, wożąc ludzi rikszą, a wieczorami sprzedaje kebaby, mieszka w takich warunkach? Pewnie pracuje bez przerwy, bo po co robić przerwę, skoro i tak nie ma gdzie odpocząć.

Powiedział, że dzisiaj chce mnie ugościć. Rozejrzałem się i spytałem, gdzie w takim razie mógłbym się położyć. Byłem zmęczony. Wtedy zaczął coś kręcić, nic z tego nie rozumiałem.

— Nie śpimy tu — powiedział.

— Nie?

— Nie.

— To nie twoje mieszkanie?

— Nie, nie.

— Nie rozumiem. Twoje czy nie twoje?

— Moje, ale dzisiaj tu nie śpimy.

— Kto nie śpi?

— Ty i ja, bo tu dla ciebie za gorąco.

— Bo dla mnie za gorąco?

— Tak.

— Czyli nie zostajemy tu na noc?

— Nie. Nie chcę cię obrazić.

— Wcale bym się nie obraził, jeśli to twój dom. Bez problemu mogę tu spać. A gdzie mielibyśmy iść?

— Do mojego kolegi.

— Gdzie on mieszka?

— Niedaleko.

— Więc ma takie samo mieszkanie?

— Nie.

— Ale głupio mi tak zwałać się na głowę twojemu kumpłowi. Nawet go nie znam.

— Nie, nie.

— Naprawdę mogę się tu przespać.

— Nie, on nie ma nic przeciwko temu. Tylko ty i ja, okej?

— Wiesz co, mam pomysł. Ty idź, bo powinieneś się porządnie wyspać. Cały dzień zasuwałeś. A my tu zostaniemy.

— Nie, nie.

— Dlaczego? Chcę, żebyś się wyspał. Wyglądasz na wykończonego. Dzisiaj myślałem, że mi zemdlejesz na ulicy. Spóźniłeś się. Na początku to się nawet wkurzyłem. Myślę: co za gość? Wystawił mnie do wiatru. To mój pierwszy dzień w Indiach, gdzie on jest? Pojawiasz się, okazujesz się sympatycznym kolesiem. Mówisz, że źle się czułeś, więc nie mogę mieć pretensji. Uczysz mnie prowadzić riksę, pokazujesz mi swój biznes, zapraszasz do domu. Chcę ci się odwdzięczyć, należy ci się dla odmiany jakaś przyjemność z życia. Cały wieczór stałeś przy tych kurczakach, a wcześniej od rana pedałowales po mieście. Powinieneś się wyspać. Idź więc do kumpla, wyśpij się, a mnie pozwól tu zostać. Nic mi nie będzie.

— Nie.

— Jak wygląda to mieszkanie? Opisz mi. Fajne?

— Które?



— Tam, gdzie idziemy. Powiesz mi, czy to ma być niespodzianka?

— Nie, nie.

— Dostanę łóżko?

— Tak.

— Na pewno?

— Na pewno.

— Kojarzysz bajkę o trzech misiach? One nigdy nie były zadowolone. Albo łóżko za duże, albo za małe. I tak się zastanawiam, czy będzie mi lepiej tutaj, czy w miejscu, którego nie widziałem.

— Tam ci będzie lepiej.

— Na pewno?

— Zdecydowanie.

— A na jakiej podstawie tak sądzisz? Jest tam telewizor?

— Jest.

— Ubikacja?

— Też.

— No to chodźmy.

Poszliśmy do domu kolegi. To był starszy pan po sześćdziesiątce. Z wielką przyjemnością udzielił nam noclegu. Mieszkanie miał całkiem w porządku. Skromne, ale czyste. Ashek nie kłamał, ubikacja była, tyle że nietypowa. Taka jak w Egipcie. Pokazał mi, jak z niej korzystać. Wiem, że to wszystko nie brzmi zachęcająco, ale po tak męczącym dniu czułem się tam prawie jak w domu, tylko w telewizji nie znalazłem niczego po angielsku.

Przed snem chciałem zażyć trochę tych dobrych bakterii z saszetki, ale jak tylko poczułem proszek w gardle, natychmiast go zwróciłem. Zupełnie jakby hinduskie bakterie zdążyły już opanować wejście do przełyku i żadnych innych

nie dopuszczają. Na sto procent będę chory.



Niedziela 28 lutego

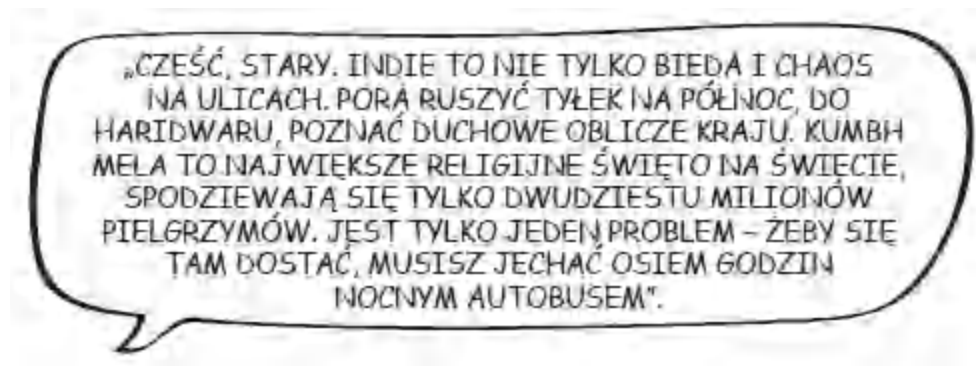
Wstałem wcześnie, na śniadanie była herbata i ciastka. Brzmi to może cywilizowanie, tyle że nasz gospodarz bekał przy stole. Widocznie tutaj nie uchodzi to za nietakt. Przyłączyłbym się, ale nigdy nie umiałem bekać na zawołanie. Jeśli nie bekał, to odkasztuszał flegmę. Jak tylko zaczął, zaraz dołączyła jego żona. Może to tak samo zaraźliwe jak ziewanie? Odkąd przyjechałem do Indii, częściej słyszałem odgłosy bekania niż dzwonki komórek. Oni pewnie uważają, że to niezdrowo zatrzymywać wszystko w sobie.

Kiedy mieliśmy wychodzić, Ashek dał mi do założenia biały strój. Powiedział zagadkowo, że jadę w takie miejsce, gdzie się przyda.



Znowu nic mi nie chcą powiedzieć. Ta niepewność wykańcza mnie najbardziej.

Włączyłem komórkę i zobaczyłem SMS-a od Steve'a.



Wkurzyłem się. Dobrze wiedzą, że nie lubię tłumów i nie interesują mnie te wszystkie duchowe bzdury.

Spytałem Luke'a, jak mam tam dojechać. Kazał złapać riksę i poprosić o podrzucenie na dworzec autobusowy. Tak też zrobiłem. Tym razem była to riksza motorowa. Po drodze mijaliśmy pełno krów — one w Indiach nie pasą się na pastwiskach, tylko łążą normalnie po ulicach i tamują ruch. Widziałem cztery siedzące na środku dwupasmówki. Zapytałem kierowcę, czy widok czterech krów na środku dwupasmówki to znak, że będzie padać, ale nie zrozumiał.

Wysadził mnie w pobliżu dworca. Ledwo zsiadłem z rikszy, uderzył mnie następny szokujący widok. Młody chłopak ubrudzony krwią odrąbywał na żywca łby kurczakom, a korpusy wrzucał do wiaderka, które chwiało się na boki od ostatnich kopnięć kurzych nóg. Inni ludzie też wyglądali na zakrwawionych, tak przynajmniej myślałem, dopóki jakiś tubylec nie wciągnął mnie na swoje podwórko, gdzie mnóstwo osób pokrytych czerwoną, zieloną i żółtą farbą tańczyło w rytm bębnów. Zanim zdążyłem spytać, co jest grane, ktoś wylał na mnie kubek wody, a potem obsypał mnie jakimś wielobarwnym proszkiem. Wyglądałem jak wzornik Duluxa.

Dowiedziałem się, że to doroczne święto zwane Holi. Nie wiem, co to był za proszek, ale piekło mnie w nosie i w gardle. Adidasy też mi zniszczyło. Szkoda,

że Luke mnie nie ostrzegł, bo nie mam innych, a zwykle jedna para starczała mi na rok. Niektórzy ludzie tańczyli, a reszta biegała wkoło z garściami kolorowej farby. Jestem przekonany, że obrywałem częściej, bo była ze mną ekipa filmowa. Jak mówiłem, miejscowi kochają występować przed kamerą. Wcale bym się nie zdziwił, gdyby chłopak rąbiący kurczaki nie był nawet rzeźnikiem.





To mógł być sposób zwrócenia na siebie uwagi, żeby się dostać do telewizji.

Wreszcie wszedłem na ten dworzec. Obskurny betonowy budynek. W środku ciemno, bo dociera mało światła z zewnątrz. Autobusy wyglądały niewiele lepiej. Na złomowisku widziałem auta w lepszym stanie. Te wysłużone graty stały zaparkowane byle jak i nie miały żadnych oznaczeń. Zaczepiłem jakiegoś pracownika i powiedziałem, dokąd chcę jechać. Tak naprawdę najchętniej pojechałbym do domu, ale jemu powiedziałem, że muszę się dostać do Haridwaru. Poszedł ze mną w stronę długiej kolejki, ale nie zatrzymał się na końcu — zaprowadził mnie pod samą kasę. Nie wiem, czego się spodziewał. Już dostatecznie zwracałem na siebie uwagę. Towarzyszyła mi ekipa filmowa, a poza tym, gdyby ktoś jeszcze nie zauważył, byłem cały ubabrany farbą. Nawet ślepy by usłyszał, że się przemieszczam na początek kolejki, tak mi chlupało w butach.

I się zaczęło. Grupa facetów podeszła z pretensjami, że się wpycham na chama. Nie dziwię im się. Też bym się wkurzył na ich miejscu. Odparłem, że nie ma sprawy, chętnie się ustawię na końcu. Wcale mi się nie śpieszyło na religijny spęd, w którym weźmie udział dwadzieścia milionów ludzi. Sytuacja stała się niezręczna, w dodatku autobus się spóźniał. Ale to akurat nie było dla mnie zaskoczeniem. Delhi pewnie wzięło swoją nazwę od słowa „delay”[3].

To był kolejny trudny moment tej podróży. Stojąc w kolejce, poczułem, że ktoś mi się płacze pod nogami. Najpierw myślałem, że pucybut, ale okazało się, że to beznogi żebrak. Co za przygnębiające miejsce. Luke powiedział, że tutejsi mieszkańcy mają szczególne podejście do kalectwa: wierzą, że ci ludzie w poprzednim życiu nagrzeszyli i Bóg ich ukarał, odejmując im kończyny.

W końcu udało mi się kupić bilet i wszedłem do zatłoczonego autobusu. Przejście było zavalone tobołami, ledwo się mieściłem z plecakiem. Pech chciał, że tym samym autobusem jechał facet, który wszczął awanturę przy kasie. Wciąż był czerwony ze złości. A ja ciągle byłem czerwony od farby.



Poniedziałek 1 marca

Już marzec. Zawsze zapominam, że luty jest taki krótki. W Indiach marzę, żeby dni były krótsze, a co dopiero miesiące.

Do Haridwaru, o dziwo, dotarłem w jednym kawałku. Drogi w tym kraju to istny koszmar. Najpierw myślałem, że mają tyle progów zwalniających, ale okazało się, że to wszystko dziury i wyboje.

Kiedy dojeżdżaliśmy do miejsca festiwalu, za oknem ciągnęły się po horyzont pola namiotowe. Całkiem jak w Glastonbury, tylko zamiast zakapturzonych nastolatków w obwisłych dżinsach pełne brodatych starców w długich szatach i naszyjnikach.

Luke powiedział, że zamieszkam w hotelu Lahore. Nie miałem wielkich oczekiwań, więc byłem mile zaskoczony, kiedy się okazało, że nie jest źle. Dostałem luksusowy namiot z widokiem na Ganges. W środku wszystkie wygody: prąd, prysznic i normalna ubikacja. Całe szczęście, bo padałem z nóg i zaczynał mnie pobołować brzuch.

Wszedłem pod prysznic i zmyłem z siebie farbę. Scena jak z *Psychozy* — woda spływała czerwonymi strumieniami. Potem zużyłem sześć patyczków, żeby doczyścić uszy.

Wykąpany wyszedłem popatrzeć na świętą rzekę Ganges. Wreszcie miałem chwilę spokoju, pierwszy raz od przyjazdu.

Potem zjedliśmy curry i poszliśmy spać.



Wtorek 2 marca

Rano przypomniało mi się stare powiedzenie: „Zmiana może zastąpić odpoczynek”. Pobyt w Indiach jest dużą zmianą, a jakoś nie czuję się wypoczęty. Boję się za bardzo rozluźnić, bo moje jelita nie są w najlepszej kondycji. Wziąłem ze sobą pieluchę. Luke’owi nic nie mówiłem, bo zaraz chciałby sfilmować, jak pakuję torbę.

Nie mogę się odprężyć z jeszcze jednego powodu — tutaj bez przerwy coś się dzieje, przyciąga uwagę. Mam wrażenie, że nawet rzadziej teraz mrugam, bo nie chcę niczego przegapić. Pewnie od tego bolą mnie oczy. Poza tym jestem niewyspany. Koło drugiej obudził mnie jakiś gość drący się przez megafon. Po każdej wypowiedzi rozlegały się głośne wiwaty. Musiało go słuchać parę tysięcy osób. Nie dało się spać. Niepotrzebnie wyczyściłem uszy, może farba trochę by to stłumiła.

Codziennie między siódmą a ósmą i potem między osiemnastą a dziewiętnastą z głośników zawieszonych na latarniach rozlegają się monotonne śpiewy. Najpierw śpiewa facet, a potem to samo powtarza kobieta. Nie sposób od tego uciec. Tak jak wtedy, gdy na listach przebojów królował Bryan Adams ze swoim *Everything I Do, I Do It For You* i dosłownie wszędzie to leciało, którąkolwiek stację włączyłeś. Pod koniec tygodnia będę tym rzygał. O ile wcześniej nie dopadnie mnie sraczka.

Luke mówił, że dużo ludzi przyjeżdża na festiwal Kumbh Mela, żeby „odnaleźć siebie”. Nigdy nie rozumiałem tego pojęcia. Jak niby miałbym to zrobić w dwudziestomilionowym tłumie ludzi? Nie znoszę tłumów. Poza tym co będzie, jeśli się „odnajdę” i wrócę do domu całkiem odmieniony, a Suzanne powie: „Co się z tobą stało?” i ten nowy „ja” jej się nie spodoba? Właśnie stworzyłem nowy problem. A potem sam bym się znienawidził za to, że nie jestem tym, kim myślałem, że jestem. Otworzyłbym puszkę Pandory. Wiem, kim jestem. Rachunki przychodzą na nazwisko Karla Pilkingtona, więc mam nadzieję, że to ja, bo jeśli nie, nie mam pojęcia, za kogo płacę.

Mam wątpliwości, czy powinienem brać udział w święcie religijnym, bo mnie te sprawy w ogóle nie interesują. Religia nigdy nie była mi do niczego

potrzebna. Nie przeszkadza mi, że inni się w to bawią, ich sprawa, ale co ja tu robię? Nawet gdybym dał się wciągnąć, długo nie wytrwam. Łatwo się nudzę. To dlatego tata nie pozwolił mi zatrzymać znalezionej żółwia. Powiedział, że one za długo żyją i szybko stracę zainteresowanie. Z tego samego powodu nie lubiłem w dzieciństwie landrynek.

Przy śniadaniu Luke podsunął mi gazetę. Była tam wzmianka o kłopotach sercowych Cheryl Cole. Dziwne, że indyjska prasa zajmuje się takimi rzeczami, zważywszy na to, jakie sami mają problemy. Przeczytałem też, jak tubylcy zbierają krowie łajno i ocieplają nim domy, a potem odłupują i wykorzystują na opał. To nie może wyglądać zachęcająco. Ciekawe, jak sobie radzą agenci nieruchomości, wszak pierwsze wrażenie jest najważniejsze. Znalazłem też ogłoszenie o wizycie na festiwalu człowieka słonia. To facet o zdeformowanej twarzy traktowany tutaj jak święty, bo trochę przypomina hinduskiego boga Ganeśę, który ma głowę słonia, a ciało kobiety. Widziałem dużo przedstawiających go figurek. Mają jeszcze jednego boga, z pięcioma głowami. Takiego, jak spotkam, chyba kupię mamie w prezencie, bo nasz tata ciągle coś tłucze, a w figurkach zwykle pierwsza odpada głowa. Tę mógłby upuścić aż pięć razy, zanim nadałaby się do kosza.

W gazecie był jeszcze artykuł o innej atrakcji festiwalu, człowieku, który od dwunastu lat trzyma prawą rękę uniesioną do góry. Wszystkie mięśnie mu zanikły, a paznokcie niesamowicie urosły. W sumie zmarnował dobrą rękę, a tylu ludzi w Indiach nie ma ich wcale.

Potem zadzwonił Steve. Chyba chciał mi poprawić humor:



Jak leci?

Miewałem lepsze wakacje.

To nie są wakacje! Ile razy muszę ci przypominać, że nie jesteś na wakacjach, tylko robisz program o podróżach dla telewizji.

Wiem, ale chyba powinienem mieć z tego choć trochę przyjemności. Kiedy patrzysz na ludzi podróżujących po świecie, zwykle są szczęśliwsi niż ja tutaj. Tylko o to mi chodzi. Mówię ci, parę razy byłem bliski załamania.

Co tym razem się stało?

A od czego mam zacząć? Ubabrali mnie farbą. Wszędzie widzę kalekich ludzi. Dostałem sraczkę. Wymieniać dalej?

Kto cię ubabrał farbą? Potrąciłeś drabinę malarzowi?

Nie, to jakiś tutejszy zwyczaj. Nie wiem, może mają nadwyżki farby w proszku i w ten sposób jej się pozbywają. Czasem tak bywa, że czegoś jest za dużo i trzeba upłynić... Na przykład to zalecenie, żeby jeść owoce pięć razy dziennie. Po prostu na świecie jest za dużo owoców, stąd takie pomysły.



Rozumiem. Ale z tego, co mówisz, dużo się dzieje, powinieneś być zadowolony. Obcy ludzie pokazali ci swój świat. To chyba ciekawe.

Ale czuję się trochę niezręcznie. Poznałem takiego jednego Asheka. Strasznie fajny gość, pracowity. Potem zaprosił mnie do siebie i się załamałem. Pamiętasz to moje mieszkanie w Londynie?

Taka klitka.

No. To on ma jeszcze mniejsze.

O, kurde. Czemu nie kupiłeś mu lustra w prezencie, podobno optycznie powiększają wnętrza?

Bo widziałby w nim odbicie swojej własnej budki z kebabami. Ani na chwilę nie mógłby uciec od pracy.

No tak, Karl, ale wiele razy ci już mówiłem, że podróże mają służyć poszerzaniu horyzontów. Ty masz problemy z empatią. Bardzo trudno ci jest wczuć się w czyjeś położenie. To ważne doświadczenie. Ma ci otworzyć oczy. Masz okazję zobaczyć świat, jakim jest naprawdę. Nie wszyscy żyją w ciepłarnianych warunkach. Kiedy będziesz w Londynie i pomyślisz o tych ludziach, uświadomisz sobie, że twoje życie wcale nie jest takie ciężkie.

Dobra, dobra, prawisz mi kazania, a nie wiesz, jak to wygląda na miejscu. Nie wiesz, co ja przeszedłem. W dodatku kazałeś mi przyjechać na ten festiwal. Widziałeś, jak to wygląda?



Ja ci wręcz zazdroszczę. Kumbh Mela to największe święto religijne i duchowe na świecie. Tam, gdzie teraz jesteś, odbywa się raz na dwanaście lat. Miliony ludzi przemierzają pieszko Indie, żeby wziąć w nim udział.

Bo mają beznadziejne autobusy.

Zawsze mówiłeś, że fascynują cię ludzie, fascynują różnice. Tam spotkasz gości, którzy dokonują niesamowitych wyczynów: przez kilkanaście lat trzymają rękę w górze, śpią na gwoździach. To przecież fascynujące. Na pewno nie chcesz się dowiedzieć, co nimi kieruje? O czym myślą? Stary, my nie chcemy cię nawracać, chcemy tylko, żebyś coś zobaczył, odkrył, poznał innych ludzi. To niesamowita okazja.

A jeśli ci powiem... Ten gość z ręką w górze, o którym mówiłeś, dzisiaj widziałem parę jego zdjęć w gazecie i na jednym ma uniesioną prawą rękę, a na drugim lewą. Jak to możliwe? O co chodzi?

Znajdź go i zapytaj. Nie znasz zasad. Może wolno im zmieniać rękę co dziesięć minut. Może na drugim zdjęciu podniósł ją, bo chciał zadać pytanie na jakimś spotkaniu. Tego nie wiemy, ale o to wszystko możesz spytać...

(rozmowa się urywa)

Jestem.

Halo?



No więc tak to tutaj wygląda. W dodatku wszystko jakieś niedokończone, rozgrzebane. To też mnie irytuje. Mówisz o odnajdywaniu siebie, szukaniu sensu życia, a oni powinni się wziąć do roboty i zbudować kanalizację, drogi naprawić. Są inne rzeczy w życiu, które trzeba załatwić. Mnie nie interesują te wszystkie duchowe sprawy. Owszem, lubię czasem poczytać o duchach, lubię spotkać człowieka, który wygląda dziwnie. Takie rzeczy są w stanie mnie zaciekawić na chwilę, ale to nie znaczy, że chcę się gnieść w dwudziestomilionowym tłumie, żeby je zobaczyć.

Musisz wyjść ze swojej bezpiecznej skorupy. To jest istota tej podróży.

Odkąd tu jestem, nie czuję się tu bezpiecznie.

Świat jest wielki i fascynujący. Musisz poeksperymentować, żeby dojrzeć jego inne strony. Nikt ci nie każe gnieść się w tłumie, wystarczy, że się pokręcisz z boku i pogadasz z ciekawymi ludźmi. Czego się boisz, przecież nie jesteś małym zwierzątkiem, którym trzeba się opiekować, tylko dorosłym facetem, który umie sam o siebie zadbać. Nic ci nie będzie.

Ale widzisz, gdybyś powiedział „leć w kosmos i obejrzyj to z góry”, zrobiłbym to z przyjemnością. Miałbym niesamowity widok. I byłbym sam, nie w tłumie. Wtedy też mógłbym powiedzieć: widziałem to. Właściwie najchętniej wszystko bym stamtąd obejrzał. Zaliczmy te siedem cudów za jednym zamachem, zamiast się pieprzyć z wysyłaniem mnie do miejsc, gdzie źle się czuję, dostaje sraczkę i muszę zjeść curry na śniadanie, obiad i kolację. Są jakieś granice wytrzymałości. Nie chcę narzekać, ale...



Tylko nie to!

Nie rozumiem, czemu uważasz, że powinienem się „odnaleźć”. Skąd ci się to wzięło? Odkąd się znamy, nigdy mi tego nie mówiłeś.

Wcale nie powiedziałem, że powinieneś, ale możesz spróbować, skoro tam jesteś. Sam zdecyduj. Ja ci tylko mówię: idź i przeżyj to osobiście. Nie musisz od razu doznawać religijnego objawienia, odkrywać Boga i tak dalej. Nie musisz zostawać hinduistą – po prostu tam idź.

To tak, jakby wejść do burdelu i powiedzieć: „Nie krępujcie się, ja tu sobie postoję i popatrzę”. Albo się angażujesz, albo wypad. Dlatego uważam, że nie powinienem tu być. Nie czuję potrzeby, żeby się nagle „odnajdywać”, i nie kręci mnie ta cała duchowa otoczka, o której ciągle trujesz. To do mnie nie pasuje. A co, jeśli przez ciebie się zmienię i przestaniemy się dogadywać? Stracisz kumpla.

Już teraz się nie dogadujemy, więc w czym problem? A może staniesz się miłszym, spokojniejszym facetem. Takim, który nie marudzi bez przerwy! Do jasnej cholery, Karl, zaliczyłeś Egipt, byłeś w Rio... Myślałem, że zdążyłeś zauważyć, że świat może wyglądać inaczej.

Uhm.

To piękne, dziwne i niezwykle miejsce.



Środa 3 marca

Dowiedziałem się, że idąc na święto Kumbh Mela, nie mogę mieć na sobie nic skórzanego, bo mnie nie wpuszczą. Znowu chodzi o krowy. Nadal nie wiem, kto wymyślił te zasady.

Widziałem dziś na festiwalu dużo babów. Babowie to goście, którzy chodzą prawie nadzy i całe ciało mają wysmarowane popiołem. Niektórzy udzielali mi nawet błogosławieństw. Tłumacz powiedział, że jeśli przyjmuję błogosławieństwo, muszę zapłacić sto rupii (mniej więcej jeden funt).

Z jednym babą ćwiczyłem jogę. Śmiał się ze mnie, bo nie umiałem się tak wygiąć jak on. Nic dziwnego, siedział kompletnie goły, nie licząc przeciwsłonecznych okularów, a ja miałem na sobie bojówki z kieszeniami wypchanymi toffi, które zwędziłem z poczekalni na lotnisku. Przewodnik powiedział, że jeśli dopłacę joginowi, pokaże mi jeszcze więcej. Nie wiem, czy to w ogóle możliwe; w jednej z pozycji tak mi się wypiął w twarz, że mógłbym mu zbadać prostatę. Spytałem go, czy zna jednorękiego babę albo człowieka słonia. Pokazał mi, gdzie mam iść, i poszedłem.

Po drodze inny baba, który wyglądał jak Bill Oddie[4], częstował mnie trawką, ale podziękowałem. Tłumacz zwrócił mi uwagę, że mogłem go tym obrazić. Spytałem więc „Billa”, czy zna jednorękiego babę. Odparł, że tak. Czuję się trochę jak w wielkim blokowisku, gdzie wszyscy wszystkich znają, ale tylko z przezwiska. Na naszym osiedlu mieliśmy Fleję, Łysego Jima, Johnny’ego Śrubkę, Freda Warzywko, Pana w Szortach, Pannę Piggy i Dziarę (to mój wujek).

Znaleźliśmy człowieka słonia. Prawdę mówiąc, trudno było stwierdzić, w jakim jest nastroju, bo jego twarz nic nie wyrażała. Do tego całe ciało miał pokryte guzkami. Może to dziwne, ale wcale nie wydał mi się aż takim

odmieńcem. Nie wiem dlaczego. Chyba przez to, że od przyjazdu do Indii widziałem niejedno dziwactwo. Poza tym był prawie goły. Myślę, że dziwniej by wyglądał, gdyby miał dżinsy, koszulę i krawat. Nie wiem, czy to ma sens, ale tak uważam.

Spytałem go, ile ma lat, bo nie dało się ocenić. Zawsze się nad tym zastanawiałem, kiedy oglądałem film *Człowiek słoń*. Mógłby zajmować w autobusie miejsca dla seniorów albo kupować fajki jako nie letni. Odpowiedział, że ma jakieś czterdzieści pięć, czterdzieści sześć lat i wcale mu nie przeszkadza jego upośledzenie. Traktują go tu jak bóstwo i jest dumny, że jest częścią tej społeczności. Dodał, że nie zdecydowałby się na operację plastyczną.



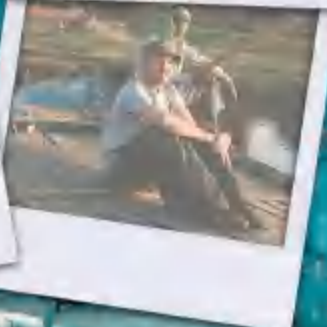
Sobowtór Ganeši.



Baba w pracy.



Jednoreki baba.



Koleś, który koło niego siedział, chyba czuł się zaniedbywany i koniecznie chciał zwrócić na siebie uwagę. Mówię tak, bo nagle się poderwał, chwycił bambusową laskę, owinął wokół niej klejnoty i zaczął podskakiwać. Aż mnie wszystko zabolalo. Spytałem tłumacza, po co to robi. Odparł, że maltretując swoje genitalia, pokazuje ludziom, że seks nic dla niego nie znaczy. Byłem ciekaw, czy przez to, że ćwiczy tak codziennie, musi chodzić o lasce, ale tłumacz nie chciał go o to pytać.

To była zdecydowanie najdziwniejsza sytuacja, w jakiej się znalazłem od przyjazdu do Indii: siedzę obok człowieka z głową słonia, a jego kumpel wykręca sobie fiuta na kiju. Masz, co chciałeś, Steve, właśnie poszerzyłem swoje horyzonty.

Wreszcie odnalazłem jednorękiego babę, o którym pisali w gazecie. Siedział otoczony liczną grupą wyznawców. Zdaje się, że to najważniejszy baba na festiwalu. Usiadłem, wręczyłem mu dwieście rupii, a on udzielił mi błogosławieństwa i dał do zjedzenia trochę popiołu. Wiem, że to zabrzmiało dziwnie, ale po codziennym jedzeniu curry na każdy posiłek była to miła odmiana. Zapytałem, skąd pomysł na ten numer z ręką. Tłumacz wyjaśnił, że to nic nowego, są babowie, którzy trzymają w powietrzu jedną nogę, obie ręce albo obie nogi. Nigdy nie stają na ziemi. Ponoć w ten sposób można się bardziej zbliżyć do bogów i skoncentrować na tym, co w życiu najważniejsze.

Zadałem kilka pytań, których tłumacz nie chciał przekazać babie. Na przykład, czy wcześniej był praworęczny. Chciałem się dowiedzieć, ile poświęcił dla wiary. Potem zapytałem, czy pamięta ostatnią rzecz, jaką robił tą ręką. I znowu tłumacz nie chciał mi pomóc. Przekonywałem go, że to dobre pytanie, przecież musiała to być bardzo ważna chwila w jego życiu. W końcu mu je zadał, ale się okazało, że baba nie chce odpowiedzieć. Co więcej, mówi, że powinniśmy już iść. Mam nadzieję, że się nie obraził.

Myślałem o nim, wracając do namiotu. Wszyscy czemuś się poświęcamy. Od

siedemnastu lat jestem z Suzanne. To jest coś. Ciekawe, czy jednoręki baba ma żonę, powinienem był spytać. Co z domowymi obowiązkami? Poza prasowaniem właściwie nic nie mógłby robić. Suzanne nie byłaby zadowolona, słysząc: „Kochanie, od tej pory będziesz musiała sama zmieniać pościel, bo postanowiłem do końca życia trzymać jedną rękę w powietrzu”. Według mnie to po prostu niezła wymówka, żeby się opieprzać. Zauważyłem, że na każdym zdjęciu baba siedzi. Wcale się nie stara, żeby druga ręka pracowała za dwie. Po prostu beczynnie siedzi.

Słabe to trochę.



Czwartek 4 marca

Byłem dziś w aśramie i poznałem guru. Bardzo sympatyczny starszy gość. Nazywa się Swami Dzi. Pogadaliśmy sobie i wymieniliśmy poglądy. Powiedział mi, że powinniśmy w naszym postępowaniu kierować się sercem, ale zbyt wiele osób pozwala, aby to umysł przejął kontrolę. Odparłem, że i ja do nich należę. Jeśli coś czuję w okolicy serca, to przeważnie jest zgaga. Wtedy wiem, że zjadłem za dużo placka. Zawsze tak mam po cieście.

Myślę, że mnie polubił. Pośmialiśmy się i choć żyjemy w zupełnie różnych światach, okazało się, że w wielu sprawach kierujemy się tymi samymi zasadami. Trochę medytowaliśmy, a potem wsiadłem na jego ponton i wykąpałem się w Gangesie. Nie planowałem tego, ale spodobało mi się, że wysłuchał tego, co mam do powiedzenia, po tym, jak ja wysłuchałem jego. Uznałem, że choć tyle mogę dla niego zrobić. Może to był głos serca?

Wreszcie zaczynam się tutaj czuć normalnie.

Dzisiaj nocuję w aśramie, a rano muszę wstać wcześniej, bo jedziemy do Agry zobaczyć w końcu Tadź Mahal, po to tu przecież przyjechałem. Ale nie wiem, czy to będzie moje główne wspomnienie z Indii. Zapamiętam raczej dziwaczność tego miejsca.

Przed pójściem spać włączyłem telefon. Ricky zostawił mi wiadomość:

„CO SŁYCHAĆ? WŁAŚNIE PIJĘ HERBATKĘ I OGLĄDAM TELEWIZJĘ. DOPIERO WRÓCIŁEM Z NOWEGO JORKU. NOCNYM SAMOLOTEM, PIERWSZĄ KLASĄ. LUKSUS. PO KILKU KIELISZKACH SZAMPANA PRZESPAŁEM CAŁĄ DROGĘ. ŚWIETNE MAJĄ TE FOTELE, NIE? DOBRA, POGADAMY PÓŹNIEJ, CZEŚĆ”.

Nie chcę nawet myśleć, ile mnie kosztowało odebranie tego SMS-a.



CIEKAWOSTKI KARLA



Tadž Mahal budowało
20 000 robotników przez 22 lata.



Do transportu materiałów
użyto ponad tysiąc słoni.



Tadž Mahal o świcie jest różowy,
wieczorem mlecznobiały,
a nocą przy świetle księżycy złoty.
Miejscowi uważają, że to ma obrazować
zmiennie nastroje kobiety.



Piątek 5 marca

Obudzili mnie wcześniej, potem zjadłem śniadanie z guru. Był dmuchany ryż z przyprawami, korzenne ciasteczka, a do tego bardzo słodka herbata z mlekiem. Zwykle takiej nie pijam, ale tym razem wypilem, żeby go nie urazić. Możliwe, że znowu kierowało mną serce, nie głowa. Później pewnie odezwą się kiszki.

Wreszcie wyruszyliśmy do Tadź Mahal. Spodziewałem się, że będziemy jechać cały dzień, ale w którymś momencie się zatrzymaliśmy i Luke kazał mi wyjść na spotkanie z jednym hare krysznowcem. Krysznowiec oprowadził mnie po swoim krowim sanktuarium. Krowy są tam totalnie rozpieszczane. Wszystko dlatego, że bóg Kryszna je sobie upodobał. Pomogłem jedną umyć, potem tamci odśpiewali dla niej pieśń i ją pobłogosławili. Nie wyglądała na szczęśliwą. Jeśli już, to na zażenowaną.

Potem zmusili mnie do lepienia placków z krowiego łajna. Tych, o których czytałem w gazecie, że są używane do ocieplania domów, a potem odłupywane i wrzucane do ognia, żeby dłużej się palił. Kazali mi zanurzyć obie ręce w wielkiej kupie łajna, nabrać trochę, rzucić na ziemię i uklepać płaski naleśnik. Cały czas podkreślali, że jest świeże, jakby to cokolwiek zmieniało. Pierwszy raz w tym kraju usłyszałem z czyichś ust słowo „świeży”.

Ulepiłem dwa placki i musiałem się na nich podpisać.

Przed wyjściem zaciągnęli mnie jeszcze do sklepu z pamiątkami. Byłem jedynym klientem, co nie powinno dziwić, biorąc pod uwagę, że wszystkie produkty zrobiono z krowiej kupy i sików. Perfumeria to to nie była. W dzisiejszych czasach, kiedy każdy produkt musi mieć wypisany na opakowaniu szczegółowy skład, taki sklep nie ma szans na sukces. Gówno, choćby najładniej opakowane, zawsze pozostanie gównem.

A wierzcie mi, że się starali. Można było kupić kremy do twarzy, mydełko,

preparaty na łysienie i otyłość, a nawet specjalny, wyprodukowany z moczu antyseptyczny płyn po goleniu dla mężczyzn. Sprzedawca wtarł mi w skórę głowy trochę kremu przeciw łysieniu. Tego jeszcze nie próbowałem. W Anglii wprawdzie proszę swojego fryzjera o „numer dwa”, ale mam na myśli rozmiar nakładki maszynki do strzyżenia, nie czynność toaletową.

Gdy piszę te słowa, jestem już w drodze do Agry. Zdaje się, że to jeszcze bardziej zwariowane miasto niż Delhi. Mam wrażenie, że w Indiach nazwa od razu określa charakter miejsca. Już mówiłem, że „Delhi” brzmi jak *delay*, a teraz wydaje mi się, że „Indie” brzmią jak *in dire*[5], a „Agra” jak *aggro*[6]. To nie może być przypadek.

Muszę przestać pisać, bo strasznie trzęsie i zrobiło mi się niedobrze. Nie wiem, czy przyczyną jest choroba lokomocyjna, czy smród krowiej kupy na mojej głowie.



Sobota 6 marca

Fatalnie dziś spałem. W nocy obudziły mnie mdłości, do tego jakieś sensacje w brzuchu. Muszla stoi za daleko od umywalki, a szkoda, bo to się przydaje, gdy z człowieka leci z obu stron. Nigdzie nie spędziłem tyle czasu na kiblu jak w tym hotelu. To nie jest pokój z łazienką, a raczej łazienka z pokojem.

Szczerze mówiąc, nie byłem w formie, żeby oglądać Tadź Mahal. Brzuch mnie bolał i w ogóle. Ale musiałem, bo tylko dziś mieliśmy pozwolenie na filmowanie.

Luke powiedział, że to mauzoleum, którego budowa trwała aż dwadzieścia dwa lata. Mogolski władca Szahdżahan kazał go wznieść na cześć swojej żony, która zmarła, rodząc mu czternastego syna. Miał stanowić najwspanialszy symbol miłości.

A mnie się coś wydaje, że gość od dawna chciał coś takiego postawić, tylko

żona mu nie pozwalała, więc kiedy umarła, wykorzystał pretekst, żeby zrealizować marzenie. Mój wujek zawsze chciał mieć telewizor plazmowy, ale ciotka uważała, że to niepotrzebne wyrzucanie pieniędzy. Kupił go sobie zaraz po jej śmierci.

Podeszliśmy bliżej. Aż dziwne, że ktoś zaliczył ten zabytek do cudów świata — otoczenie nie jest zbyt atrakcyjne. Gdyby go pokazywali w którymś z tych programów o nieruchomościach, potencjalni kupcy pewnie by mówili: „Wziąłbym, ale gdyby można go było przenieść w jakieś ładniejsze miejsce”. Naprawdę nie powinni byli go tutaj stawiać.

Na zewnątrz kompleksu były setki ludzi: połowa z nich sprzedawała pocztówki, pamiątkowe talerze, breloczki i kule śnieżne; reszta to turyści.

Jak tylko weszliśmy za bramę, natknęliśmy się na następną kolejkę. Tym razem do ławki księżnej Diany. To tu zrobiono jej słynne zdjęcie w czasach, gdy miała problemy z Karolem. Wszyscy mówili, że dlatego ma na nim taką nieszczęśliwą minę, ale ja myślę, że nie o to chodziło. Moim zdaniem miała po prostu dość Indii. One tak działają na człowieka. Kiedy przechodzisz trudne chwile, to nie jest najlepsze miejsce, żeby się pozbierać. Poleciałbym jej zamiast tego Center Parcs.



Na ławce siedziała kobieta i próbowała odtworzyć tamto ujęcie. Facet z aparatem instruował: „Za wesoła mina. Musisz być smutniejsza”.

Moim przewodnikiem był niejaki Remish. Fajny gość. Rozmawialiśmy po drodze, a to dużo lepsze niż wysłuchiwanie suchego wykładu. Dowiedziałem się, że budowla jest idealnie symetryczna. To też dziwny pomysł na coś, co miało symbolizować prawdziwą miłość. Może facet cierpiał na jakąś nerwicę natręctw?

Remish pokazał mi kilka ciekawych złudzeń optycznych. Kiedy obserwując świątynię przez łuk bramy, przesuwałem się w przód i w tył, miałem wrażenie, że budynek porusza się razem ze mną. Z kolei wzór na marmurowych kolumnach sprawiał wrażenie, jakby był nie płaski, tylko wypukły. Wszystko to bardzo sprytne, tylko nie rozumiem, czemu cesarzowi zależało, żeby oglądaniu grobowca jego żony towarzyszyły takie efekty. To tak, jakby na nagrobku ukochanej osoby wyryć planszę sudoku.

Im dłużej mu się przyglądałem, tym bardziej rósł mój podziw dla kunsztu budowniczego. Być może podobał mi się z innych powodów niż pozostałym, ale naprawdę był niesamowity.



Postanowiliśmy uciec od tłumu i obejrzeć mauzoleum z łodzi na rzece Humana. Z tej strony było o wiele spokojniej. Prawdę mówiąc, nie czułem się tak odprężony od początku pobytu. Żadnych klaksonów, zebrania, krzyków, mantr. Było prawie idealnie. Prawie, bo zauważyłem smugę dymu unoszącą się znad brzegu tuż obok świątyni. Zapytałem Remisha, co to jest, i usłyszałem, że w tym miejscu pali się ciała zmarłych.

Jak mówiłem, w Indiach na każdym kroku znajdziesz coś dziwnego.







ROZDZIAŁ CZWARTY
CHICHÉN ITZÁ





„NAJSŁYNNIEJSZY, NAJBARDZIEJ IMPONUJĄCY
I W ZWIĄZKU Z TYM NAJCZĘŚCIEJ ODWIEDZANY
ZABYTEK KULTURY MAJÓW W MEKSYKU”.

1000 MIEJSC, KTÓRE TRZEBA
ZOBACZYĆ PRZED ŚMIERCIA

„DZIWNIE TO CAŁE CHICHÉN ITZÁ. ZBUDOWALI
JE MAJOWIE I SŁYNIE Z TEGO, ŻE SKŁADANO TU
OFIARY Z LUDZI POPRZECZ WYRYWANIE IM SERC ALBO
ODCINANIE GŁÓW. DISNEYLAND TO TO NIE JEST”.

KARL PILKINGTON



Czwartek 1 kwietnia

W sumie mam szczęście. Właśnie sobie uświadomiłem, że niewielu ludzi ma szansę tyle zwiedzić co ja i jeszcze dostawać za to forszę. Kiedyś w księgarni zerknąłem na mapę świata, żeby zobaczyć, gdzie już byłem. Jeszcze nie tak dawno mówiłem Ricky'emu, że to bez sensu trzymać w domu mapę świata. „Po co ci ona? — pytałem. — W aucie przecież się nie przyda”. Teraz to nawet można kupić mapę kosmosu. Tylko niby w jakiej sytuacji mielibyśmy jej użyć? Astronauci jej nie kupią, bo słyszałem, że kosmos ciągle się rozszerza, więc zanim zdążyłaby wyschnąć farba drukarska, mapa byłaby już nieaktualna.

Przygotowałem dziś rzeczy do zabrania w podróż. Kiedy się pakowałem, wpadł do mnie Jamie, producent, i chwilę rozmawialiśmy. Zwierzyłem mu się, że kompletnie nic nie wiem o Meksyku. Jedyne skojarzenie to sieć knajp Chiquito w przydrożnych centrach handlowych. Dają tam tortille i ostre sosy, które dosyć lubię, ale to jeszcze nie znaczy, że spodoba mi się sam kraj. Lubię curry, ale Indie to najgorsze miejsce, w jakim byłem.

Jamie powiedział, że w Meksyku ogólnie dominuje bezprawie. Ja wiem, czy jest się czego obawiać? Gdybym mieszkał w kraju, gdzie nie obowiązują żadne przepisy, nie wiem, czy postępowałbym inaczej niż teraz. Uważam, że większość ludzi łamiących prawo robi to właśnie dlatego, że to nielegalne. Chodzi o dreszcz emocji. W dzieciństwie zdarzało mi się coś zwędzić i to były rzeczy, których wcale nie potrzebowałem. W miejscowym sklepiku z gazetami podbierałem linijki, długopisy, a raz kątomierz. Nawet nie umiałem go używać, ale dobrze wiedziałem, że nie powinienem go brać. Gdyby dawali za darmo, pewnie bym się nie zainteresował.

Teraz, kiedy Jamie powiedział o tym bezprawiu, wyobrażam sobie Meksyk jako miejsce jak z gry *Grand Theft Auto*, którą kiedyś miałem na PlayStation.

Możesz się rozbijać samochodem po ulicach, przejeżdżać ludzi, strzelać i wysadzać różne rzeczy w powietrze, ale szybko się tym nudzisz. Uważam, że człowiek musi czuć, że ma jakiś cel w życiu.

Z Meksykiem kojarzą mi się jeszcze kaktusy. Dziwaczne rośliny. Ja bym nigdy takiej nie kupił. One są dla ludzi, którzy nie potrafią dbać o normalne kwiatki. Nawet nie są ładne. Widuję je tylko w poczekalniach u lekarzy i dentystów. Moja ciocia ma kilka, ale wystawiła je na ganek pod oknami, dla bezpieczeństwa. Taki naturalny drut kolczasty.



Piątek 2 kwietnia

Wielki Piątek. Dzisiaj lecieliśmy liniami meksykańskimi. Nie lubię korzystać z zagranicznych linii, bo wszystkie komunikaty najpierw podają w swoim języku, a dopiero potem po angielsku. Denerwuję się w takich sytuacjach. W razie zagrożenia wszyscy dawno zdążyliby uciec z samolotu, zanim ja bym się zorientował, co się dzieje. To chyba dobry powód, żeby się zacząć uczyć języka.

Leciliśmy długo, jakieś dwanaście godzin. Bardzo mnie męczy siedzenie bez ruchu w fotelu (choćby dlatego nigdy nie mógłbym zagrać w teleturnieju *Mastermind*). Cierpię na zespół niespokojnych nóg. One muszą coś robić, chodzić albo się ruszać. Ludzie, którzy tego nie mają, nie rozumieją mnie. Czasami, kładąc się do łóżka, spuszczam je na podłogę, wtedy to dziwne uczucie mija. Nie znam nikogo innego, kto musi zasypiać wcześniej niż jego nogi.

Sytuację pogarszał fakt, że z przodu samolotu był duży ekran pokazujący co chwila, ile jeszcze czasu zostało do lądowania. Nie lubię wiedzieć takich rzeczy. Gdy pisałem inne moje książki, musiałem wyłączyć w komputerze licznik słów, bo mnie denerwowało, kiedy widziałem, że muszę ich jeszcze nastukać ze czterdzieści tysięcy. Ktoś spyta: „Po co używać stu słów, kiedy można coś wyrazić w dziesięciu”. Odpowiadam: bo mam normę do wyrobienia.

Z lotniska miał mnie odebrać niejaki Edgar, taksówkarz. Nie mógł podjechać pod sam terminal, bo nie ma oficjalnej licencji.

Zadzwoił, że czeka na mnie po drugiej stronie dwupasmówki. Musiałem się przedostać przez ruchliwe ulice, słuchając wskazówek przez telefon i taszcząc za sobą walizkę. To przypominało grę we *Froggera*. Edgar trzymał w ręku tabliczkę z napisem „Karlos Piklington”. Nie chciało mi się go poprawiać. W Anglii ludzie ciągle przekręcają moje nazwisko. Raz jestem Pillingtonem, innym razem Pilocktonem, Pillickingtonem albo Dilkingtonem. Trudno więc było mieć do niego pretensje.



Taksówka Edgara była lekko zdezelowana. Edgar miał psa, ale innego, niżbym się po nim spodziewał — chihuahue o imieniu Jack. Był strasznie nadpobudliwy. Jeśli po mnie nie skakał, próbując zgwałcić moją rękę, to wykrztuszał kłębki sierści. Psy tej rasy mają naturalnie wybałuszone oczy, więc wyglądało, jakby się dusił, choć tak nie było. Edgar powiedział, że Jacka dostała w prezencie jego mama, ale oddała jemu pod opiekę. My też dostaliśmy kiedyś psa w spadku po babci. To był pudlowaty kundel, okropnie rozpieszczony. Nigdy nie przywiązał się do nas do końca, bo nie mieliśmy czasu go rozpieszczać. Kiedyś wlaź pod samochód i cały ubabrał się olejem. Potem już brzydko wyglądał. Innym razem potrącił go samochód i zaczął biegać bokiem jak krab. Miał zwyczaj wyć za każdym razem, kiedy w telewizji leciała czołówka *Coronation Street*. Pewnie przypominała mu o babci, która była wielką fanką tego serialu. Jednego roku w Boże Narodzenie tata zawiózł go do uśpienia. *Coronation Street* leciało prawie przez całe święta i nie mógł już wytrzymać tego wycia.

Edgar był bardzo rozmowny, jak większość taksówkarzy, ale na dzień dobry nie zagadnął o politykę ani piłkę nożną, tylko wypalił z grubej rury, czy moja dziewczyna ma fajny tyłek. Odpowiedziałem, że ma na czym siedzieć. Roześmiał się. Rozmowa o pupie Suzanne przełamała lody. Fajnie, będę musiał to zastosować przy innych okazjach, kiedy rozmowa z kimś nowo poznanym nie będzie się kleiła.

Potem włączył odtwarzacz, mówiąc, że da mi posłuchać trochę tradycyjnej meksykańskiej muzyki. To była wesoła i rytmiczna piosenka, podobna do tych, które mama puszczała na cały regulator w naszej przyczepie kempingowej, kiedy podróżowaliśmy po Walii. Spytałem Edgara, o czym jest, a on odpowiedział, że o meksykańskich handlarzach narkotyków. Przetłumaczył słowa — coś tam o znalezionym na poboczu samochodzie, z którego wycieka krew, a pasażerowie mają odcięte głowy. Nie wiem, jak historia się kończy, bo

pies zaczął kaszleć i nie dosłyszałem.

Po przejechaniu kilku kilometrów Edgar zatrzymał auto i powiedział, że chce mi pokazać Santa Muerte. Po hiszpańsku to znaczy „Święta Śmierć”. To była szklana gablota wielkości mniej więcej tych kiosków przy stacjach metra w Londynie, gdzie sprzedają batoniki, chipsy i papierosy. Tutaj batoników nie było, ale papierosy owszem, do tego kościotrup ubrany w długie szaty i pełno butelek z gorzałą.





W Meksyku osoby biedniejsze oraz przestępcy, którzy nie są zbyt religijni, ale też niecałkiem ateiści, wyznają kult „Świętej Śmierci”. Nigdy się nad tym nie zastanawiałem, ale pewnie źli ludzie też potrzebują się do kogoś pomodlić. Kiedy oglądaliśmy kościotrupa, za nami zatrzymał się samochód z przyciemnianymi szybami. Mężczyźni siedzący w środku skłonili głowy i odjechali.

Pojechaliśmy dalej, na miejsce uroczystości wielkanocnych, które — jak zapewniał Edgar — warto zobaczyć. Wygląda na to, że Wielkanoc u nich to strasznie ważne święto. Widziałem tłumy ludzi oglądające aktorów, którzy odgrywali jakąś scenę z Biblii. W pewnej chwili usłyszałem, jakby ktoś się krztusił, ale tym razem to nie był pies Edgara. To gość, którego właśnie wieszano. Przy tym uwielbieniu Meksykanów dla przemocy to mógł być tylko przerywnik w celu zabawienia tłumów, zanim się zacznie właściwa część z Jezusem. Tatusiowie trzymali na ramionach dwu-, trzyletnie dzieciaki, żeby mogły wszystko dokładnie zobaczyć.

Przeszedłem się na pobliski targ i znalazłem kobietę, która sprzedawała zdechłe świerszcze. Ricky kupował takie dla swojej salamandry, ale tutaj wcinają je tubylcy. Nie wiem, na ile starcza paczka takich świerszczy ani ile wynosi dopuszczalna dzienna dawka, ale jeden dziadek dosłownie nie mógł się od nich oderwać. Były dość tanie, więc może to niska cena jest powodem takiej popularności.

Świerszcze leżały ułożone w stos na metalowej tacy ozdobionej połówką limonki. Wkoło latały muchy — pewnie deser dla tych, którzy już się najedli głównym daniem.

Nie przepadam za dziwnymi potrawami. Nie podoba mi się to, co wymyśla Heston Blumenthal, na przykład lody o smaku jajeczniczy na boczku. Jedzenie nie ma być wyzwaniem, tylko zaspokajać głód.

Jamie uparcie mnie namawiał, żebym spróbował świerszcza. Powiedział, że

nie pozwoli mi odejść, dopóki tego nie zrobię. No to zrobiłem. Nie był zły, ale też nie smakował jakoś szczególnie. Dużo słyszałem o tutejszym ulicznym jedzeniu, ale nie myślałem, że chodzi o stworzenia żyjące na ulicy.

Wróciłem obejrzeć świąteczną paradę. Nie przepadam za Wielkanocą, chociaż zjadłem przed wyjazdem jajko z czekolady, które dostałem w prezencie od mamy Suzanne. Ona wie, że nie jestem religijny, ale czekoladę uwielbiam. Myślę, że większość ludzi tak traktuje Wielkanoc. To religijne wydarzenie wymyślone po to, żeby przyciągnąć grubasów i łakomczuchów. Nie wiem tylko, skąd ten zwyczaj z jajkami. Trochę głupio, że Jezus cierpiał na krzyżu, oddał za nas życie, a my po latach oddajemy mu hołd za to, co zrobił, wcinając czekoladowe jajko. Czy jajka niespodzianki sprzedaje się cały rok dla tych prawdziwie pobożnych, którzy nigdy nie zapominają o Jezusie?

Stałem na rogu ulicy i czekałem, co się wydarzy. Po chwili zza zakrętu wyłonił się tłumny pochód. W środku siedł facet przebrany za Jezusa. Niósł wielki krzyż, a ktoś z tyłu smagał go biczem. Jamie powiedział, że co roku jest długa kolejka osób chcących zagrać tę rolę. To wielki zaszczyt. Ja nigdy nie chciałem być Jezusem w szkolnych jasełkach, zresztą nigdy mi tego nie proponowano. Grałem pasterza i wypowiadałem kwestię: „Przybywamy z daleka”, a potem waliłem w bębenek do piosenki *Mały osiołek*, chociaż nikt mi nie kazał. Bębenek miał wejść dopiero przy *My, trzech królowie*, ale nie mogłem się powstrzymać. Mimo wszystko to i tak dużo w porównaniu z tym, co miał do roboty mój kumpel Carl Grimshaw: jego zadaniem było uderzyć w trójkąt, kiedy na niebie wszędzie gwiazda. To jest właśnie problem z tymi przeładowanymi szkołami w centrach miast — nie starcza ról w jasełkach dla wszystkich chętnych. Dziwię się, że pani Matthews nie zmieniła tekstu kolędy na *My, sześciu królów*, żeby więcej dzieci mogło wziąć udział.

Szedłem obok Jezusa, gdy ten nagle zaczął słabnąć pod ciężarem wielkiego dębowego krzyża, kiedy się wspinał na dość strome wzniesienie. Wyobrażam sobie, że tak to właśnie musiało wyglądać w tamtych czasach, pomijając stragany i stoiska z watą cukrową. Jezus upuścił krzyż. Myślałem, że to część

przedstawienia, dopóki nie zauważyłem sanitariusza, który zaczął mi smarować nogę maścią na rany. To trochę zepsuło efekt. W dodatku jakiś gość przebrany za strażnika cały czas przygrywał na fujarce. Myślałem, że tylko dzieci się tym bawią. W sumie zaczynało mi to wszystko działać na nerwy.

Wreszcie pochód dotarł na plac, gdzie stały krzyże, i Jezus razem z dwoma innymi facetami zostali ukrzyżowani. Nie na serio, chociaż Jamie mówił, że jeszcze do lat osiemdziesiątych naprawdę przebijali im dłonie i stopy gwoździami.

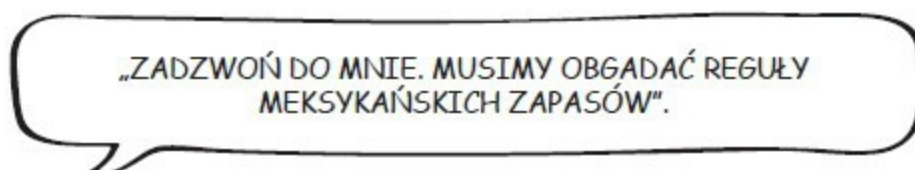
Zanim odjechaliśmy, jednego z ukrzyżowanych (nie wiem, jaką grał postać, bo słabo znam Biblię) zabrało pogotowie. Trudno to nazwać radosnym festynem rodzinnym. Czekoladowe jajko trochę poprawiłoby nastrój.

Do hotelu dotarliśmy dość późno, więc od razu się położyłem. W nocy wstałem, żeby skorzystać z toalety (chyba świerszcz mi nie posłużył) i okazało się, że spłuczka nie działa. Pływak zablokował zawór dopływowy i zbiornik się nie napełniał. Naprawiłem ją. Przypuszczam, że Michael Palin nie musiał rozwiązywać takich problemów. Zauważyłem tabliczkę z informacją, że zużyty papier toaletowy należy wrzucać do kosza, NIE DO MUSZLI. Uważam, że należałoby to wprowadzić u nas. Nie byłoby tylu przypadków kradzieży tożsamości, gdyby złodzieje musieli grzebać w workach na śmieci pełnych zużytego papieru toaletowego.



Sobota 3 kwietnia

Zaraz po przebudzeniu znalazłem SMS-a od Ricky'ego:



Zadzwońłem.

Dostałeś mojego SMS-a?

Coś o zapasach.

Tak. Wziąłeś ze sobą jakieś szorty albo może trykot?

Nie.

Tak myślałem. Ale nic, poradzimy sobie. Chcę, żebyś spróbował sił w zapasach. Załatwiłem ci walkę.

Co?

Tak.

A co to ma wspólnego z cudami? Ja tu przyjechałem zobaczyć cud.

Widok ciebie w zwarciu na macie to będzie prawdziwy cud. To jest zaszczyt. W Meksyku zapasnicy są bohaterami, to supergwiazdy, mają swoje pseudonimy, kostiumy. Ciebie bym widział w cielistym trykocie i masce w stylu Spidermana, tylko pomarańczowej. Najlepiej elastycznej, wtedy idealnie się dopasuje do twojej okrągłej głowy. Albo zatknijemy ci na łeb wydrażoną dynię i nazwiemy Satsuma Kid albo Tangerine Dream. I konferansjer cię zapowie: „A oto Karl Pilkington, człowiek z głową jak pomarańcza”.



Może być?

To mają być takie zwykłe zapasy, że wystarczy się trochę poprzepychać na macie?

Tak. Jeśli tylko nauczą cię podstawowych chwytów i bezpiecznego upadania, żebyś nic ważnego sobie nie złamał, dasz radę. Aha, tylko im powiedz, że dla ciebie najbezpieczniej będzie lądować na głowie. Powiedz, że różnisz się od innych zawodników i o ile przeciwnik będzie celował w to małe, twarde, okrągłe i wydrążone na górze, nie powinieneś odnieść poważniejszych obrażeń. Wyobraź sobie, że jakiś gość dźwiga cię do góry i rzuca przez cały ring, a ty wstajesz i zaczynasz recytować Oscara Wilde'a. Widzisz to? Jakby ci dosłownie wbili rozum do głowy. Idź tam i baw się dobrze.

Na szczęście mam wprawę. Po kilku twoich akcjach...

A oni prawdopodobnie będą chudsi ode mnie.

Ale to zawodowcy. I to wszystko, żadnych więcej niespodzianek? Nie okaże się, że to sumo na golasa albo coś?

Nie teraz. Dopiero jak pojedziesz do Japonii.

No dobra.

Baw się dobrze.



Ostatni raz oglądałem zapasy w latach osiemdziesiątych. Siadaliśmy z tatą w sobotnie popołudnia przed telewizorem i patrzyliśmy na popisy Big Daddy'ego, Giant Haystacka i całej reszty. Dla dzieciaka to było fajne, bo nie aż tak brutalne. Tylko dwóch spoconych panów w średnim wieku, z nadwagą, rzucało się po ringu, aż któryś miał dość albo chciał coś zjeść. Odkąd to zniknęło, nie ma w zasadzie żadnych sportów dla grubasów.

Mniej więcej do 1983 roku ludzie się wstydzili przyznać, że to oglądają. Pewnie dlatego niektórzy zapaśnicy zaczęli nosić maski; było im wstyd, że biorą w tym udział.

Z zapasami meksykańskimi jest inaczej. Ricky miał rację. Oni naprawdę wyglądają jak superbohaterowie.

Spotkałem się z Sandy, menadżerką hali, w której odbywają się walki. Pokazała mi zdjęcia niektórych zawodników ze swojej stajni. Cała gama typów ludzkich. Do wyboru, do koloru. El Porky, mały, pyzaty człowieczek podobny do Russella Granta, karły, grube baby i seksowne laseczki.

Napisałem SMS-a do Suzanne, że za chwilę będę walczył jako zapaśnik. Odpisała, że mam na siebie uważać, a zaraz potem spytała, jak podłączyć DVD do telewizora. To się nazywa wsparcie. Rocky przed swoją wielką walką usłyszał od Adrian zupełnie inne słowa. Nawet nie chciało mi się odpisywać.

Sandy zaprowadziła mnie do człowieka, z którym miałem potrenować. Nosił pseudonim Shocker i był wielki jak szafa. Do tego jak wszystkie mięśniaki chodził w koszulce włożonej do spodni, przez co wydawał się jeszcze potężniejszy. Spytałem Sandy, czy nie mógłbym poćwiczyć z którymś karzełkiem, ale powiedziała, że dzisiaj nie ma nikogo pod ręką.

Poprosiłem Shockera, żeby uważał na mnie, bo w dzieciństwie nadwyrężyłem sobie kręgosłup, kiedy próbując zrobić kopniaka z wyskoku, wylądowałem na dupie, poza tym mam słabe nadgarstki po wypadku i uwięziony nerw w nodze. Chyba nie bardzo słuchał, co mnie trochę zaniepokoiło. Dał mi do włożenia

kostium. Wyglądałem w nim jak idiota. Postanowiłem przybrać pseudonim Shocking.

Najpierw trochę poćwiczyłem ze sztangą, potem jakieś czterdzieści pięć minut na ringu z Shockerem i dwoma innymi facetami. W pewnym momencie zrobiło mi się niedobrze. Wcześniej zjadłem trochę pianek (nie najlepsza przekąska przed treningiem) i to w połączeniu z intensywnym ruchem przyniosło właśnie taki efekt.





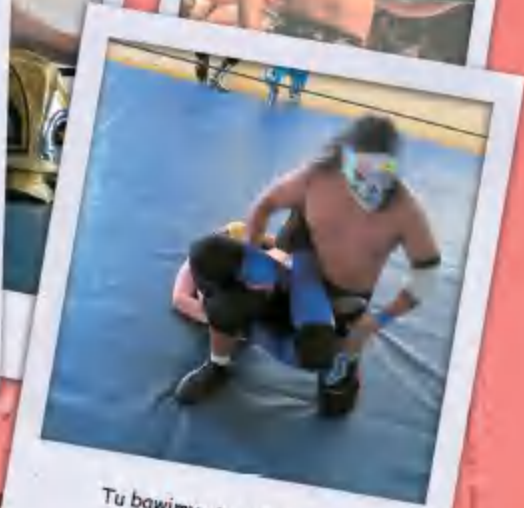
Zapaśnik nazywa się Shocker.
Ja tylko szokująco wyglądam.



Nie uznaję walki
do samego końca.



Ichni fitness club.



Tu bawimy się w Twistera.
Ja wygrywam.

Shocker był rok młodszy ode mnie, ale ja się czułem o wiele starszy. Musiałem dać sobie spokój, bo byłem wykończony i kręciło mi się w głowie. Próbowałem się wydostać z ringu, a wtedy jeden z pozostałych zapaśników mnie chwycił, usiadł na mnie okrakiem i oplótł nogami szyję. Czułem się bezbronny jak jeleń pożerany powoli przez anakondę. Pamiętam tylko, że po tym, jak zapaśnik przycisnął mi jaja do twarzy, został mi na wargach słonawy posmak. Najpierw myślałem, że to od tacos, ale przypomniałem sobie, że dzisiaj ich przecież nie jadłem.

Zostałem obejrzyć wieczorną walkę Shockera. Zmierzył się z dwoma przeciwnikami: Blue Pantherem i El Porkym. Oni wygrali. El Porky był ewidentnie faworytem widowni. To musi wkurzać Shockera — tak ciężko trenuje, dba o dietę, a potem musi walczyć z gościem, którego jedyną gimnastyką są piesze wycieczki do lodówki i z powrotem.

A teraz idę spać, bo padam z nóg. Meksyk leży na dużej wysokości i przez to człowiek bardziej się męczy. Myślę, że u siebie byłbym w stanie pokonać Shockera.



Niedziela 4 kwietnia

Spałem może cztery godziny, potem obudziły mnie syreny policyjne. Mają ich tu duży wybór: najpierw było „łaaa, łaaa”, potem „łu, łu”, a na koniec „łuuuu... daaa, daaa”. Gliniarz postanowił użyć wszystkich po kolei o czwartej nad ranem tuż pod moim oknem. Coś jak ci goście w londyńskim metrze, którzy w drodze do pracy postanawiają nagle przesłuchać wszystkie dzwonki, jakie mają w swojej komórce.

Zszedłem na dół i zjadłem śniadanie zmuszony słuchać hałaśliwej

Amerykanki, która ciągle się dopytywała, czemu prowadzący hotel Francuz mówi z akcentem francuskim, a nie z hiszpańskim. Widziałem, że gość jest zirytowany, ale grzecznie się uśmiechał. Baba działała mi na nerwy. Teraz przydałaby się policja.

Potem zadzwonił Steve.

Cześć, jak leci?

W porządku. A u ciebie?

Też. Mam się całkiem dobrze. Aż dziwne, biorąc pod uwagę, że wczoraj brałem udział w zapasach.

Walczyłeś?

Tak. Ricky to wymyślił. To tutaj bardzo popularne.

Jak ci poszło?

Wszystko zależy od montażu. Mogę wyjść na mięczaka, ale miałem też kilka dobrych akcji. To była walka trzech na jednego, więc łatwo nie było.

Karl, wiem, że uwielbiasz tłumy, a dziś jest Wielka Niedziela i z tej okazji w Meksyku odbywa się tradycyjna huczna fiesta. Władze chcą jej zakazać. Wiesz, jacy są urzędnicy. Jeden miejscowy, Carlos, bierze w tym udział i ciebie też chce w to wciągnąć.

W jakim sensie „wciągnąć”?
I o co chodzi z tym zakazem?

Nie znam szczegółów, spytaj Carlosa. Wiem tylko, że próbują to zlikwidować. Może byś wykorzystał swój chwilowy status gwiazdy i pomógł uratować tradycję? Może dzieje się tam coś, co ich niepokoi. Nie wiem, stary. To ty musisz zbadać.



Jestem tu parę dni i zorientowałem się, że oni mają gdzieś kwestie bezpieczeństwa, więc jeśli już coś budzi takie wątpliwości, to musi być niezły odjazd.

Macie się spotkać z Carlosem w miejscu o nazwie Rambo Chicken, może to ma z tym coś wspólnego.

Rambo Chicken? Kurczak Rambo? Kurczak twardziel?

Nie wiem, nigdy tam nie byłem. Jak zwykle ci zazdroszczę.

Skąd ta nazwa? O co tu chodzi?

Być może chodzi o jakiegoś wyjątkowo brutalnego kurczaka. Nie wiem, stary. Ja tylko przekazuję to, co usłyszałem od Carlosa.

No dobra, spotkam się z nim.

Trzymaj się. Miło słyszeć, że w końcu zaczyna ci się to podobać.

Żebyś wiedział. Tutaj prawie wcale nie marudziłem. Będziesz ze mnie dumny.

Już jestem. Cześć.



Carlos to całkiem sympatyczny gość. Oprowadził mnie po miejscowym targowisku. Widziałem tace pełne kurzych łbów. Wyglądały trochę jak plansze do gry „Zgadnij, kto to?”. Lubię kurczaki, nawet bardzo, więc nie powinno być dla mnie problemem zjedzenie kurzej głowy, ale te miały strasznie smutne miny. Kiedy bierzemy do ręki zdechłą rybę, jej pysk niczego nie wyraża, a te kury z wywróconymi oczami i rozwartymi dziobami wyglądały naprawdę żałośnie. Carlos mówi, że Meksykanie wrzucają je na kilka minut do wrzątku i są gotowe do jedzenia. Nie pomyliło im się z jajkami?

Zanim wyszliśmy z targu, spróbowałem jeszcze oślego mięsa. Okropne. Najgorsze, jakie w życiu jadłem. Ciemne, twarde, tłuste i śmierdzące. Słyszałem, że ptak dodo wymarł dlatego, że nie był zbyt smaczny. W takim razie podejrzewam, że osioł jest następny w kolejce.

Carlos zabrał mnie do swojej dzielnicy. Mieszkańcy siedzieli przed domami i malowali małe figurki byków z papier mâché. Carlos mówił, że do tych figurek doczepia się fajerwerki, zakłada całość na głowę i wbiega w tłum. Meksyk to jeden wielki „Jackass”. Kiedy szliśmy ulicą, zobaczyłem człowieka, który te fajerwerki wyrabiał. Nie wiem, czy on mnie widział, ponieważ miał tylko jedno oko. W Anglii wysłaliby go na rentę powypadkową, a w Meksyku mówią: „Pracuj dalej, kolego, masz jeszcze drugie”. Obok niego stały dwie reklamówki — w jednej miał papier na tuby, a w drugiej proch.

Carlos zaprowadził mnie do swojego domu, poznałem jego rodziców. Siedzieliśmy sobie przy stole, gdy nagle rozległ się potężny wybuch. Wtedy sobie przypomniałem, co mówił Steve o planach rządu. Carlos powiedział, że w wielu rejonach kraju już zakazano tych imprez ze względu na ofiary śmiertelne. Do środka wszedł Jamie, nasz producent. Dziwnie się zachowywał, ale nie chciał powiedzieć, o co chodzi. Zapytał, czy chcę wziąć w tym udział i pobiec ulicą z bykiem na głowie i strzelającymi fajerwerkami. Odparłem, że jednooki chałupnik skutecznie mnie odstraszył. Spytałem Carlosa, czy się wybiera. Okazało się, że

Carlos zwykle zostaje tego dnia w domu, bo na ulicach bywa bardzo niebezpiecznie. Jego rodzice dodali, że najczęściej wyjeżdżają wtedy z miasta, ale tym razem zostali, bo wiedzieli, że przyjadę.

Na zewnątrz zobaczyłem kilkusetosobowy tłum z wielką papierową krową obłożoną fajerwerkami. Ludzie oblewali się wiadrami jakiegoś płynu. Przez chwilę myślałem, że to benzyna, żeby było jeszcze niebezpieczniej, ale Carlos wyjaśnił, że to woda, aby uniknąć poparzeń. Zapalono lonty i tłum ruszył. Schowałem się za murkiem i siedziałem tam, dopóki fajerwerki nie przestały wybuchać, a potem powiedziałem Jamiemu, że tu nie zostaję. Ale kiedy zacząłem iść, usłyszałem za sobą krzyki. Odwróciłem się i zobaczyłem, że biegnie za mną chyba cała dzielnica. Zacząłem uciekać. Carlos mnie dogonił i razem wbiegliśmy do domu należącego do jego kuzyna. Stwierdził, że najlepiej wejść na dach, tam będziemy bezpieczni.



Co to, do cholery, ma wspólnego z Wielkanocą? Siedzieliśmy na dachu dobre dwie godziny, uchylając się przed latającymi fajerwerkami. Wreszcie nastąpiła chwila spokoju (widocznie jednooki wytwórca nie nadążał za popytem), więc poszliśmy coś zjeść do pobliskiej knajpy. To było coś dla mnie — prawie sami starsi ludzie. Zespół muzyczny przygrywał wesołe, skoczne piosenki. Wszystko w ichnim języku, ale brzmiało fajnie. Zresztą kto wie, może śpiewali o obciętych głowach, jak w tym kawałku, który mi puścił Edgar. Siedziałem i gapiłem się na tańczących ludzi, pogryzając ciastka, które leżały na stole, gdy nagle podeszła do mnie starsza kobieta i wyciągnęła mnie na parkiet. Pomyślałem, że może niedawno straciła męża i czuje się samotna, więc poczułem się w obowiązku z nią zatańczyć, ale pięć minut później zobaczyłem ją z innym łysym facetem. Chyba po prostu wzrok jej szwankował ze starości i myślała, że on to ja. Nie mam pojęcia, jak ludziom udaje się dożyć starości w tym zwariowanym mieście.



Poniedziałek 5 kwietnia

Rzuciło mi się w oczy kilka tutejszych gazet. Wszędzie na okładkach makabryczne zdjęcia. Jak nie ofiary wypadku samochodowego, to staruszek, który strzelił sobie w głowę. W Anglii nagłówek: „Uwaga! Szokujące zdjęcia” oznaczałyby zapewne fotografię Charlotte Church na plaży z pryszczem na tyłku. Podejrzewam, że kiedy człowiek codziennie widzi takie drastyczne obrazy, stopniowo przyzwyczajają się i obojętnieje.

W gazetach było też zdjęcie Chichén Itzá z twarzą Eltona Johna obok. Niedługo ma tam koncert.

My też tam jedziemy.

Dzisiaj poleciliśmy do Cancún, żeby mieć bliżej do Chichén Itzá. W drodze

do hotelu zatrzymaliśmy się przy cmentarzu. Kiedy wyjeżdżamy z Suzanne na weekend, często spacerujemy po cmentarzach. Lubimy patrzeć, jak długo ludzie żyli. Ten cmentarz był jednak zupełnie inny. Bardzo kolorowy. Nagrobki pomalowane na niebiesko, różowo, żółto, czerwono. Wyglądały bardziej jak domki letniskowe na plażach Kentu. Chowają tu chyba całe rodziny — niektóre grobowce były większe niż kawalerka, którą kiedyś wynajmowałem. Podoba mi się to. Dlaczego cmentarz musi być ponury? Andreas, który towarzyszył nam podczas filmowania, powiedział, że w Meksyku obchodzi się Dzień Zmarłych. To wielkie święto, wszyscy biorą wtedy wolne, żeby uczcić pamięć krewnych i przyjaciół, a w kraju, gdzie jest tyle przemocy, pewnie jest kogo upamiętniać. Fajny pomysł. My mamy Naleśnikowy Wtorek, czemu nie poświęcić któregoś dnia zmarłym? W Wielkiej Brytanii nie lubimy rozmawiać o śmierci. Nie wiem dlaczego. Chciałem zrobić o tym program w telewizji, ale wszyscy, z którymi rozmawiałem, twierdzili, że ludzie nie będą chcieli tego oglądać. Najwyższy czas coś zrobić, żeby przestali się tak bać śmierci.

Wizerunek kostuchy też nie pomaga. Rozumiem, że przynosi złe wieści, ale dlaczego od razu musi mieć taką wisielczą minę? Mój listonosz przynosi mi same złe wieści w postaci rachunków do zapłacenia, a gęba mu się nie zamyka. Może ona po prostu za długo robi w tej branży. Najlepiej zacząć od pozbycia się kaptura.

Hotel bardzo mi się podoba, jest wręcz luksusowy. W łazience rodzinka łabędzi ułożona z ręczników. Ciekawe, czy w inne dni robią inne zwierzęta. Będę śledził.



Wtorek 6 kwietnia

Poznałem dziś niejakiego Eugene'a, który mnie zabrał na spotkanie z charros. To tacy meksykańscy kowboje, którzy występują w pokazach jeździeckich. Średnio mnie to interesuje. Jako dzieciak nigdy nie bawiłem się w kowboja.

Kiedy miałem pięć lat, dostałem strój kowbojski, ale tylko dlatego, że w sklepie zabrakło kostiumów Batmana. Nawet dżinsy włożyłem dopiero w wieku siedemnastu lat, bo wcale nie uważałem, że są wygodne. Poza tym z końmi jest dużo zabawy. Zabierają czas i mnóstwo pieniędzy. Jedna dziewczyna, która mieszkała dwa domy dalej od nas, miała konia, ale nie było jej stać, żeby nim się należycie zajmować. Nie mieli nawet stajni, więc trzymali go w domu. Raz widziałem go u nich w salonie, kiedy sprzedawałem po domach rośliny, żeby zarobić trochę grosza.

Innym powodem, dla którego nigdy nie polubiłem koni, jest to, że mój ojciec nie uznawał Johna Wayne'a za prawdziwego aktora, więc rzadko oglądałem westerny w telewizji. Aha, i jeszcze to, że raz na festynie zsunąłem się z siodła i koń mnie włókł za sobą, kopiąc przy tym w głowę. Chyba głównie dlatego nie zostałem ich miłośnikiem.

Eugene zabrał mnie najpierw na targ. Kupił mi lunch — królika w ostrym sosie. Sobie wziął króliczą głowę. Twierdzi, że to najlepsza część, bo dostajesz mózg. Nie miałem zamiaru się o nią bić.

Potem pojechaliśmy na ranczo. Poznałem jego właścicieli, dwóch braci. Obaj w pełnym kowbojskim rynsztunku pokazali mi kilka popisowych numerów: od rzucania lassem do zatrzymania z poślizgiem. Byli naprawdę dobrzy. Jednak największy szok przeżyłem na widok roju pszczoł, który pojawił się nad nami. Dosłownie czarna chmura. Coś niesamowitego. Pszczoły same w sobie są fajne, ale w takiej masie mnie przerażają. Eugene wyraził nadzieję, że to nie pszczoły afrykańskie, bo te mogłyby nas zabić. Podobno po użądleniu takiej pszczoły pozostaje na skórze zapach, który przywabia następne i pobudza do ataku. Nawet gdyby człowiek wskoczył do wody, poczekałyby, aż wyjdzie, i wtedy go dopadły. Nigdy o tym nie słyszałem. Sprawdzę w Internecie, jak wrócę do domu.

Kiedy pszczoły sobie poleciały, dali mi konia o imieniu Espanner. Był tak wytresowany, że niemal przewidywał moje zamiary. Dostałem też krótki bat do poganiania, ale nie mogłem go użyć, bo koń na jego widok zaczynał się wyrывać. Wystarczyło, że gdzieś mu mignął przed oczami. Z tego powodu nawet nie

mogłem oddać bata Eugene'owi. Właśnie dlatego nie lubię koni. Są za duże i mają własne zdanie.



Coś taki smutny?



Suzanne ostrzegła mnie przed Tajemnicą Brokeback Mountain.



O jedną tequilę za dużo.



Mniej więcej po godzinie kłusowania i nauki różnych ewolucji Eugene powiedział, że charros chcą uczcić moje postępy toastem z tequili. Nie przepadam za nią, ale z grzeczności się zgodziłem. Za chwilę przynieśli wielką butlę i nalali mi dużego drinka — z robalem w środku! Widywałem już alkohol z różnymi świństwami, ale tego unikałem. Zawsze myślałem, że węże czy skorpiony w butelkach to sposób na kantowanie klientów, bo dzięki temu mieści się tam mniej tequili. Tak robią w tajskich restauracjach w Londynie. Prosisz o drinka, a oni ci przynoszą szklankę pełną glonów i kamyków, która wygląda jak akwarium.

Eugene powiedział, że mam szczęście, bo taki robak to rarytas i koniecznie powinienem go skosztować, ponieważ jest bardzo smaczny. Zaproponowałem, że się z nim podzielę. Jeszcze nie skończyłem zdania, a Eugene już zjadł swoją część. Zostałem więc z połówką robaka, a to nawet gorsze, niż gdyby był w całości. Gdy go zbliżyłem do ust, odrzuciło mnie, a że ręce mi się trzęsły, robak wylądował na ziemi.

— To nic, to tylko trochę piasku, mogę go zjeść, nie ma sprawy — powiedziałem.

— Możemy go umyć — odparł Eugene.

Świetnie.

— Mam to pogryźć czy połknąć? — spytałem.

— Oczywiście, że pogryźć. Musisz poczuć smak.

— Ale ja nie wiem, jak on powinien smakować. Nie wiem, czy nie jest nieświeży. Rozumiesz mnie? Nie mam punktu odniesienia. On ciągle się rusza, przysięgam. Tylko jest pijany. Patrz, jak mi się ręce trzęsą.

— Nie masz pojęcia, ile kosztuje dziesięć deko tych robaków w restauracji. W najdroższej dzielnicy Meksyku zapłaciłbyś, bo ja wiem, co najmniej pięćdziesiąt funtów.

— Za robaki?

— Tak. I są bardzo dobre.

— Najlepsze na romantyczną randkę.

— Czemu nie, to znany afrodyzjak.

— Dobra, jem — zdecydowałem. — Tylko mój przełyk chyba czuje, co się święci, i nie chce wpuścić. Widziałeś? Prawie się porzygałem. Coś mi się podniosło, pewnie te świerszeczki sprzed kilku dni. Chciały się przywitać z kumplem. Nie, nie dam rady. Muszę go pogryźć? Wciąż tam siedzi...

W końcu przełknąłem.

Potem Eugene próbował mnie namówić na jazdę na byku.

Odmówiłem.

Zapytał jeszcze raz.

Poprosiłem, żeby mi go najpierw pokazał.

Pokazał.

Odmówiłem.

Nie rozumiem, po co, mając tyle koni, jeździć na byku. Jeden z braci zaczął wykonywać w moją stronę jakiś gest. Eugene powiedział, że to oznacza, że jestem tchórzem. Odparłem, że sam się domyśliłem. To nie było trudne — facet, mówiąc krótko, naśladował zaciskający się odbyty.

Powiedziałem, że może sobie pokazywać, co chce. Wtedy kowboj wziął swojego dwu-, może trzyletniego synka i posadził go na byku. Dzieciak pewnie nie umie jeszcze jeździć na rowerku, a ci go wsadzają na byka bez kasku ani ochraniaczy, tylko po to, żebym wyszedł na tchórze. Powiedziałem im, że jak chcą, mogą tam wsadzić nawet niemowlaka, ale mnie nie namówią.

Odszedłem w stronę samochodu, bo nie miałem zamiaru ulegać naciskom. Wołali za mną, ale nie reagowałem. Nagle usłyszałem brzęczenie. Podniosłem wzrok i zobaczyłem wokół siebie chmurę pszczoł. Ze trzysta. Były dosłownie wszędzie.

W tym cholernym kraju nigdzie nie można się czuć bezpiecznym.



Środa 7 kwietnia

Po tej całej jeździe konnej obudziłem się dzisiaj z obolałym tyłkiem. Może też z powodu wczorajszego królika na ostro.

Właśnie zauważyłem, że sprzątaczką znowu ułożyła łabędzie z ręczników, ale tym razem chyba nie miała czasu, żeby to zrobić dokładnie. Najmniejszy łabędek wyglądał po prostu jak... zwinięty ręcznik. Poza tym wkurzyłem się, bo w poprzednim hotelu zostawiłem swoje mydło i szampon, a specjalnie kupiłem nowe na ten wyjazd. Muszę korzystać z hotelowych, a te mi nie służą, bo mam wrażliwą skórę.

Niewiele dziś robiliśmy. Posiedziałem na balkonie, trochę położyłem po okolicznych sklepach. Niczego nie kupiłem. Suzanne spodziewała się, że przywiozę jej prezenty z Egiptu, Brazylii i Indii, ale nie znalazłem tam nic, co mogłoby się jej spodobać. Teraz już pewnie niczego nie oczekuje, więc chyba nie muszę jej nic kupować.

Przed chwilą odkryłem w pokoju koszyk ze słodyczami. Postanowiłem spróbować meksykańskiego batonika mlecznego. To był błąd. Czekolada nieświeża, jakby się roztopiła w upale, a potem ktoś ją zamroził. Nie miałem zamiaru za to płacić, więc zawiązałem resztę w papierek, włożyłem z powrotem do koszyka i przykryłem paczką m&m'sów.



Czwartek 8 kwietnia

Dzisiaj poznałem prawdziwych Majów. To oni wiele lat temu zbudowali ten cud, który przyjechałem zobaczyć. Mieszkają w małej wiosce na końcu świata, w

chatach zrobionych ze słomy i pędów bambusa.

Jeden z nich ma na imię Luis. Sam już nie mieszka w wiosce, ale wciąż ma tam rodzinę. Kiedy się pojawiłem, jego wuj właśnie wybierał się po miód. Postanowiliśmy mu towarzyszyć. Myślałem, że chodzi o spacer do miejscowego sklepu, dopóki nie zauważyłem, że trzyma w ręku długi kij z przymocowaną na końcu siekierą. Mieliśmy pobierać miód z gniazda os.

Wszystko, co ci ludzie jedzą, muszą sami znaleźć albo upolować, bo tam nie ma żadnych sklepów. Luis pokazał mi kilka roślin, z których przyrządza się potrawy, a także drzewo dostarczające rodzaj gumy, której można używać do czyszczenia zębów.

Gdy szliśmy z Luisem i jego wujem, przyglądał się nam mieszkaniec wioski oparty o murek ogradzający jego posesję. Dawno nie widziałem tak pogodnej twarzy. Obok młody chłopak bawił się kawałkiem gumy. Pewnie nawet nie wie, jaki dziś dzień. Ale gdy mieszkasz w takim miejscu, to chyba bez znaczenia.



Zagadnąłem o to Jamiego.

— Taka izolacja chyba nie jest dobra. Jak myślisz? Można zgłupieć z nudów. Ten gość nigdy nawet nie był w stolicy.

— A co ty byś robił, gdybyś tu mieszkał? — odparł Jamie.

— Nie wiem. Nie siedziałbym tutaj, gdzieś bym się ruszył. Wszystko fajnie, póki jesteś mały, bo masz zjeżdżalnię i huśtawki, ale potem dorastasz i nie wiesz, co ze sobą zrobić. Nuda. To jak czekanie na autobus, który nigdy nie przyjedzie. Nie wiem, jak bym to znosił. Obijanie się cały dzień, mycie zębów tym czymś...

— Gdybyś był wódcem tej wioski, jakie wprowadziłbyś zmiany?

Odparłem, że założyłbym sklep.

— Jaki?

— Zwyczajny wielobranżowy, żeby im ułatwić życie. Żeby mogli kupić pastę do zębów. To już coś, nie? Może sprowadziłbym więcej ludzi. Przydałoby się.

— W jaki sposób byś ich zachęcił?

— Nie wiem, można zorganizować coś w rodzaju dnia otwartego. Niech przyjadą, popatrzą, porozmawiają na różne tematy. Tylko o czym może rozmawiać ktoś, kto całymi dniami nic nie robi? Oni są jak ci starzy ludzie, których widuje się w restauracjach. Przebywają ze sobą od rana do wieczora i nie mają o czym gadać, najwyżej, jakie lody wziąć na deser. Umysł potrzebuje stymulacji. Nie wiem, czy tutaj to możliwe. Nawet jak zasiejesz ziarno, na efekty trzeba by czekać latami.

Jamie spytał, co jeszcze bym im pokazał.

— Na przykład filmy, żeby zobaczyli, co się dzieje na świecie.

— Jakie filmy?

— Może *Szklaną pułapkę*? Kino akcji, Bruce Willis, te rzeczy.

— A którą część?

— Myślę, że drugą. To ta z samolotem?

Jamie kiwnął głową.

Uśmiechnięty tubylec ciągle się na nas gapił. Jamie spytał, czy chcę z nim pogadać.

— Nie wiem. A co on może mieć do powiedzenia? Chociaż w sumie ciekawe. Spójrz na niego. Nie sądzisz, że ma piękną twarz? Luis, o czym oni tu ze sobą rozmawiają? No bo życie wśród ludzi polega też na tym, że się spotykasz z sąsiadem, wymieniacie plotki.



Spotkanie z obsadą majańskiej wersji High School Musical.



Majańska wersja dziecięcej zabawy „przekaż paczkę” nie jest taka fajna.



Mówiłem, że nie wolno w ten sposób budzić babci.



— O tym, co się wydarzyło w ciągu dnia — odpowiedział Luis. — Co znaleźli w polu kukurydzy, w dżungli.

— A to nie robi się z czasem nudne? „Znowu znalazłem kurę”. „Wiem, my też wczoraj znaleźliśmy. I przedwczoraj”. Zdarzają się w ogóle jakieś niespodzianki?

— Czasem ktoś znajdzie złoto — powiedział Luis. — Jesteśmy częścią starożytnego miasta i spacerując po okolicy, można trafić na naczynie ze złotymi monetami.

— Złotymi?

— Tak, bo dawni mieszkańcy, kiedy mieli jakieś pieniądze, dla bezpieczeństwa zakopywali je w misach pod ziemią. Znalezienie starożytnych relikwów przynosi szczęście. Nie muszą być pod ziemią, czasem leżą ukryte w zaroślach. I to jest nowość. Ludzie się cieszą.

— On ma teraz przerwę śniadaniową? Czym się zajmuje? Bo stoi tak już z dziesięć minut.

Luis odezwał się do mężczyzny w języku Majów. Ten coś mu odpowiedział.

— Mówi, że tylko nam się przygląda. Z ciekawości, bo to dla niego nowość.

— Nasz przyjazd?

— Tak. Rzadko widują ludzi z innych stron.

Poszliśmy szukać gniazda os. Zanim je zobaczyłem, najpierw usłyszałem. Miałem wrażenie, że siedzi w nim tysiąc os, ale Luis powiedział, że najwyżej kilkaset. I tak się bałem. Zaofiarowałem się, że zdejmę to gniazdo dla jego wuja. Wspiąłem się na stary kamienny murek i sięgnąłem najdalej, jak mogłem, żeby odciąć gałąź, do której było przyczepione. Miało wielkość piłki do koszykówki. Gdy już byłem bliski celu, murek pode mną się zawalił i zleciałem na dupę, próbując nie upuścić sześciometrowego kija zakończony siekierą. Wuj Luisa zabrał go ode mnie. Wspiął się na drzewo bardzo blisko gniazda i zrzucił je.

Uspokoił mnie, powiedział, że mam się nie bać, bo osy zawsze wylatują do góry. Wydawał się pewien tego, co mówi, ale ja tam wolę być ostrożny. Wystarczy, że dziesięć, dwadzieścia os uzna, że ma dosyć ludzi, którzy im rozwalają gniazda, i będę załatwiony. Przypomniałem mu film *Moja dziewczyna*, gdzie Macaulay Culkin umiera od użądleń pszczół, bo naruszył ich gniazdo, ale okazało się, że go nie widział. Luis też nie. Chyba zamiast *Szklanej pułapki*, lepiej będzie zacząć od tego.

CIEKAWOSTKI KARLA

Chichén Itzá znaczy „U źródeł Itzá”.



Budowle łączy sieć
kamennych dróg
zwanych sacbeob.
Archeolodzy odkryli
ich prawie sto.



Majowie składali bogom ofiary z ludzi. Jeden
z rytuałów polegał na tym, że przytrzymywano
delikwenta za ręce i nogi, a kapłan rozcinał mu klatkę
piersiową i wyjmował serce.

Wuj Luisa podniósł gniazdo i — jak przewidział — wszystkie osy z niego wyleciały. Dał mi do spróbowania trochę wytworzonego przez nie miodu. Bardzo smaczny. Potem zanieśliśmy gniazdo do chaty, gdzie cała rodzina od razu je rozdrapała. W tej jednej izdebce mieścili się wuj Luisa, dwie tęgie kobiety, babcia i około piątki dzieciaków. Dali mi do zjedzenia larwy osy zawinięte w tortillę. Co ja wyprawiam? Przed przyjazdem do Meksyku nie miałem najmniejszego zamiaru jeść owadów, a teraz je wpieprzam, zanim na dobre się wylęgną.

W ramach rewanżu poczęstowałem ich paczką chipsów i jednym kitkatem. Chyba im smakowały. Moim zdaniem lepiej wyszli na tej wymianie.

Później Luis zaproponował, żebyśmy poszli popływać w cenocie. Cenoty to wielkie dziury w ziemi, głębokie na jakieś pięćdziesiąt metrów i wypełnione źródlaną wodą. Nie przepadam za pływaniem, ale uznałem, że jeśli się zgodzę, nie będę musiał tam siedzieć i uniknę jedzenia sorbetu z karaluchów albo innego świństwa, które wygrzebali spod kamienia.

Ale ogólnie dzisiejszy dzień był fajny.



Piątek 9 kwietnia

Rano wstałem wczesnie, aby zobaczyć cud świata. Jamie nalegał, byśmy to zrobili jeszcze przed najazdem turystów. Problem w tym, że i tak nic nie widziałem, bo było zupełnie ciemno.

Pół godziny błądziliśmy, próbując trafić na miejsce. W końcu się udało, ale dopiero gdy wzeszło słońce. A mogłem pospać dłużej. Dzisiaj nie miałem przewodnika, bo Jamie i Barney uznali, że dowiem się wszystkiego przez słuchawki z audioprzewodnika.

Dziwne to całe Chichén Itzá. Zbudowali je Majowie i słynie z tego, że składano tu ofiary z ludzi (Elton John śpiewał piosenkę *Sacrifice*[7] — może dlatego ma tutaj koncert) poprzez wyrywanie im serc albo odcinanie głów. Disneyland to to nie jest. Nie wiem, dlaczego zrobili z tego atrakcję turystyczną. Równie dobrze można oprowadzać ludzi po domu Freda Westa[8], jeżeli sobie życzą takich wrażeń.



Gdy pomyśleć, że współcześni Majowie żyją w chatkach ze słomy i bambusa, stawianie tak wielkiej, solidnej budowli, żeby w niej mordować ludzi, wydaje się lekkim przegięciem.

Chichén Itzá to po prostu czworoboczna piramida ze schodami z każdej strony, które prowadzą do czegoś w rodzaju bungalowu na szczycie. Na zdrowy rozum to parterowy dom stawia się nie po to, żeby wchodzić do niego po schodach, prawda?

Próbowałem sobie wyobrazić, jak mógł wyglądać dzień składania ofiar. W tamtych czasach pewnie ściągali tu tłumy, bo ludzie nie mieli nic innego do roboty. Audioprzewodnik nie mówił, jak dokładnie przebiegało ścinanie głów, ale pewnie gapie stali u stóp piramidy, a odcięta głowa staczała się na dół po schodach.



Wybór miejsca musiał być więc dla widzów loterią. Lepsze byłyby schody spiralne, wtedy każdy, obojętnie gdziekolwiek by stał, widziałby wszystko.

Tłumy turystów zaczęły się schodzić około ósmej. Zauważyłem, że przewodnicy każą ludziom klaskać w dłonie u podnóża piramidy. Powstaje wtedy specyficzne echo. Myślałem, że to tylko przypadek, ale przewodnik wyjaśnił, że piramidę zaprojektowano tak, aby odbijający się dźwięk imitował odgłos kwezala, świętego ptaka Majów.

Niestety od tej pory klaskanie nie ustawało. Nic dziwnego, że Elton John chce tu występować. To jedyne miejsce, gdzie może zaśpiewać *Circle of Life*, tę piosenkę z *Króla Lwa*, i dostać brawa.

Oddaliłem się od tłumów i znalazłem cenotę podobną do tej, w której wczoraj pływałem. Z audioprzewodnika dowiedziałem się, że było to główne źródło wody dla Majów. Niektórzy twierdzą, że te dziury zrobiły meteoryty, które spadły na Ziemię wiele milionów lat temu. Ponoć i w nich składano ofiary z ludzi.

Zaglądałem w tę gigantyczną studnię i nagle zauważyłem, że jestem otoczony przez dorodne jaszczurki. Rzuciłem jednej kawałek ciasteczka owsianego. Chyba jej smakowało. W sumie zjadła dwa.

Uświadomiłem sobie wtedy, że podczas tej podróży zamieniłem się życiem z jaszczurką. Oto ona chrupie moje ciasteczka, a ja wsuwałem świerszcze, gąsienice i larwy os. Dziwnie pomyśleć, że Majowie prawdopodobnie nigdy nie próbowali owsianych ciasteczek, a ta jaszczurka tak.

Wróciłem do hotelu i zobaczyłem, że sprzątaczką wyłożyła na stolik mój nadgryziony batonik. Poczułem się jak smarkacz przyłapany na kradzieży. Ciekawe, że to potrafiła wyczuć, ale nie raczyła zrobić porządnego łabędzia z ręcznika.

Uprzedziłem Jamiego, że mogą się spodziewać rachunku na jakieś dwa funty za batonik. Odparł, że telewizja Sky powinna być w stanie to pokryć.



Sobota 10 kwietnia

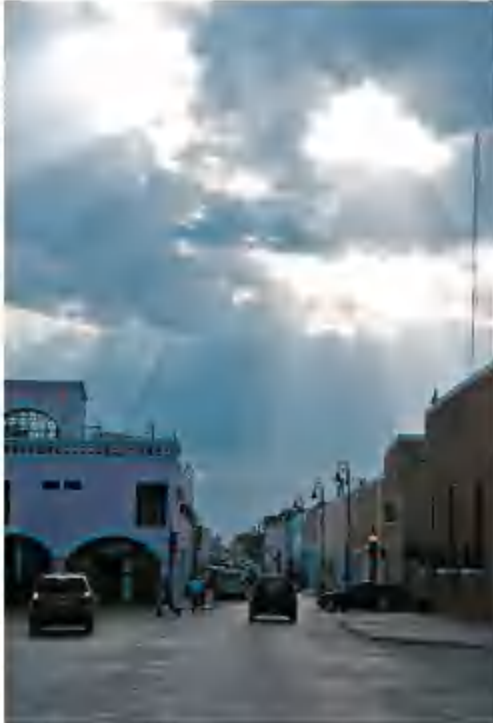
Dzisiaj wróciłem do domu. Musieliśmy lecieć do Dallas, żeby złapać połączenie do Londynu. Ponieważ miałem dużo czasu do przesiadki, postanowiłem kupić Suzanne perfumy w sklepie wolnocłowym. Bardzo szybko tego pożałowałem. Boże, ile zachodu. Ze względu na przepisy bezpieczeństwa musiałem włożyć małe pudełeczko z perfumami do drugiego, cztery razy większego, a potem je nadać na bagaż, bo nie wolno zabierać na pokład żadnych płynów. Przez to o mało nie spóźniłem się na swój lot. Byłem na nich wściekły, także dlatego, że w domu Suzanne miała zawiedzioną minę, kiedy to pudełko otworzyła. Pewnie widząc jego rozmiary, spodziewała się w środku czegoś większego i fajniejszego.

Sprawdziłem w Internecie: afrykańskie pszczoły mogą zabić człowieka.



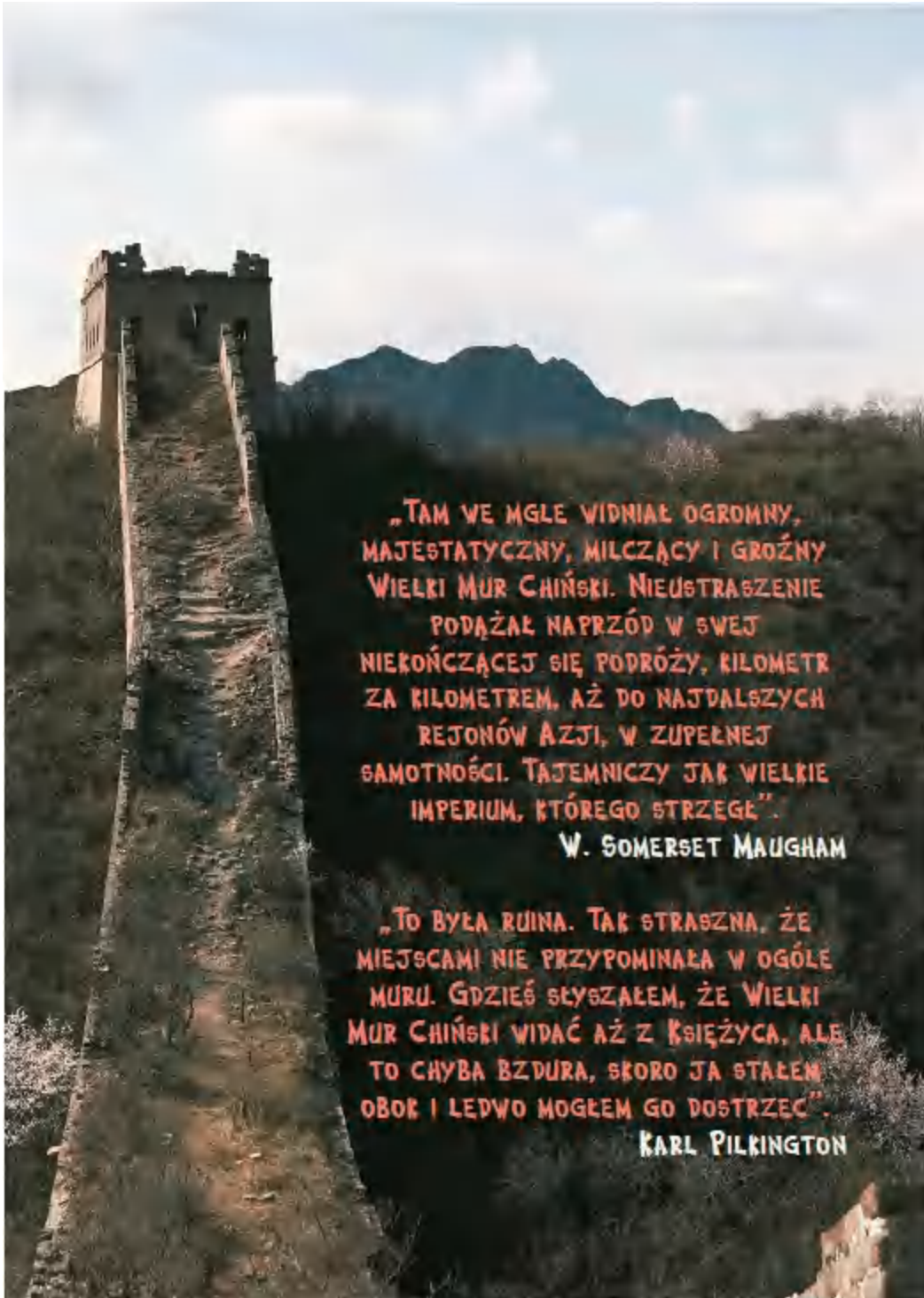






ROZDZIAŁ PIĄTY
WIELKI MUR CHIŃSKI





„TAM WE MGLE WIDNIAŁ OGROMNY,
MAJESTATYCZNY, MILCZĄCY I GROŹNY
WIELKI MUR CHIŃSKI. NIEUSTRASZENIE
PODĄŻAŁ NAPRZÓD W SWEJ
NIEKOŃCZĄCEJ SIĘ PODRÓŻY, KILOMETR
ZA KILOMETREM, AŻ DO NAJDALSZYCH
REJONÓW AZJI, W ZUPEŁNEJ
SAMOTNOŚCI. TAJEMNICZY JAK WIELKIE
IMPERIUM, KTÓREGO STRZEŻE”.

W. SOMERSET MAUGHAM

„TO BYŁA RUINA. TAK STRASZNA, ŻE
MIEJSCAMI NIE PRZYPOMINAŁA W OGÓLE
MURU. GDZIEŚ SŁYSZAŁEM, ŻE WIELKI
MUR CHIŃSKI WIDAĆ AŻ Z KSIĘŻYCA, ALE
TO CHYBA BZDURA, SKORO JA STAŁEM
OBOK I LEDWO MOGŁEM GO DOSTRZEC”.

KARL PILKINGTON

CHINY



Sobota 17 kwietnia

Z Chińczykami jest tak, że wprost stają na głowie, żeby wszystko robić inaczej niż inni. Musieli namieszać nawet przy tak zwyczajnej czynności jak czytanie książek. Oni czytają je z góry na dół i znowu z góry na dół. Wygląda to, jakby przytakiwali wszystkiemu, co tam napisane. Jedzenie też mają inne. Kiedyś chodziłem do pracy przez chińską dzielnicę i często w oknach restauracji widywałem wiszące kurczaki w kolorze czerwonym. Nie wiem, czy oni robili z nimi coś dziwnego, czy po prostu za długo tam wisiały i nabrały opalenizny.

Lubię od czasu do czasu zjeść chińszczyznę, ale perspektywa żywienia się nią codziennie przez tydzień średnio mnie kręci. Podobno w tym kraju jada się wszystko, co się rusza. W dzieciństwie często słyszałem plotki, że Chińczycy jedzą psy. Kiedy Mały Terrance przejął nasz lokalny bar i obok ryby z frytkami sprzedawał chińszczyznę, ludzie z okolicy zaczęli go obciążać odpowiedzialnością za zaginione zwierzęta domowe.

Ricky i Steve uważają, że powinienem jeść to samo co miejscowi, ale na dłuższą metę nie widzę w tym sensu. Powiedzmy, że tamci jedzą ropuchy, a ja ich skosztuję i mi posmakują. Gdzie potem znajdę w Londynie rzeźnika, który mi je sprzeda? Po co więc w ogóle próbować?

Z Chinami kojarzą mi się jeszcze nowoczesne technologie i zwariowane wynalazki. Mam nawet w domu album pełen ich dziwacznych patentów. Pamiętam czapkę z uchwytem na papier toaletowy i kota z małymi mopami na łapach, żeby szwendając się po kuchni w oczekiwaniu na żarcie, od razu mył podłogę.

Powodem mojej wizyty w tym kraju jest Wielki Mur Chiński. Nie powiem, żebym umierał z ciekawości. Często jest tak, że to, co podoba się wszystkim, mnie nie zachwyca. Tak było z większością cudów, które dotąd widziałem.

Irytuje mnie, kiedy ktoś mi coś narzuca. To ja ocenię, czy ten mur jest „wielki”, czy nie.

Spodziewam się, że Chińczycy okażą się bardzo uprzejmi w kontaktach. Nie wiem dlaczego. Może gdzieś o tym czytałem albo ktoś mi mówił. A może doszedłem do takiego wniosku na podstawie własnych doświadczeń, ponieważ wszyscy, których dotąd poznałem, właśnie tacy byli. Tym bardziej mam wątpliwości, czy ten ich mur jest rzeczywiście taki niesamowity. Nawet jeśli to ruina, czuję, że Chińczycy przez grzeczność tego nie przyznają. Niedługo sam się przekonam.



Sobota 24 kwietnia/niedziela 25 kwietnia

To był strasznie długi lot. Widziałem przez okno w samolocie słońce, potem księżyc, a potem znowu słońce. Ale cieszę się, że się napatrzyłem, bo tutaj chyba niewiele go zobaczę ze względu na smog. Kiedy lądowaliśmy, było szaroburo i mglisto. Poza tym zimno, musiałem wyjąć kurtkę.

Prosto z lotniska pojechaliśmy do miasta. Krish, reżyser odcinka, powiedział, żebym spróbował znaleźć hotel, pytając o drogę tubylców. Super. Zagadnął z piętnaście osób i żadna nie mówiła po angielsku. Jednemu starszemu panu pokazałem kartkę z nazwą hotelu, a on chwycił mnie za rękę i zaczął gdzieś ciągnąć. Myślałem, że wie, gdzie jest hotel, ale on zaprowadził mnie do małego krzeselka, posadził i zaczął okładać po plecach. Był masażystą. Miał co najmniej osiemdziesiąt lat, ale nadal sporo pary w rękach. Nigdy nie dotykał mnie tak stary mężczyzna. Ale czy on naprawdę był stary? Zawsze uważałem, że Chińczycy kiepsko się starzeją. Wyglądają ładnie i zdrowo gdzieś tak do trzydziestego piątego roku życia, a potem od razu robią się starzy. Mówiłem kiedyś Ricky'emu, że z nimi chyba jest jak z gruszkami — z dnia na dzień stają się pomarszczone. Nie rozumiał, o czym mówię.

Być może gość, który masował mi plecy, miał tylko trzydzieści osiem lat.

Sami oceńcie.

Masaże powinny się odbywać przy dźwiękach fletni Pana albo odgłosach wielorybów puszcanych z płyty, tymczasem w Pekinie dochodziły mnie wyłącznie odgłosy kaszlu, charkania i plucia. Widocznie to tutaj w dobrym tonie, bo zauważyłem, że robią to prawie wszyscy. W końcu udało mi się znaleźć młodą Chinkę, która przetłumaczyła riksarzowi to, co miałem na kartce.



Hotel, w którym będę mieszkał, jest fajny, chociaż dostałem bardzo mały pokój. Jest czajnik i herbata, obok stoi akwarium z dwiema złotymi rybkami. Nie wiem, czy są tu dla towarzystwa, czy jako przekąska. Za oknem wisi klatka z papuzką. Czuję, że będzie mi tu dobrze. Zjadłem paczkę chipsów, które zabrałem z Anglii, a potem wyszliśmy z ekipą na stary miejscowy bazar. Zapachy te same co w chińskiej dzielnicy w Londynie — kwaśno-słodkie. Pierwsze, co zobaczyłem, to mężczyznę, który na rogu ulicy kucał pochylony nad kilkoma miednicami pełnymi dorodnych sumów i węgorzy. Stałem się przyjrzeć, a on wyjął jeszcze trzy reklamówki. W jednej było z osiemdziesiąt ropuch. Najpierw myślałem, że zdechły, bo się nie ruszały, ale nagle jedna wyskoczyła. Facet ją złapał i odciął jej głowę. Potem to samo zrobił z resztą. Istna rzeź ropuch, i to tylko dlatego, że jedna próbowała uciec. Kolejno odcinał im głowy, potem obdzierał ze skóry, którą wrzucał do jednej reklamówki, a mięso do drugiej. Trwało to dosłownie kilkadziesiąt sekund. Widok mało przyjemny, ale szybkość i wprawa tego człowieka robiły wrażenie. Robił to jednym ruchem nożyczek. I to takich zwykłych, domowych, jakie każdy ma u siebie w szufladzie. Takich, które służą do przecinania sznurka, papieru, taśmy klejącej i... skóry ropuch. Prawdziwy fachowiec z tego gościa. Wyraźnie sprawiało mu przyjemność popisywanie się swoimi umiejętnościami. Pewnie mógłby to robić z zawiązanymi oczami, jak ci żołnierze, którzy potrafią złożyć karabin maszynowy.

W pewnym momencie pojawiło się kilku policjantów i Krish uznał, że lepiej się zmyć, bo nie wolno tam filmować. Oni chronią wizerunek kraju, więc istniało ryzyko, że nam zabiorą taśmę z kamery. Przeszliśmy do nowszej części targu. Stragany i ich rozmieszczenie już bardziej przypominały to, co mamy w Anglii. Dopiero kiedy podszedłem bliżej, zobaczyłem, że sprzedają tam owady. Całe rzędy robactwa nadzianego na patyki. Były też duże czarne skorpiony, węże, gąsienice i szarańcze ułożone tak, jakby czekały w kolejce do Arki Noego.

Następny naród, który wpieprza wszystko, co łązi po ziemi. Większość z tych przekąsek była umoczona w jakimś oleju, żeby wyglądała apetyczniej, za to jaszczurka sprawiała wrażenie, jakby ktoś ją znalazł przygniecioną pustakiem i nabił od tyłu na patyk. Zaczynam się zastanawiać, czy ta staruszka z rymowanki, która połknęła kota, żeby złapać ptaszka, żeby złapać pająka, nie była czasem Chinką. Wygląda na to, że to normalna tutejsza dieta.



Kierowca naszego vana zatrzymał się, żeby wstąpić na lunch. Kupił sobie zapłodnione kaczce jaja. Wyglądały obrzydliwie. Wcześniej pisałem, że Chińczycy jedzą wszystko, co się rusza; właśnie się dowiedziałem, że także to, co jeszcze nawet nie miało okazji się poruszyć. Nie rozumiem, dlaczego nie mogą poczekać, aż pisklę się wykluje i zjeść je jako kaczkę. Skoro tak im się śpieszy, niech jedzą kaczą sperme. Słyszałem też o innym przysmaku, stuletnich jajach, ale nie wiem, jak cokolwiek w tym kraju może doczekać takiego wieku i nie być wcześniej zjedzonym. Wróciliśmy do hotelu. Zjadłem jeden z pięciu twiksów, które zabrałem z domu, i jeszcze jedną paczkę chipsów. Trzeba było wziąć więcej.



Poniedziałek 26 kwietnia

Nie spałem za dobrze, bo zaraz za drzwiami mam dzwonek hotelowego domofonu, głośny jak alarm samochodowy. Wcześniej też zaczęli roboty drogowe, co rozdrażniło papużkę i potem świergoliła przez pół godziny. Nie wiem, jakim cudem ona jeszcze żyje. Na zewnątrz jest strasznie zimno. Sprawdziłem telefon, dostałem maila od mamy z pytaniem, jak się miewam i czy będę miał okazję zobaczyć Terakotową Armię, bo ona widziała w telewizji i podobno jest fajna. Pisząc o Terakotowej Armii, przypomniała sobie, że tato pomalował jej krasnale w ogrodzie, więc dołączyła zdjęcie. Poza tym dostałem SMS-a od Suzanne z życzeniami dobrej nocy. Z powodu różnicy czasu trudno mi będzie utrzymywać kontakt z rodziną. To aż siedem godzin.



Właśnie znowu zasypiałem, kiedy obudził mnie Krish z informacją, że Stephen zostawił mi wiadomość w komórce. Nie odsłuchiwałem poczty głosowej, bo to za dużo kosztuje, ale Krish powiedział, że muszę się dowiedzieć, jakie są plany na dzisiaj.

„CZEŚĆ, KARL, TU STEPHEN. MAM DLA CIEBIE MAŁĄ NIESPODZIANKĘ. WIEM, JAK FASCYNUJE CIĘ WSZYSTKO, CO DZIWNE I NIEZBADANE, A WAŻNYM ELEMENTEM KULTURY CHIN JEST PRZEPOWIADANIE PRZYSZŁOŚCI. UMÓWILIŚMY CIĘ WIĘC Z JASNOWIDZEM, ŻEBYŚ SIĘ DOWIEDZIAŁ, CO CIĘ CZEKA. BAW SIĘ DOBRZE”

Nie spodobał mi się ten pomysł. Wcale nie chcę wiedzieć, jak będzie wyglądała reszta mojego życia. Nawet jeśli to będą bzdury, boję się, że wpłyną na moją podświadomość i przestanę sobie radzić z życiem. Najlepsze są niespodzianki, a w dzisiejszych czasach mamy ich coraz mniej. Nawet tak prosta rzecz jak odsunięcie rano zasłon, żeby zobaczyć, jaka jest pogoda, może być miłą niespodzianką, ale teraz całą przyjemność odbiera nam lokalna telewizja ze swoimi pięciodniowymi prognozami. Właściwie jedyną korzyścią z poznania przyszłości byłoby zarezerwowanie innego hotelu, bo wiedzielibyśmy, że tu za oknem remontują drogę.

Pozbierałem się, zjadłem na śniadanie jajko na twardo z jakimś dziwnym chlebem, a potem pojechałem do jasnowidza.

Okolica nie wyglądała zbyt mistycznie. Budynek stał przy ruchliwej szosie, z

jednej strony była myjnia, z drugiej blokowisko. Okazało się, że jasnowidz nie mówi ani słowa po angielsku, więc musieliśmy skorzystać z pomocy tłumaczki. Zapytawszy mnie o datę i godzinę urodzin, od razu przeszedł do wróżenia.

— Południowa strona pańskiego domu leży dość nisko, czy tak? — spytała mnie tłumaczka.



— Mieszkam na parterze, więc chyba tak. Jasnowidz, pan Sow, powiedział coś po chińsku. Tłumaczka przełożyła:

— Musi pan uważać na siebie, bo ma pan jakieś problemy z sercem.

— O masz, zaczyna się... Jakie problemy?

— Coś z sercem, z układem krążenia. Musi pan na to uważać.

— To ciekawe, bo mój tato miał chore serce, a mówią, że to rodzinne.

— Trzeba o siebie dbać, bo to może być groźne.

— Czyli umrę z tego powodu? To mi chce powiedzieć? Że wykituję na serce?

— Na dziewięćdziesiąt procent.

— Dziewięćdziesiąt procent!

— Ale może uda się to zmienić.

— To już brzmi lepiej.

— Niech pan robi dużo dobrych uczynków. Stara się być lepszy.

— Dobre uczynki? Chodzi o pomaganie innym? Ale ja to robię. Niech mu pani powie, że co miesiąc wpłacam cztery funty na pomoc Afryce, pięć na bezdomnych, chyba tyle samo na głuche dzieci i ostatnio na Czerwony Krzyż. To cztery organizacje, każda średnio po pięć funtów, czyli w sumie co miesiąc wydaję na cele dobroczynne dwadzieścia funtów.

Tłumaczka przekazała moje słowa panu Sow, a potem powiedziała:

— Bardzo dobrze. W przeciwnym wypadku byłoby z panem dużo gorzej. Byłby pan jeszcze bardziej chory niż teraz.

Po przekazaniu tych wieści jasnowidz kazał mi wypisać na osobnych kartkach trzy grzechy, które popełniłem w przeszłości. Po długim zastanowieniu napisałem tak:

Grzech 1. Żałuję, że kradłem batoniki z kiosku, skąd dostawałem gazety do rozwożenia. Brałem sobie po

jednym codziennie przez dwa lata (może dlatego grozi mi zawał).

Grzech 2. Żałuję, że otwierałem korespondencję adresowaną do Bruce'a (poprzedniego właściciela naszego mieszkania), zamiast mu ją przekazywać.



Grzech 3. Żałuję, że w szkole wkleiłem Carlowi Grimshawowi plastelinę we włosy. Tak mu się splątały, że musiał się ogolić na zero. Jego mama była na mnie wściekła, bo Carl miał dziwny kształt głowy, przez co jeszcze bardziej rzucała się ona w oczy.

Pan Sow powiedział, że teraz spali jedną z kartek, a pozostałe mam wziąć i jedną zanieść na szczyt góry, a drugą wrzucić do morza. Potem razem z asystentami dokonał na mnie krótkiego obrzędu polegającego na tym, że stałem w lodowatym zimnie, trzymając zapalone kadzidełko, a oni tańczyli wkoło mnie i podpalali papier. Takie stanie na zimnie chyba nie jest zdrowe dla faceta z chorym sercem. Pożegnaliśmy się i pojechaliśmy do knajpy coś zjeść. Nie ryzykowałem i wziąłem makaron, ale po powrocie do hotelu zjadłem jeszcze jednego twiksa.



Wtorek 27 kwietnia

Obudziłem się o wpół do piątej rano. Ciągle nie przestawiłem się na nowy czas. Wyjrzałem przez okno, ale nawet papuga jeszcze spała... albo zdechła.

Dla zabicia czasu sięgnąłem po leżącą na półce książkę z przemówieniami Mao Tse-tunga. To był taki chiński polityk. Powiedział kiedyś: „Mamy zbyt ograniczone horyzonty, niczym żaba żyjąca na dnie studni. Jej się wydaje, że to, co widzi nad sobą, to całe niebo. Gdyby stamtąd wyszła, zyskałaby zupełnie inną perspektywę”.

Pomyślałem, że ja też byłem trochę taką żabą, zanim zacząłem jeździć po świecie. Mimo to nie wiem, czy warto, żeby wyłaziła z tej studni, bo niebo tu i tak szare od zanieczyszczeń, a poza tym w Chinach żaby nie są bezpieczne.

Ktoś mógłby ją złapać, pozbawić głowy i zjeść.

W sumie więc rada Mao Tse-tunga nie jest najlepsza. Na śniadanie znowu zjadłem jajko na twardo. Ekipa kręciła dzisiaj zdjęcia na ulicy: ludzi, samochody i tak dalej. Oni filmowali, a ja musiałem na chwilę skoczyć do toalety. Wszedłem i na dzień dobry zobaczyłem dwóch kucających gości. Kabiny nie miały drzwi.



Jasnowidz lub w moim przypadku
„ciemnowidz”.



Moje grzechy za chwilę ulecą z dymem.



A może by tak postawić
małe chińskie murki?



Kupiłem je, a potem żałowałem.
Tu jest tak zanieczyszczone powietrze,
że słońca nie widać.

Jeden do mnie mrugnął. Najpierw myślałem, że facet ma zatwardzenie, ale potem poznałem, że to kucharz z knajpy, gdzie wczoraj jedliśmy. Drugi gadał jak najęty przez komórkę, prawdopodobnie przyjmował zamówienie z baru. Uciekłem stamtąd i podzieliłem się z Krishem moim problemem. Mam kłopot z tymi toaletami w postaci dziur w podłodze. Nie chodzi nawet o samą dziurę, ale o to, że nie można się zamknąć. Dziwne, że potrafili wybudować Wielki Mur, a nie chce im się wziąć kawałka płyty wiórowej, przykręcić paru zawiasów i zrobić drzwi. Umywalek i papieru toaletowego też tam nie było. Ciekawe, czy uda mi się znaleźć taką czapkę z uchwytem na papier, jaką widziałem w moim albumie z wynalazkami. Ekipa filmowała dalej, więc wybrałem się do hali targowej. W środku była masa tanich podróbek ciuchów, płyt DVD, komórek, zegarków i butów. Kupiłem sobie uchwyt na telefon, kurtkę przeciwdeszczową i film na DVD, bo w tutejszej telewizji nie ma ani jednego anglojęzycznego kanału. Miałem zamiar coś zjeść, ale nawet tam, w miejscu typowo nastawionym na turystów, oferowali dziwne potrawy. Na przykład ciasto z krwi. Wszędzie leżały całe bloki tego świństwa. Nie powinni tego nazywać ciastem, i tak nie dam się skusić. Wróciłem ze wszystkimi do hotelu. Kierowca naszego vana dwa razy puścił bąka i wcale nie był tym skrępowany. Koledzy uznali, że moja nowa kurtka jest fajna, ale raczej nie mam co liczyć, że będzie wodoodporna.

W knajpie na rogu znowu zamówiłem makaron i dowiedziałem się od Krisha, że jutro jadę zwiedzać Wielki Mur Chiński.

Przed snem obejrzałem DVD kupione na targu. Piracka kopia, więc bardzo złej jakości, ale i sam film był kiepski. Został nagrany kamerą w kinie. Było widać, jak ktoś wstaje i wychodzi z sali po półgodzinie, czyli nie tylko mnie się nie podobał.

Moja kurtka pewnie też okaże się buble.



Środa 28 kwietnia

Znowu obudziłem się wcześniej, więc zdążyłem pogadać z Suzanne, zanim poszła spać. Powiedziałem jej, że jadę zobaczyć Wielki Mur. Zwierzyłem się, że już mnie męczy to obowiązkowe zaliczanie cudów. Ona na to, że to powinna być wisienka na torcie. No tak, tylko że ja nie przepadam za wisienkami. Zawsze odkładam je na bok. To tylko dekoracja, a dekoracja jest po to, żeby zachęcić do jedzenia, sama nie musi dobrze smakować. Tak samo z tymi cudami. To dla nich odwiedzam różne kraje, ale wcale nie robią na mnie największego wrażenia. Wydaje mi się, że głównie służą do tego, żeby zwabić ludzi, którym normalnie nigdy nie przyszłoby do głowy tam jechać.

Na śniadanie zjedliśmy tradycyjnie jajka na twardo i ruszyliśmy w drogę. Ricky i Steve załatwili mi miejsce w autokarze turystycznym, żebym przy okazji dowiedział się po drodze czegoś o Murze.

Na parkingu stało chyba z pięćdziesiąt autokarów, wszystkie jechały w to samo miejsce. Popytałem wkoło i znalazłem właściwy. W środku masa ludzi, sami Chińczycy. Potem wsiadł przewodnik, wziął do ręki mikrofon i zaczął mówić. Po chińsku. Świetnie.

Nie rozumiałem ani słowa, więc po prostu siedziałem i gapiłem się przez okno.

Pasażerami byli sami starzy ludzie, chyba że moja teoria jest słuszna. Średnia wieku to na oko jakieś siedemdziesiąt lat. Nie wiem, jakim cudem tylu sędziwych Chińczyków nie zdążyło jeszcze zobaczyć Wielkiego Muru. Widocznie to nic ciekawego. Skoro dożyli tylu lat i dotąd nie chciało im się tam pofatygować, to o czym to świadczy?

W sumie bez znaczenia, że nie rozumiałem chińskiego przewodnika, bo i tak bym go nie słyszał z powodu ilości kaszlnięć i charknięć współpasażerów. To musi być zaraźliwe jak ziewanie, bo wszyscy to robili. Obok mnie siedziała cicha i spokojna starsza pani, która co minutę odchrząkiwała flegmę i spluwała do reklamówki. Nie mogłem się doczekać końca podróży. Przy tej ilości śliny

latającej w powietrzu szybko się przekonam, czy moja nowa kurtka jest nieprzemakalna. Wreszcie autokar zajechał na wielki parking i zatrzymał się obok straganów, gdzie sprzedawano śmieszne czapki, szaliki, magnesy na lodówkę i pamiątkowe talerze. Kupiłem sobie wełnianą czapkę, bo było strasznie zimno, a potem ustawiłem się w długiej kolejce do wejścia.



Zwiedzanie Wielkiego Muru meleksem.



Ja w autobusie.



Przyjeżdżajcie do nas. Mur jest wielki!



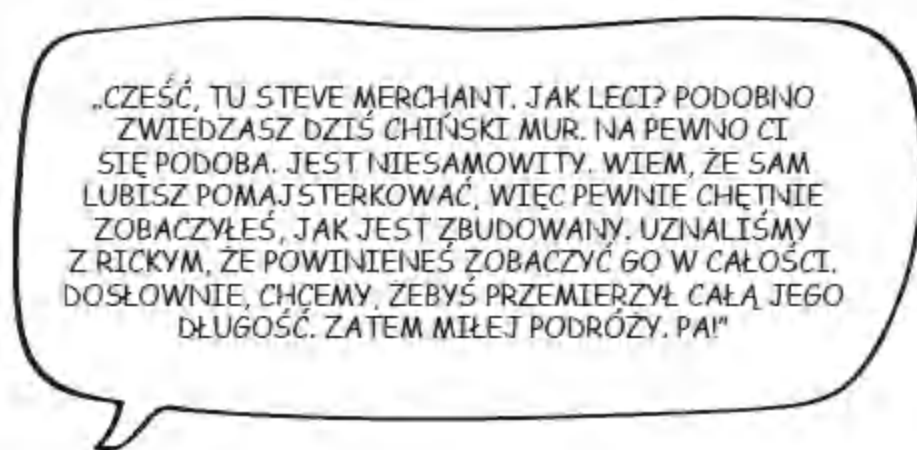
Kierowca, który je wszystko.
On nie pali tej fajki, on ją zuje.
A na głowie ma resztki ze śniadania.

Kiedy wszedłem za bramę, zobaczyłem Wielki Mur, który jak wąż wił się przez góry po horyzont. Robił wrażenie. Chciałem się na chwilę zatrzymać i popatrzeć, ale przewodnik zawołał, żeby iść dalej. Powiedziałem Krishowi, że właściwie możemy zwiedzać sami, bo co nam po przewodniku, który mówi tylko po chińsku. Przyznał mi rację.



Udało nam się znaleźć fragment Muru, gdzie nie było tylu turystów. Przyjrzałem mu się: wyglądał prawie jak nowy. Próbowałem zrozumieć, o co ten cały szum, ale to nie takie proste, kiedy ma się za mało wiadomości. Krish dał mi przewodnik po Chinach i tam przeczytałem, że duże fragmenty zrekonstruowano w latach pięćdziesiątych i osiemdziesiątych. Skoro nie jest oryginalny, to chyba nie może się liczyć jako cud świata? Gdybym będąc teraz w Indiach, zastał na miejscu Tadź Mahal nowo wybudowaną willę z dwoma garażami i podjazdem, nie mogliby już wciskać ludziom, że to Tadź Mahal, więc dlaczego tutaj im to uchodzi? Do cholery, czy w Chinach są same podróbki? Kurtka, film na DVD, a teraz Wielki Mur.

Powiedziałem, że dość się napatrzyłem i chcę wracać. W komórce czekała na mnie kolejna wiadomość.



Nie chciałem oglądać więcej Muru, ale Krish powiedział, że warto, bo przy okazji zwiedzę inne rejony kraju.

Dzisiaj nocujemy gdzie indziej, w jakimś domu na zadupiu. Z daleka wyglądał na nowy, ale z bliska okazało się, że to rudera. Drzwi się nie domykają, w środku jest strasznie zimno, a w moim pokoju czuć wilgoć. Herbatę znalazłem, ale nie ma mleka.



Czwartek 29 kwietnia

Dzisiaj wysoko w górach zobaczyłem kawałek starego, oryginalnego Muru. To ruina. Tak straszna, że miejscami nie przypomina w ogóle muru. Gdzieś słyszałem, że Wielki Mur Chiński widać aż z Księżyca, ale to chyba bzdura, skoro ja stałem obok i ledwo mogłem go dostrzec.

Sam już nie wiem, czego chcę. Odbudowany Mur mi się nie podobał, ale ten stary też nie zachwyca. Jestem kapryśny jak królowna. Mimo to podróż nie okazała się zupełną stratą czasu, ponieważ na szczycie góry pozbyłem się jednego z moich grzechów.

Później zahaczyliśmy o jakąś wioskę i postanowiliśmy wybrać się na spacer. Na podwórzu jednego z domów majsterkował jakiś człowiek. Nie mogłem odgadnąć, co tam kleci, ale domyślałem się, że nie są to drzwi do toalety. Spytałem Krisha, czy mamy czas, żebym podszedł bliżej i się przyjrzał. Okazało się, że gościu robi trumnę. Ogromną. Spytałem, dla kogo, a on odpowiedział, że dla kobiety, która mieszka w tym domu. W tej samej chwili rzeczona pojawiła się w drzwiach. Stwierdziła, że to normalne, że stolarz robi ci trumnę na twoim własnym podwórku. Ma sześćdziesiąt dziewięć lat. Po tym, co usłyszałem od jasnowidza, chyba powinienem wziąć od tego gościa numer telefonu.

Nie wiem, czy chciałbym, żeby mi robiono trumnę przed domem. Wychodząc do pracy, codziennie musiałbym na nią patrzeć. To chyba jedyna sytuacja, kiedy nie miałbym pretensji do fachowca, że nie wykonał zlecenia w terminie. Poza tym nie miałbym gdzie jej postawić w mieszkaniu, jest za mała, a żeby ją trzymać na zewnątrz, musiałbym wykupić dodatkowe miejsce parkingowe.

Kobieta doglądała prac nad trumną, jakby chodziło o malowanie ganku. „Kiedy skończy — powiedziała — będę o wiele spokojniejsza. Będę miała świadomość, że tę sprawę mam załatwioną. Poza tym miło jest wiedzieć, w czym się spocznie po śmierci”.

Opowiadała, że jej mąż zmarł dwadzieścia lat temu w wieku pięćdziesięciu lat i nie mieli dla niego gotowej trumny. Zwykle zaczyna się o tym myśleć koło

siedemdziesiątki. Męża pochowano więc w trumnie przygotowanej dla jej matki.

Zostawiliśmy ich i poszliśmy dalej. Przed innym domem też zobaczyłem trumnę. Ta była gotowa i pomalowana na czarno. Stała oparta o ścianę, czekając na tego, kto będzie jej potrzebował. U nas mama zaraz by ją czymś wypełniła. Gdzie tylko znajdzie wolną przestrzeń, natychmiast ją zagraca. W sumie nie byłoby źle, gdyby zdjęli wieko i do czasu, aż będzie potrzebna, nasadzili w niej roślin, zrobili coś w rodzaju wielkiej skrzyni na kwiaty.

Kiedy ja oglądałem trumny, Krish dogadał się z jednym miejscowym, że ten zaprosi mnie do siebie na obiad. W zamian miałem mu narąbać drzewa. W domu oprócz gospodarza mieszkała jego żona, mały synek i babcia. Dzieciak miał na sobie spodenki z wyciętą dziurą na pupie. To popularny wynalazek, bo chińskie dzieci uczy się korzystać z nocnika, zanim się nauczą zdejmować spodnie.

CIEKAWOSTKI KARLA

W czasie budowy Wielki Mur Chiński nazywano „najdłuższym cmentarzem świata”, bo praca przy nim pochłonięła życie ponad miliona osób.



Według legendy przebieg Muru wyznaczył przyjazny smok. Budowniczo wie podążali za jego wskazówkami.

Chińczycy wynaleźli taczki i używali ich powszechnie w trakcie budowy Wielkiego Muru.



Łączna długość wszystkich chińskich murów obronnych wybudowanych w ciągu 2000 lat to około 50 000 kilometrów. Obwód Ziemi wynosi prawie 40 000 kilometrów.

Dowiedziałem się jeszcze jednej rzeczy o chińskich dzieciach: rodzice lubią, żeby miały spłaszczone z tyłu główki. Nie znam szczegółów, muszę zajrzeć do Internetu po powrocie.

Kiedy rąbałem drzewo, zauważyłem kątem oka, że pani domu wywija czymś w powietrzu, a potem wali tym o ziemię. To była ropucha. Dziesięć minut później płaz leżał ugotowany w misce obok jakiejś wieprzowiny z sałatą. Spróbowałem trochę wieprzowiny i dałem do zrozumienia, że bardzo mi smakuje, ale babcia uparcie pokazywała na ropuchę. Powiedziałem, że wieprzowina w zupełności wystarczy, a wtedy ona dosłownie wepchnęła mi do ust kawałek ropuszego mięsa. To chyba nie jest normalne, co? Ochrzaniłem ją, co nie było miłe, ale nie podoba mi się, gdy ktoś mnie karmi na siłę ropuchą. Powiedziałem jej, żeby raczej dziecku pomogła przy jedzeniu, nie mnie. Wziąłem kawałek i spróbowałem jej wcisnąć do ust. Też nie wyglądała na zachwyconą. Wcale bym się nie zdziwił, gdyby się okazało, że nikt nie jada w Chinach ropuch, tylko Ricky i Steve robią sobie ubaw moim kosztem.

Wyjechaliśmy z wioski. Po południu zobaczyłem jeszcze inny fragment Muru. Kiedy się wspinałem do góry, telefon złapał zasięg i odebrałem wiadomość od Steve'a:

„CZEŚĆ, TU STEPHEN. MAM NADZIEJĘ, ŻE WSZYSTKO GRA. JA TYLKO Z KRÓTKĄ INFORMACJĄ: MAMY DLA CIEBIE COŚ FAJNEGO. TO WAŻNY ELEMENT CHIŃSKIEJ KULTURY, BARDZO POPULARNY U NAS W LATACH SIEDEMDZIESIĄTYCH. SPOTKASZ SIĘ Z MISTRZAMI KUNG-FU. BAW SIĘ DOBRZE. NA RAZIE”.

Super.



Piątek 30 kwietnia

Po drodze znowu się zatrzymaliśmy przy tym głupim Murze. Nie mam nic więcej do powiedzenia na jego temat. Krish usiłował mnie przekonać, że jest wspaniały, dlatego że taki długi. I co z tego? Autostrada M6 też jest długa, w dodatku starsza niż niejeden jego fragment.



Dotarliśmy do szkoły Shaolin, gdzie uczą kung-fu. To akurat nigdy mnie nie pasjonowało. W ogóle żadne sztuki walki. Zawsze uważałem, że to tylko niepotrzebnie przedłuża bójkę. We wszystkich filmach tego gatunku pojedynki ciągną się godzinami. Założę się, że kiedy w Chinach dochodzi do bójki, pod koniec nikt już nie pamięta, o co poszło. Wygrać może tylko jeden, więc po co to przeciągać? To tak samo bez sensu jak bzykanie się przez całą noc. Kiedyś miałem takich sąsiadów — do rana to robili. Po co? Zrób, co masz zrobić, i idź spać.

Na miejscu zobaczyłem tłum dzieciaków ćwiczących na placu kung-fu. Zsynchronizowane ruchy, jednakowe stroje. Nie to co nasz WF w szkole. Połowę lekcji traciłem w magazynie na poszukiwaniu pasujących spodenek. Notorycznie zapominaliśmy strojów. Przypominało to bardziej program *Trinny i Susannah* niż lekcję WF-u.

Podszedł do nas koleś, przedstawił się jako Leo i powiedział, że oprowadzi mnie po terenie szkoły. To był nauczyciel i mistrz kung-fu. Wy tłumaczył, dlaczego ta sztuka ma takie duże znaczenie w Chinach i jak dzięki odpowiednim metodom treningowym uzyskać niezwykłą sprawność i umiejętności.

Najpierw zaprowadził mnie na wzgórze, gdzie czterech uczniów zaprezentowało kilka popisowych numerów. Jeden roztrzaskał drugiemu na plecach drewniany kij, drugi złamał sobie na głowie metalową sztabę, a trzeci wygiął dzidę, opierając się krtanią o ostrze. Po co ludzie robią takie rzeczy? Powiedziałem do Leo, że jedyne, co mogłoby mi się przydać, to łamanie sztaby, bo ciągle mi się zdarza walnąć o coś głową. Leo odparł, że wyginanie dzidy też jest przydatne, ponieważ szyja to jedna z najdelikatniejszych części ciała i to ćwiczenie pomaga ją wzmocnić. Mówiąc to, dźgnął mnie dwoma palcami w krtani. Na chwilę straciłem oddech. Szybki był. Nie zdziwiłbym się, gdyby w tym samym czasie zdążył mi zbadać prostatę.

Najmłodszym z uczniów był obsmarkany dziesięciolatek, który zrobił fikołka i

odbił się głową od ziemi. Niewiele się uśmiechał. Nie sądzę, żeby mu się podobało w tej szkole. Leo powiedział, że chłopak codziennie ćwiczy lądowanie na głowie, to ma mu pomóc wzmocnić mięśnie karku. Na razie pomogło mu w oczyszczeniu nosa z glutów.

Leo stale powtarzał, że zdrowe ciało oznacza zdrowy umysł. Ja mu na to, że nie zawsze. „Spójrz na Stephena Hawkinga”, powiedziałem. Chyba jednak nie skojarzył, o kim mówię. Na odchodnym zapowiedział, że jutro przeprowadzi ze mną krótki trening i w związku z tym mam być gotowy o czwartej rano. Stwierdziłem, że to barbarzyńska pora, wolałbym gdzieś o wpół do szóstej. Leo był jednak stanowczy i musiałem ulec. Dziś nocuję w innym hotelu. Nie najlepszym. Cała wykładzina jest w plamach po ślinie. Położyłem się wcześniej, ale nie mogłem zasnąć, bo jakiś gówniarz zasuwał korytarzem na rowerku tam i z powrotem. Wstałem więc i zjadłem ostatniego twiksa.





Sobota 1 maja

Pięć po czwartej obudziło mnie energiczne pukanie do — drzwi. To był Leo. Powiedział surowym tonem, że się spóźniłem, wręczył mi strój i odszedł.

Zanim zszedłem do samochodu, zdążył się trochę uspokoić. Nasz kierowca w ciągu piętnastominutowej jazdy aż dwa razy puścił bąka. Zdumiewające, jaka tu panuje tolerancja wobec takich rzeczy jak plucie i pierdzenie. Nie wiem, co trzeba by zrobić, żeby uznano cię w tym kraju za chama.

Leo dał mi niezły wycisk. Musiałem biegać, robić szpagaty i wskakiwać w kucki na schody, a potem jeszcze rzucałem igłami do drzewa. Sam rozwalił ręką parę cegieł (może dlatego Wielki Mur jest w tak kiepskim stanie?). Kilkakrotnie próbowałem go zaatakować z zaskoczenia, ale za każdym razem lądowałem na ziemi. Polubiłem tego gościa, a siniaki będą miłą pamiątką. Wszystko mnie bolało, więc Krish stwierdził, że skoro Chińczycy zajmują się też masażami, powinienem to wykorzystać, bo to mi dobrze zrobi po tak intensywnym treningu.



Rozgrzewka w szkole Shaolin.

Zdejmowanie tych butów to koszmar.

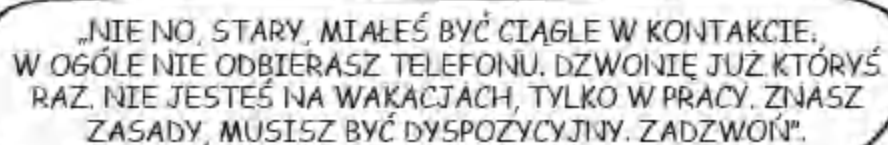
Zachwycony tłum patrzy.

W drodze na masaż zatrzymaliśmy się w małym barze. Trochę obskurny, ale w pobliżu nic innego nie było, a chciało nam się jeść, bo byliśmy na nogach od czwartej rano. Na stole pojawiło się dużo talerzy. Zabrałem się do jedzenia. Wtedy weszła Emma, nasza tłumaczka, i oznajmiła, że właśnie zjadłem psa. Gdyby była włączona kamera, pomyślałbym, że robią mnie w konia, ale nie. Za to wszyscy z przerażeniem zajrzeli w swoje talerze. Ale oni dostali co innego, tylko ja mam takiego pecha. Smakowało średnio, myślałem, że to gorszy gatunek wołowiny. Tutaj nawet jedzenie, które znam z domu, smakuje inaczej, więc niczego nie podejrzewałem.

No trudno. Zobaczymy, jak na to zareaguje mój żołądek. W salonie masażu skierowano mnie do małego zagraconego pokoju, gdzie było bardzo gorąco. Przywitała mnie kobieta, poprosiła o zdjęcie spodni i dała mi w zamian jakieś szorty. Wymasowała mi nogi i stopy, co było bardzo przyjemne. A potem je podpała. Rany boskie.

Nasączyła kilka szmat jakimś olejem, przyłożyła mi do nóg i podpała. Nie mam pojęcia, czemu to ma służyć. Masaż powinien być relaksem, a ja się darłem wniebogłosy, rozglądając się za gaśnicą. Kobieta mimo to nie przestawała. Choć nie znała angielskiego, z moich wrzasków mogła się domyślić, że nie jestem zachwycony. Jak mówiłem, Chińczycy przy wszystkim muszą majstrować. Z kiepskim skutkiem.

Byłem wściekły na Krishna, że mnie w to wpakował, a potem zdenerwowałem się jeszcze bardziej, kiedy odebrałem wiadomość od Ricky'ego:



„NIE NO, STARY, MIAŁEŚ BYĆ CIĄGLE W KONTAKCIE. W OGÓLE NIE ODBIERASZ TELEFONU. DZWOŃ JĄŻ KTÓRYŚ RAZ. NIE JESTEŚ NA WAKACJACH, TYLKO W PRACY. ZNASZ ZASADY, MUSISZ BYĆ DYSPOZYCYJNY. ZADZWOŃ”.

Jakim cudem, przebywając tak daleko, potrafi być tak irytujący?

Zadzwońłem zaraz po dotarciu do następnego hotelu.

Cześć.

Czemu się nie odzywasz? Dostałeś moją wiadomość?

Dostałem, ale byłem na jakimś odludziu, oglądałem Mur...

Jakim odludziu, to niemożliwe. Ten kraj ma miliard mieszkańców.

Zobaczysz materiał, to się przekonasz. Stoję samotnie na pustym wzgórzu i patrzę na Mur. Dziwnie tu jest.

Dlaczego?

Nie wiem, tak w ogóle. Dziwna atmosfera, zwyczaje. Jedzenie ropuch też nie jest normalne.

Nie mów, że jadłeś ropuchy!

Spróbowałem.

Mślałem, że to tylko mit, że sam to wymyśliłeś. Nie wiedziałem, że oni naprawdę to jedzą.

Jedna baba wmusiła we mnie kawałek. Bałem się, że mi zasmakują, ale nie, to mi nie grozi. Co jeszcze? Kible. U nas w publicznej toalecie otwierasz drzwi monetą, nie? Tutaj to niemożliwe. Toalety nie mają drzwi.



Idziemy kiedyś ulicą, chłopaki filmują jakieś samochody. Mówię im: „Wskoczę tu na chwilę, dobra?”. Wchodzę i widzę przed sobą dwóch kucających gości.

I co oni na to?

Dla nich to normalne, więc kiwnęli głowami i tyle. Taki widok zaraz na wprost wejścia... Przecież jak włączysz do kibla, nie skręcasz od razu w bok, prawda? Najlepsze, że to byli kucharze z baru obok.

Nie gadaj.

Jak Boga kocham. Jeden przyjmował zamówienie przez telefon. W życiu czegoś takiego nie widziałem. Nie wiem, czy bym się do tego przyzwyczaił. W takiej chwili człowiek potrzebuje prywatności. A ci sobie kucają, jeden gada przez telefon, drugi się rozgląda...

Niewiarygodne. Podobał ci się Wielki Mur Chiński?

Nieźta robota, ale nic dziwnego, skoro fragment, który widziałem, odnowiono w latach osiemdziesiątych.

Najstarsze fragmenty mają kilkaset lat. W jakim sensie odnowiono? Pomalowali, nałożyli nowy tynk, czy co?



Odbudowali i ładnie wykończyli. Teraz wygląda jak każdy inny mur, nie ma w nim nic wyjątkowego. Nazywa się „Chiński”, bo jest w Chinach, ale nie rozumiem, czemu mówią o nim „Wielki”. Jest zwykły. Zwykły Mur Chiński.

A dużo ludzi jeździ na rowerach?

Nie tak dużo. Ale jak rozmawiałem z miejscowymi, prawie każdy miał wśród znajomych osobę, która już nie jeździ, bo miała wypadek. Ktoś tam, na przykład, stracił nogę. Czyli te dziewięć milionów rowerów to chyba nieaktualne. Sam widziałem, jak jeden miażdżyła ciężarówka, więc jest przynajmniej o jeden mniej.

Nie powinieneś chyba czerpać całej wiedzy o Chinach z piosenek Katie Meluy. Nie wiem, czy to oficjalne dane.

Przed przyjazdem nie wiedziałem nic. Ludzie mówili: „A co myślałeś? Czego się spodziewałeś?”. Nie miałem o niczym pojęcia. Pamiętałem piosenkę Philipa Bailey’a „Chiński Mur”. Ona na pewno nie mówi o tym, że go zbudowali w latach osiemdziesiątych. Sama jest chyba starsza od niego. Szczerze mówiąc, mam już dosyć. Chcę wracać do domu.

Nie wiem, jak widzowie zareagują na informację, że Chińczycy srają na widoku, jednocześnie przyjmując zamówienie na posiłek, ale co zrobić, skoro to prawda.

Święta prawda.

Zapamiętam tylko, żeby zamawiając następnym razem chińszczyznę na wynos, spytać gościa: „Co pan teraz robi?”.

I lepiej nie zamawiać dania numer dwa.



Niedziela 2 maja

Co za pochmurny dzień. Pojechaliśmy zobaczyć, gdzie się kończy Wielki Mur Chiński. Wpada prosto do morza. Turystów było niewielu. Samo miejsce przypomina stare portowe miasteczko w Anglii. Był facet z hot-dogami, baba sprzedająca widokówki i jeszcze jeden facet, który wypożycza małe elektryczne gokarty. Naliczyłem dwadzieścia cztery osoby, i to łącznie ze sprzedawcą hot-dogów. Trochę mało jak na jeden z siedmiu cudów świata. Wcale mi to jednak nie przeszkadzało. To największa zaleta tego odcinka Muru.

Przejechałem się raz gokartem i ruszyliśmy w drogę powrotną. Na autostradzie mijaliśmy nas ciężarówka pełna psów. Musiało ich być ze sto, wszystkie, jak przypuszczam, z przeznaczeniem do konsumpcji.

Nigdy tak naprawdę nie rozumiałem problemu z jedzeniem psiego mięsa. W końcu to mięso jak każde inne i nie powinno nam robić różnicy, czy jemy świnie, krowę, owcę czy kurczaka. Jednak ludzie inaczej je traktują. Czasem żałuję, że mamy tak ograniczony wybór mięs. Tylko cztery główne rodzaje, a w tygodniu jest siedem dni, co oznacza, że mniej więcej we czwartek muszę od nowa jeść to, co już jadłem. Może warto się przekonać do psów?

Pojechaliśmy z ciekawości za ciężarówką i trafiliśmy na psią farmę. Wyglądała normalnie, jak każda inna. Podszedłem bliżej i zobaczyłem biegającego luzem owczarka alzackiego. Wolny wybieg, pomyślałem, dopóki się nie okazało, że to prywatny pies kierownika. On nam później pokazał psy przeznaczone na żywność. Były to głównie bernardyny. Kierownik stwierdził, że taki duży pies może wyżywić całą rodzinę. Bernardyny to te z beczułkami rumu na szyi, co ratują ludzi w lawinach. Chińczycy pewnie widzą w nich posiłek z darmowym drinkiem. Potem kierownik wyjął katalog różnych psów, które jedzą ludzie.



Postanowiłem zamienić z nim kilka słów za pośrednictwem tłumaczki.

— Dziwię się, bo pan sam ma psa. Takie duże gniezdzą się w ciasnych klatkach, a on biega sobie swobodnie. Nie podejrzewałbym, że jest pan miłośnikiem psów.

— Mój to co innego. Jest specjalnie wytresowany do pilnowania bramy — przekazała mi tłumaczka.

— Aha. A interes się kręci? Dużo ludzi jada psy?

— Mam wielu różnych klientów. Kupują i duże, i małe psy, bo ja mam wszystkie, jakie pan chce.

— A pana pies jak się wabi?

— Puszek.

— I jego by pan nie sprzedał?

— Już go wytresowałem, więc nie.

— To jak to się odbywa? Powiedzmy, że chcę kupić któregoś z tych psów, po prostu go sobie zabieram, czy wy go dla mnie zabijacie i oprawiacie?

— My je tylko hodujemy, nie zabijamy — powiedziała tłumaczka. — To klient załatwia we własnym zakresie.

Spytałem, czy lubi psie mięso.

— W Chinach jadamy je od wieków.

— Ale smakuje panu? Ja próbowałem i myślałem, że to wołowina. Nie umiałbym rozróżnić.

— Psie mięso jest zupełnie inne w smaku niż wołowina. Mieszka u nas sporo Koreańczyków z Północy. Oni je uwielbiają.

Zapytałem, czy to jedzenie biedaków.

— Jedzą wszyscy, i biedni, i bogaci. Ale gdyby mój Puszek zdechł, nie mógłbym go zjeść.

— No i tego właśnie nie rozumiem. Jeśli to pański pies, przynajmniej wie pan, skąd pochodzi, jak żył. Chyba łatwiej by mi było zjeść własnego psa niż takiego, o którym nic nie wiem. A co z kotami? Czy Chińczycy jedzą też koty?

— Raczej trzymamy je jako zwierzęta domowe. Nie przypominam sobie nikogo, kto jadłby kocie mięso.

— Dziwne. Dla mnie to to samo. Skoro jadam psy, nie widzę problemu, żeby zjeść kota. Może nawet łatwiej, bo one się tak nie przywiązują.

— Koty są małe i nie mają za wiele mięsa — wyjaśniła tłumaczka. — Ale w prowincji Guangdong jedzą też koty.

Jakżeby inaczej.

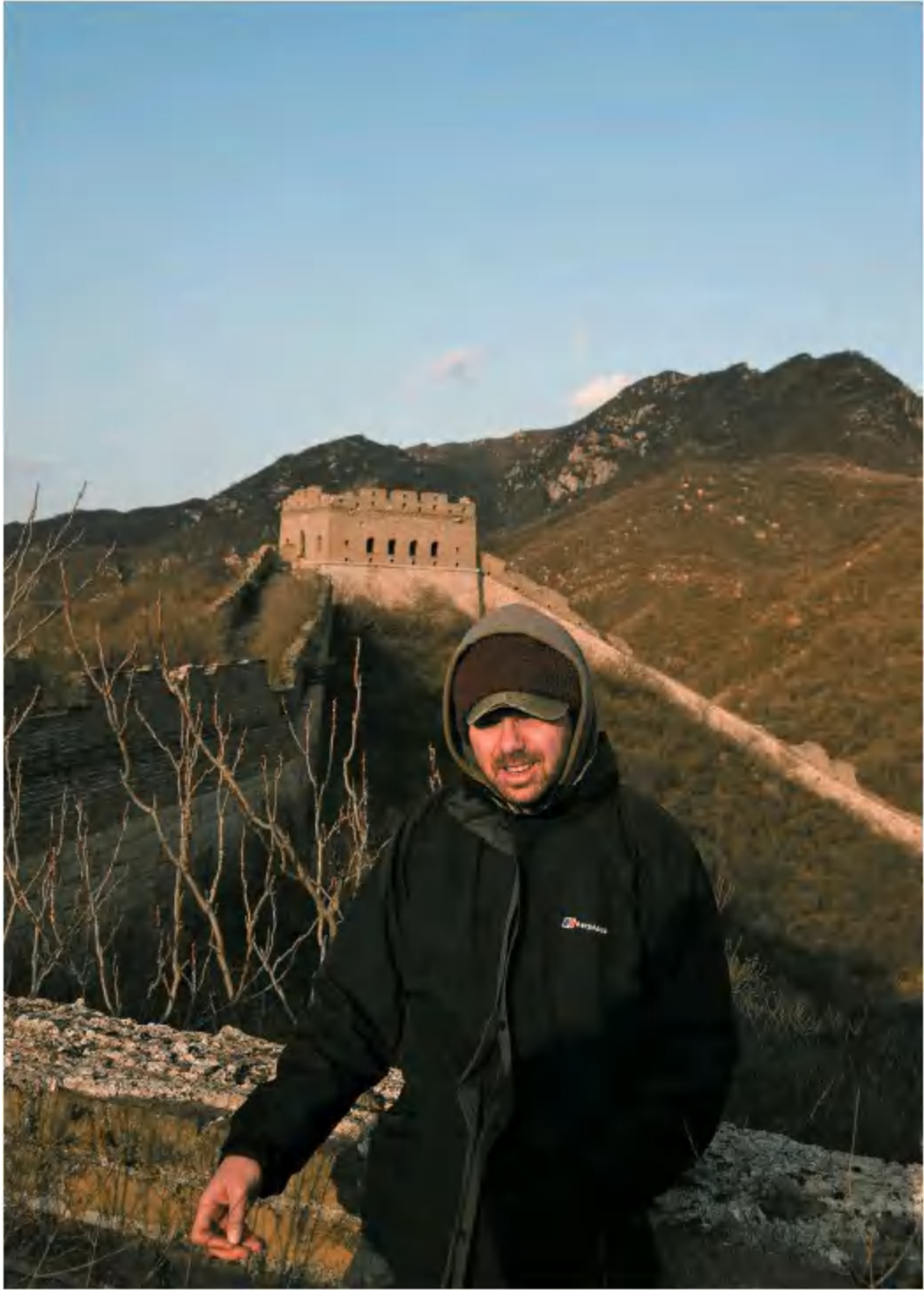


Poniedziałek 3 maja

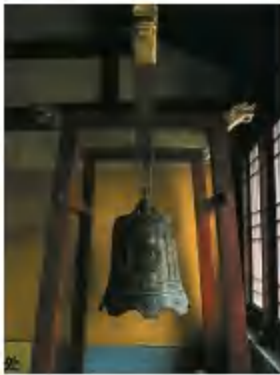
Po powrocie do domu sprawdziłem w Internecie, jak to jest z tymi kwadratowymi głowami u chińskich dzieci. Podobno niektórzy rodzice przywiązują niemowlęciu z tyłu główki książkę, żeby pomóc ją spłaszczyć. To według nich oznaka urody. Poza tym utrudnia im obracanie się na boki w łóżeczku.

Dziwny kraj.










ROZDZIAŁ SZÓSTY

PETRA



„JEDEN Z NAJCENNIJSZYCH OBIEKTÓW
ŚWIATOWEGO DZIEDZICTWA KULTUROWEGO
I PRZYRODNICZEGO LUDZROŚCI”. UNESKO



„CHOĆ FASADA RZECZYWIŚCIE JEST IMPONUJĄCA, TO WCIAŻ TYLKO
JASKINIA. PIERWSZE WRAŻENIE JEST NIEZŁE, ALE KIEDY WSADZIŁEM
GŁOWĘ DO ŚRODKA, TO NAPRAWDĘ ŻADNA REVELACJA. JEŚLI DODAĆ
DO TEGO FAKT, ŻE CAŁOŚĆ LEŻY NA UBOCZU I ŻEBY TO ZOBACZYĆ,
TRZEBA POKONAĆ PONAD OSIEMSET STOPNI, MOGĘ ŚMIAŁO STWIERDZIĆ,
ŻE GDYBYM DOSTAŁ TAKĄ OFERTĘ OD AGENTA NIERUCHOMOŚCI,
RACZEJ BYM JEJ NIE BRAŁ POD UWAGĘ”. KARL PILKINGTON

Sobota 22 maja

Luke i Ben, reżyser i producent odcinka, powiedzieli mi rano, że jedziemy do Jordanii przez Izrael i Palestynę. Nie ucieszyła mnie ta wiadomość. Kiedy wspomniałem o tym ojcu, stwierdził, że lepiej nie mówić nic mamie, bo tylko będzie się martwić. Ilekroć słyszę w telewizji o Izraelu, chodzi o coś złego. Nigdy nie powiedzą, na przykład, że tamtejszy rolnik wyhodował największy melon na świecie. Problemy tego kraju mają podłoże religijne, a mnie religia w ogóle nie interesuje, więc nie rozumiem sytuacji w Izraelu, a ponieważ jest zbyt skomplikowana, żeby ją zgłębić w jeden dzień, raczej sobie daruję. Z tego samego powodu nigdy nie chciało mi się nauczyć grać w szachy. Mój kłopot polega na tym, że ta cała religia jakoś do mnie nie przemawia. Myślę, że większość ludzi angażuje się w nią, żeby mieć co robić w niedzielę, ale odkąd sklepy są czynne, nie jest już tak potrzebna.

Steve stwierdził, że powinienem zahaczyć o Izrael, bo to też miejsce z historią, a będąc w okolicy, wstyd byłoby nie zobaczyć choć niektórych zabytków. Pewnie myśli, że się interesuję historią, bo razem z Rickym niedawno zadzwonili po dwudziestu latach do mojej szkoły i dowiedzieli się, że tylko z tego przedmiotu zdawałem egzamin. To nic, że zdałem go na tróję.

Zaczyna mnie poboлеwać górna ósemka. Dentysta mówił, że tak się może dziać, kiedy człowiek jest zestresowany. Zdaje się, że moje zęby wiedzą o tym wcześniej ode mnie. Może dlatego nazywają się „zębami mądrości”?

W Izraelu znaleźliśmy się bardzo późno. Czynny był tylko całodobowy bar śniadaniowy. Zawsze byłem przeciwny takim przybytkom, bo uważam, że tylko zachęcają ludzi do późnego wstawania. Śniadanie powinno być nagrodą dla tych, którzy muszą wstawać wcześniej. Zamówiłem sobie naleśniki i jajka.

Położyłem się do łóżka dopiero o trzeciej nad ranem. Zrobiłbym to wcześniej,

ale Luke poprosił w imieniu Ricky'go, żebym się ogolił przed jutrzejszymi zdjęciami.



Niedziela 23 maja

Luke i Ben obudzili mnie o siódmej.

Zapytałem, co takiego ważnego dzisiaj robimy, że koniecznie musiałem się ogolić. Odpowiedzieli, że to nie ma nic wspólnego z dzisiejszymi planami, tylko Ricky stwierdził, że moja głowa, kiedy jest ogolona, wydaje się jeszcze bardziej okrągła na ekranie.

Luke zmienił temat, mówiąc, że musi mi udzielić paru wskazówek na temat bezpieczeństwa. Wybrał kiepski moment, bo mój mózg jeszcze do końca się nie obudził. Przypomniało mi się, jak dawno temu, kiedy byłem gówniarzem, przyszedł do nas policjant i ściągnął mnie z łóżka o wpół do czwartej rano. Chodziło o kradzież samochodu i nie wiadomo dlaczego powiązali moją osobę z tą sprawą. Dam sobie rękę uciąć, że policjant specjalnie wybrał tę porę, bo wiedział, że będę zbyt zaspany, żeby ściemniać. I wtedy, i teraz, kiedy Luke rozpoczynał wykład, mój mózg jeszcze spał.

— Izrael i okupowane terytoria palestyńskie to rejon o dużym stopniu zagrożenia dla bezpieczeństwa osobistego. Ciągący się od lat konflikt od czasu do czasu przerywają okresy zawieszenia broni. Nie udało się osiągnąć długoterminowych porozumień, stąd regularnie zdarzają się akcje militarne, w tym naloty i ataki rakietowe, w których można zostać przypadkową ofiarą. Sytuacja jest wciąż niestabilna i nieprzewidywalna, więc tak ogólnie przestrzegam, żebyś miał to na uwadze, kiedy będziesz opuszczał hotel.

Takie rzeczy z trudem wchodzą mi do głowy, kiedy jestem w pełni przytomny, a co dopiero o siódmej rano. Nigdy nie rozumiałem, jak ludzie mogą słuchać rano czwartego programu BBC, to wymaga za dużo skupienia.

Tak czy owak nie miałem wielkiego wyboru, więc wziąłem prysznic i wskoczyłem do samochodu. Luke nie mówił, dokąd jedziemy. Po pewnym czasie zobaczyłem, że wjeżdżamy na teren jakiegoś obozu treningowego. Wsiadłem i poznałem się z niejakim Ronanem. Stoimy sobie, gadamy o moim pobycie w Izraelu, aż tu nagle z piskiem opon podjeżdża auto, ze środka wyskakuje dwóch czy trzech gości (może nawet czterech) i powalają mnie na ziemię. Zarzucili mi worek na głowę i związali z tyłu ręce. Potem wciągnęli mnie do bagażnika, usiedli mi na plecach i jeszcze mocniej zacisnęli plastikowe opaski na nadgarstkach. Czułem, jak wrzynają mi się w skórę. Kiedy auto ruszyło, zacząłem uderzać głową o nadkole, a jeden facet wrzeszczał do mnie w nieznanym języku. W tym momencie znów się odezwał ząb mądrości.

Zawsze mi się wydawało, że dobrze sobie radzę w niebezpiecznych sytuacjach. Kiedyś w Manchesterze jakiś menel w parku próbował mi ukraść buty. Udałem wariata i dał mi spokój. Ale tu, uwięziony w samochodzie w samym środku Izraela, nawet tego nie mogłem zrobić z powodu bariery językowej. Byłem bezsilny.

Wreszcie mnie wyciągnęli i wprowadzili do jakiegoś pomieszczenia. Pchnęli na krzesło i zaczęli się wydzierać, tym razem po angielsku.

— Dla kogo pracujesz? Numer telefonu!

Powiedziałem, że moim szefem jest Richard Yee ze stacji telewizyjnej w Londynie. Numeru jednak nie znałem. Kto dziś pamięta numery telefonów, kiedy wszystko jest w komórce? Ja nawet domowego nie pamiętam, bo nigdy na niego nie dzwonię. Właściwie w domu też z niego nie korzystam. Doszło do tego, że nawet nie podnoszę słuchawki, bo zwykle dzwoni taka jedna baba, która myśli, że to numer jej lekarza. Na sekretarce mam chyba z pięć wiadomości, na których się skarży, że gardło ciągle boli, a wysypka nie chce przejść. Być może tak właśnie zaczynał doktor Shipman[9].

Po jakichś dwudziestu minutach (podobno w rzeczywistości trwało to tylko pięć minut), zdjęli mi worek z głowy. Zobaczyłem w pokoju Luke'a, Bena, naszego kamerzystę Jana i dźwiękowca Freddiego. Ze strachu całkiem

zapomniałem, że kręcimy program telewizyjny.

„Terrorysta” stwierdził, że muszę się jeszcze dużo nauczyć. Powiniennem zawsze mieć ze sobą dokument wyjaśniający, kim jestem i co filmuję, a także numer telefonu mojego przełożonego. Nie miałem przy sobie niczego, nawet kartki z nazwą hotelu, w którym mieszkam.

Potem podał mi komórkę i zapytał, co bym z nią zrobił, gdybym się znalazł w tarapatach. Odparłem, że zadzwoniłbym do dziewczyny, bo tylko jej numer znam na pamięć. Spytał, co bym jej powiedział.

— Nie chciałbym, żeby spanikowała, więc najpierw bym spytał, co u niej, a potem: „Słuchaj, mam problem... porwali mnie”. Ona pewnie na to: „Co ty wygadujesz?”, a ja: „Ciii... bateria mi się kończy”.

— Gdzie jesteś? — „Terrorysta” udawał teraz Suzanne, co brzmiało trochę śmiesznie.

— Nie krzycz, bo mnie usłyszą. Siedzę w krzakach.

— W krzakach? Dlaczego? Gdzie? W jakim kraju?

— Przecież wiesz, gdzie jestem...

— Nie wiem!

— Widzisz? Nigdy mnie nie słuchasz! Gadasz tylko o fryzurach...

— Gdzie jesteś?

— W Izraelu.

— Gdzie jesteś?

— Cicho bądź!

— Jadę tam! Jadę do ciebie!

Spróbowałem innej taktyki.

— Możesz zadzwonić do Richarda?

— Do Richarda?

— Tak, do Richarda!

— Aha. A jaki jest do niego numer?

„Terrorysta” znów mnie miał.

— Macie rację. Jestem do niczego.

Trząsałem się jeszcze przez dobre pół godziny. Normalnie, kiedy dostaję takiej telepki, to znak, że muszę zjeść marsa albo twiksa. Coś słodkiego. Boję się, czy to nie początki cukrzycy. Ale dzisiaj powodem był stres. Choć umysł wiedział, że to tylko sprawdzian, reszta ciała nie.

Dowódca obozu treningowego powiedział, że zawsze powinienem mieć przy sobie dane kontaktowe osób z centrali w Londynie i ustalić z nimi hasło, którym będę mógł ich ostrzec, gdyby się działo coś złego.

Powiedziałem Luke'owi, że tym hasłem niech będzie „strucla z makiem”. Tak mnie jakoś naszło. To było moje ulubione ciasto, kiedy mieszkałem w Manchesterze, później tak dobrych nigdzie nie znalazłem. Oby Luke przekazał wiadomość do Londynu, bo zaczynam to traktować bardzo poważnie.



Wakacje z piekła rodem.



Andy McNob



Wesoły autobus.



Jak tylko wsiadłem z powrotem do vana, odezwała się moja komórka. Nagrał się Steve:



Byłoby fajnie, gdybym dostał tę wiadomość trochę wcześniej.

Po południu pojechaliśmy do Jerozolimy. Na ulicach widzieliśmy pełno młodych żołnierzy uzbrojonych w wielkie karabiny. Scena jakby żywcem wzięta z *Bugsy'ego Malone'a*. Widziałem ludzi we wszelkich możliwych strojach religijnych. Na jednej z ulic natknąłem się na tabun mnichów idących w moim kierunku. Chcę się wycofać, odwracam się, a tu grupa zakonnic. Skręcam więc w prawo, a tam znów maszerują na mnie żołnierze. Poczułem się jak Pac-Man.

Zobaczyłem podobno słynną Ścianę Płaczu. Nie słyszałem o niej wcześniej. To bardzo stary mur, święte miejsce Żydów. Przychodzą tu się modlić. Większa część jest przeznaczona dla mężczyzn, a mniejsza dla kobiet. Ciekawe, czemu nie mogą z niego korzystać na spółkę. Żeby go podzielić, musieli postawić jeszcze jeden mur.

Dużo tych murów tutaj. Dobre miejsce do życia dla murarza. U nas w Anglii mury raczej się likwiduje. Teraz są modne otwarte przestrzenie, czy to w biurach, czy w mieszkaniach. Nic dziwnego, że Banksy, ten graficjarz, woli ostatnio pracować za granicą.

Chwilę obserwowałem modlących się ludzi. Niektórzy czytali ze świętych pism, inni całowali mur, a jeszcze inni wciskali karteczki w jego szczeliny. Poznałem jednego Żyda o imieniu Dov. On mi wyjaśnił, że na tych karteczkach zapisuje się swoje grzechy lub prośby i zostawia w ścianie, żeby Bóg je zobaczył. W każdej najmniejszej szparce tkwił jakiś papier. Wyglądało to tak, jakby pewnego dnia miejscowy listonosz poczuł, że ma dość roboty, i wywalił całą zawartość torby. Założę się, że są tam też ulotki z pizzerii i reklamówki firm ubezpieczeniowych.

Wieczorem zadzwonił Steve.

Kupiłem sobie obwarzanek i się zmyłem.



Żyjesz?

Co wam odbiło, żeby mnie wysłać do Izraela?
Pewnie uważacie, że tu tak pięknie i bezpiecznie.

Coś się stało?

Oni tu noszą karabiny zamiast toreb.
Wszyscy.

No tak, to niespokojny region.
Wiesz przecież, że trwa konflikt.

Spędziłem dziś pół godziny z workiem na głowie.

Po co?

W ramach szkolenia, które sam mi załatwiłeś.

Ach, tak. Szkolenie.

Nawet nie pamiętasz, co? Nie pamiętasz,
że kazałeś gościowi wsadzić mi worek na łeb
i przystawić spluwę.



Przecież pochodzisz z Manchesteru.
Tam to chyba codzienność, nie?

Nie, nie, Steve. Nie ma porównania.

A więc wciągnęli cię do auta
z workiem na głowie. I co potem?

Wykręcili parę kółek na parkingu i wywieźli mnie do jakiejś
chałupy. Tam zaczęli na mnie wrzeszczeć i pytać, dla kogo
pracuję. Dobrze pół minuty byłem przekonany, że to się
dzieje naprawdę.

No i dzięki temu lepiej sobie uświadomiłeś,
w jakim miejscu się znalazłeś. Znowu poszerzyłeś
horyzonty. O czymś myślałeś, siedząc w tym worku?
O Suzanne? O mnie i o Rickym?

Byłem w szoku. Chyba nie zdajesz
sobie sprawy, jak to wyglądało.
O niczym nie myślałem.

Podobno kiedy człowiek czuje,
że za chwilę umrze, całe życie
staje mu przed oczami.
A co ty zobaczyłeś?

Co miałem zobaczyć? Przecież
miałem worek na głowie.



Nie dosłownie, Karl. To nie jest tak, że nagle tańczą ci przed nosem postacie z twojego życia. „O, ciocia Mord. Ostatnio widziałem ją w siedemdziesiątym trzecim”. To się dzieje w umyśle. A skoro jesteśmy przy sprawach ostatecznych, jutro spotkasz się z człowiekiem, który uważa się za Chrystusa. Znalazłeś się w bardzo uduchowionym środowisku.

I po co mi to? Uważasz, że coś na tym zyskam?

Jest takie schorzenie psychiczne zwane syndromem jerozolimskim. Ludzie, którzy odwiedzają to jedno z najświętszych miejsc na Ziemi, często doznają tak intensywnych przeżyć religijnych, że zaczynają wierzyć we własną duchową moc albo się utożsamiają z postaciami biblijnymi. To może być interesujące spróbować zrozumieć, jak takie rzeczy wpływają na człowieka. Doświadczasz teraz ekstremalnych przeżyć. Dzisiaj myślałeś, że cię porwali i już po tobie. Jutro poznasz kogoś, kto przesuwa granice świadomości. Zawsze się słyszało o drugim nadejściu Mesjasza. Skąd mamy pewność, że to nie on?

Masz jakieś pytania do Jezusa?

Czy mam pytania do Jezusa?

Tak. O co byś go zapytał na moim miejscu?
Nie chciałbym go zdenerwować.

To chyba niemożliwe. A jeśli nawet, myślę, że by ci wybaczył.

Racja.



Podejrzewam, że niewiele rzeczy mogłoby go zdenerwować.

Co znaczy to środkowe „H”? Ludzie często mówią „Jesus H. Christ”. Jak mu było na drugie?

Obawiam się, że to nie należy do oficjalnej mitologii. Chyba pojawiło się później. Ale właśnie o to możesz go spytać. Zrób to koniecznie, może się dowiemy.

W takim razie powodzenia. Mam nadzieję, że jutro będzie bardzo pouczający dzień.

No dobra.

Może być ciekawie. Ale ten gość to jakiś psychol?

Ktoś, kto wierzy, że jest Chrystusem, nie może być niebezpieczny, prawda? Powinien być człowiekiem łagodnym.

A ten syndrom, o którym mówisz, oznacza, że on nie może się z dnia na dzień zmienić? Cały czas będzie Jezusem, tak? Nie ma ryzyka, że zjawi się jutro i powie: „Cześć, dzisiaj jestem Joem Pasqualem**”?

**Brytyjski komik (przyp. tłum.).

Nie bój się. Nie stwierdzi, obudzisz się rano: „Dziś jestem Simonem Cowellem**”.

**Słynny producent muzyczny i telewizyjny, łowca talentów, juror w programach „Idol”, „X Factor” itp. (przyp. tłum.).

Wolałem się upewnić.



Poniedziałek 24 maja

Byłem ciekaw, czy przyśnią mi się koszmary po porwaniu, ale całą noc przespałem spokojnie.

Przy śniadaniu Luke powiedział, że spotkam się dzisiaj z Jezusem na targu. Zabrzmiało to idiotycznie, ale w sumie Jezus też chyba od czasu do czasu musi robić zakupy.

Kiedy już byliśmy na miejscu, zacząłem pytać przechodniów, czy nie widzieli Jezusa, i spotkałem się z mieszanymi reakcjami. Niektórzy wskazywali miejsce, gdzie zwykle się pojawia, inni twierdzili, że tracę czas, bo to świr. Mijało mnie całkiem sporo brodatych facetów z długimi włosami, ale kiedy się mieszka w pobliżu miejsca, gdzie żył Jezus, pewnie chce się do niego upodobnić, tak jak nastolatki naśladowujące swoich idoli.

Zaczepiłem jeszcze parę osób, aż wreszcie jeden młody chłopak powiedział, że też na niego czeka. Spytałem, czy jest umówiony, a on na to, że spotyka się z nim codziennie. Właśnie pytałem, jak mam się zwracać do Jezusa, kiedy na chodnik zajechał na motorze brodaty mężczyzna z długimi włosami i w szacie do ziemi. Motor był okryty kocami. Chłopak powiedział, że to właśnie jest Jezus, a koce mają upodobnić motocykl do osiołka.

Jezus zaparkował, zszedł z motoru, rozłożył na ziemi matę i usiadł. Stopniowo zaczęli się wokół niego gromadzić ludzie. Było może ze czterdzieści osób. W pewnej chwili między Jezusem a jakąś kobietą wywiązała się kłótnia. Z tego, co udało mi się zrozumieć, chodziło o holocaust. Przepchałem się do przodu i powiedziałem, że przysyła mnie Steve.

- Cześć, jestem Karl. Jak się masz? Miałem się z tobą spotkać. Mogę usiąść?
- Jesteś bardzo odważnym człowiekiem — odpowiedział Jezus.
- Dlaczego odważnym?

— Bo usiadłeś koło mnie naprzeciwko tłumowi. Oni nie lubią proroków.

— Czemu?

— Ponieważ mówię im nieprzyjemne rzeczy i z tego powodu mnie nienawidzą. Nie lubią mnie i koniec.

— A nie masz im do przekazania lepszych wiadomości niż: „Nadchodzi holocaust”?



— Ale powiedziałem, że mogą temu zapobiec. Muszą odmienić swoją duszę.

— I to im się nie podoba?

— Nie podoba.

W tym momencie zaczął coś wykrzykiwać w różnych językach, co wyraźnie oburzyło kilka osób. Musiałem podnieść głos, żeby kontynuować rozmowę.

— Miewasz takie dni, kiedy myślisz: „Dłużej nie dam rady tego ciągnąć”?

— Co? — Nie dosłyszał.

Powtórzyłem, tym razem głośniej.

— Ci ludzie wrzeszczący na ciebie cały dzień... Ja na twoim miejscu chyba bym się poddał.

— Nie mam wyjścia.

Ludzie dalej wykrzykiwali coś po hebrajsku. Jezus siedział i słuchał, paląc marlboro.

Jakiś turysta zawołał:

— Mesjaszu, mam kłopoty ze zdrowiem. Pozwól mi dotknąć twojej piersi i ulecz mnie.

— Zostaw mnie w spokoju, obłąkany Francuzie — odparł Jezus.

— Mogę dotknąć twej piersi, Mesjaszu?

— Niczego nie będziesz dotykał!

Zmyłem się stamtąd, bo stwierdziłem, że nie ma szans na spokojną rozmowę w cztery oczy. Gdyby prawdziwy Jezus wciąż żył, pewnie tak samo by to wyglądało. Ludzie albo by go atakowali, albo zadręczali prośbami. Mimo że teraz żyje im się lepiej niż w czasach biblijnych, częściej niż kiedykolwiek szukają pomocy i wsparcia. Nawet na butelce ketchupu zobaczyłem niedawno numer telefonicznej pomocy dla klientów. Zadzwoiłem z ciekawości, czy ktokolwiek odbierze. Odebrał, ale odłożyłem słuchawkę, bo akurat żadna pomoc

nie była mi potrzebna.

Stałem w cieniu, z dala od słońca. Nagle podszedł do mnie jakiś gość, który widział, jak filmowaliśmy. Poprosił, żeby z nim pójść. Zaprowadził mnie na parking, gdzie stał kolorowy bus z wielkim głośnikiem na dachu. Z głośnika leciała głośna rytmiczna muzyka. Ten gość i jego czterech kumpli zaczęli tańczyć. Poprosili, żebym do nich dołączył. No to zatańczyłem kilka kawałków, ale potem powiedziałem, że muszę wracać do hotelu. Zaproponowali, że mnie podrzucą.

Po drodze wyjaśnili, że należą do wspólnoty chasydów braclawskich i wierzą, że poprzez taniec można uszczęśliwiać ludzi. Kiwnąłem grzecznie głową: „Aha”. Nie chciałem się wdawać w dyskusję, tylko wreszcie dotrzeć do hotelu. W pewnej chwili zatrzymaliśmy się na czerwonym świetle. Chasydzi wyskoczyli na ulicę i znowu zaczęli tańczyć. Kierowcy wkoło gapili się zdziwieni, ale z uśmiechem.

Pochwalili mi się, że codziennie w ten sposób rozweselają setki ludzi stojących w korkach. Powiedziałem, że to chyba oni te korki powodują. W tym momencie światło zmieniło się na zielone. Kierowcy już nie wyglądali na takich zadowolonych. Zaczęli trąbić i nas popędzać. Pięćset metrów dalej na kolejnych światłach sytuacja się powtórzyła. Cała zgraja wysiadła i płaśała na ulicy oraz na dachu samochodu niczym dzieciaki z filmu *Sława*.

— Czasem zabieram ze sobą dzieci. Uwielbiają to — powiedział jeden z nich.

— A nie spóźniają się przez to do szkoły, kiedy co chwila wołasz: „Czerwone! Wsiadka!”? „Ale tato... mam angielski!”

— Nie, nie. Nic im nie będzie — zapewnił.

Na rondzie niedaleko mojego hotelu znowu zatrzymali auto, żeby zatańczyć. Tym razem trwało to dłużej i muzyka była głośniejsza. Tak głośna, że nie usłyszeliśmy syreny policyjnej. Zobaczyliśmy radiowóz, dopiero kiedy stanął obok nas. Policjant wysiadł i powiedział, że nie możemy filmować w tak ruchliwym miejscu, bo to rozprasza kierowców. Fakt, że stał tam duży bus z bandą szajbusów tańczących na dachu, najwyraźniej nie stanowił problemu.

Zostawiłem ferajnę i wróciłem do hotelu.

Wtorek 25 maja

Pojechaliśmy dzisiaj pod kolejny mur. Jest potężny, ciągnie się po horyzont i odgradza Izrael od Palestyny. Przygnębiający widok: wielkie betonowe płyty, a na górze drut kolczasty. Musiałem przejść kontrolę graniczną i pokazać paszport.

Po drugiej stronie spotkałem się z Kaisem, Palestyńczykiem, który mnie zabrał do Betlejem. Zaprowadził mnie do jakiegoś kościoła, żeby pokazać miejsce, gdzie podobno urodził się Jezus.

Kais wziął ze sobą fujarkę, bo mówi się, że małego Jezuska przyszli powitać pasterze z fujarkami, ale strażnik zabronił nam grać. Całe szczęście, bo to najbardziej irytujący instrument na świecie.

Żeby zobaczyć to szczególne miejsce, musieliśmy poczekać w kolejce. Ludzie wchodzący przed nami płakali. Niektórzy kładli różańce i krzyżyki, a jeden gość położył tam swoją komórkę. Liczył, że mu się bateria naładuje? Ciekawe, skąd oni wiedzą, że to na pewno tam Jezus przyszedł na świat. Moja mama nie pamięta nawet numeru łóżka w szpitalu, gdzie mnie rodziła, a przecież była na miejscu. Mam wątpliwości. Trochę też inaczej to sobie wyobrażałem. Myślałem, że zobaczę słomiany szałas i kołyskę, a to wyglądało jak kominek.

Nie jestem religijny, więc nic szczególnego nie poczułem, ale teraz, kiedy dostanę na święta kartkę z szopką, przynajmniej będę mógł powiedzieć, że tam byłem. Podczas powrotu do granicy zobaczyłem na murze graffiti Banksy'ego[10]. Czułem, że jemu by się tu spodobało.



Środa 26 maja

Dziś wreszcie wyruszyliśmy do Jordanii. To była długa podróż. Jechaliśmy godzinami przez pustkowia i w końcu dotarliśmy nad brzeg Morza Martwego. Czytałem o nim w przewodniku. Ma tak słoną wodę, że widać było na zdjęciu, jak facet się unosi na powierzchni i czyta gazetę. Spytałem Luke'a, czy możemy się zatrzymać, bo chętnie bym spróbował. Zgodził się. Chyba wciąż gryzło go sumienie za ten numer z porwaniem.

Z tablicy informacyjnej wyczytałem, że Morze Martwe znajduje się w najniższym położonym punkcie na ziemi. Nie czułem żadnej różnicy, słońce też nie wydawało się bardziej odległe. Ben, asystent Luke'a, wspomniał coś o tym, że tutaj nie trzeba się smarować filtrem, bo promienie ultrafioletowe nie sięgają. Po namyśle jednak dochodzę do wniosku, że Ben odpowiada za pilnowanie budżetu, więc nie zdziwiłbym się, gdyby w ten sposób próbował zaoszczędzić na kremach do opalania dla całej ekipy.





Morze Martwe jest strasznie zamulone i wcale nie wygląda jak morze. Bardziej jak jezioro. Ale i tak miałem zamiar się z w nim wykąpać, bo mam na nodze lekką egzemę, a podobno błoto i sól dobrze robią na skórę. Hipopotamy ciągle się tarzają w błocie, a czy ktoś widział hipopotama z egzemą? Coś w tym musi być.

Wszedłem do wody i zaraz zacząłem się zapadać w ciemnozielonym muł. Od soli piekły mnie wszystkie rany i otarcia, których się nabawiłem w czasie „porwania”. Tak samo jest, kiedy wkładasz rękę do torebki z chipsami octowymi — dopiero wtedy czujesz, że zaciąłeś się papierem. Byłem najmłodszą osobą w promieniu kilometra. Wszyscy inni wyglądali co najmniej na siedemdziesiątkę. Może dlatego to morze nazywa się „martwe” — wszyscy kuracjusze stoją nad grobem. Z drugiej strony ci ludzie byli pewnie na urlopie, więc poza kąpielami nie mieli nic do roboty. Może więc wcale nie byli starzy, tylko pomarszczeni od długiego moczenia się w wodzie.

Położyłem się na plecach i zacząłem unosić na powierzchni. Świetna sprawa. Było bardzo przyjemnie, dopóki Luke nie powiedział, że mam coś w pępku. Najpierw myślałem, że to pet, ale chcąc go strząsnąć, przyjrzałem się bliżej. To była flegma. Rozejrzałem się i zauważyłem, że dużo ludzi wyciera nosy i kaszle, zwłaszcza po przypadkowym napiciu się słonej wody. Zacząłem się zastanawiać, czy ciemnozielony muł to rzeczywiście muł, czy gluty.

Kiedy tak sobie dryfowałem, zadzwonił Ricky:



Co słychać?

Właśnie jestem w Morzu Martwym.

Pływasz?

Tak, z czyjąś flegmą w pępku.

Co?

Właśnie znalazłem trochę na sobie.

O fuj!

Pełno tu starych ludzi, którzy pluja do wody. Właśnie znalazłem trochę w pępku.

Ohyda!

Może dlatego nie tonę. Dziewięćdziesiąt procent tej wody to glutę, czy co to tam jest.

Miałem mówić, żebyś spróbował, czy bardzo słona, ale cofam to. Co poza tym?

Same stresy.



Czemu? Z tego, co słyszę, masz się nieźle. Moczysz tyłek w morzu.

Dopiero dzisiaj mogłem trochę odsapnąć.

Hm, to właściwie takie spa, tylko z flegmą.
Nowatorska kuracja: „Wybiera pan aromaterapię czy okłady z flegmy staruszków?”
„Dziękuję, wezmę aromaterapię”.

Podobała ci się jazda na wielbłądzie w Egipcie?

Wiesz, że nie.

Niewygodnie?

No pewnie, przecież to najgorsze zwierzę do jazdy wierzchem. Ma garb.

Cóż, będziesz musiał dać mu jeszcze jedną szansę. Wiesz, trzeba się przyzwyczać...

Jedna krótka przejażdżka może być.

Krótką, mówisz. Ale mnie się wydaje, że do Petry są jakieś dwa dni drogi.

Dwa dni?



Tak. Relaksuj się więc w tym ciepłym, słonym, zaflegmionym morzu, bo za kilka dni tyłek ci będzie odpadał z bólu.

Co? Całą drogę będę jechał na wielbłądzie?

Czemu nie? Bez sensu się przesiadać.

Ale dlaczego?

Wielbłądem dojedziesz prosto do celu. To dużo lepsze, niż wsiadać po kolei w pociąg, w busa, w autokar i na koniec w helikopter. Jeden wielbłąd na całą drogę wystarczy.

Płacę za tę rozmowę, chociaż to ty dzwonisz, więc nie będę się kłócił, bo to nie ma sensu.

Karl, wyłaź z tego morza, włóż coś na siebie i bierz się do roboty. Nie jesteś na wakacjach.

Pracuję od czterech dni. To się przyda w programie. Pokazuję ludziom, że słona woda powoduje, że nie toniesz. I dobrze robi na skórę.



Zwłaszcza pełna wymiocin, śliny, flegmy i smarków starych ludzi. U Alana Whickera* czy Michaela Palina nigdy takich rzeczy nie widziałem.

*Brytyjski dziennikarz i prezydent programów podróżniczych (przyp. tłum.).

No właśnie. My pokazujemy prawdę.

Nie możesz się skoncentrować na cudach?

To po coś mnie tu wysłał? Kazałeś mi jechać do Izraela! Jedźmy zobaczyć następny cud. Proszę bardzo! Jezu...
A propos, spotkałem się z nim wczoraj.

Serio?

No. Ale nie dało się pogadać. Otaczał go tłum.

Zaraz go zobaczysz, jak cię będzie mijał. Jezu przynajmniej miałby flegmę tylko na podeszwach stóp.

Na razie.



W drodze do Jordanii musiałem znowu przejść kontrolę graniczną. Otworzyli moją walizkę i od razu poczułem się winny, choć nie miałem powodu. Przejrzeli kosmetyczkę i wyjęli całą masę patyczków do uszu. Chyba ich w życiu nie widzieli, bo podawali je sobie ze zdziwionymi minami.

Do hotelu dojechaliśmy na ósmą wieczór, niestety pracownicy nie potrafili znaleźć klucza do mojego pokoju. Dali mi inny pokój, ale w nim drzwi otwierały się tylko w jednej czwartej i nie mogłem wnieść walizki. Wreszcie zrezygnowani zaprowadzili mnie do eleganckiego apartamentu. Otworzyli drzwi i spytali, czy mi pasuje. Odpowiedziałem, że pasowałby, ale stanik i majtki leżące na łóżku nie są w moim guście. Apartament był już zajęty.

W końcu grubo po dziewiątej dostałem pokój. Za oknem wychodzącym na dziedziniec z knajpą jakiś grubas śpiewał *My way*. Piszę to o wpół do jedenastej, a on jeszcze nie przestał.

Przed chwilą spojrzałem w lustro i zobaczyłem, że spaliłem sobie plecy na słońcu, więc Ben pieprzył bzdury o tych promieniach UV.



Czwartek 27 maja

Wcześniej dziś wstałem. Luke prosił, żebym czekał na niego z bagażem przed wejściem, bo jedziemy zwiedzać cud starożytności — Petrę.

Luke przedstawił mnie niejakiemu panu Mohammedowi. Pan Mohammed zaproponował mi miejsce w jednym z dwóch zaparkowanych przed hotelem pikapów. Były stare i zdezelowane, a na pakach siedziały uwiązane wielbłądy. Pan Mohammed postawił moją walizkę tuż obok wielbłądniego tyłka. Powiedział, że będziemy przemierzać pustynię na wielbłądach, ale najpierw musimy do niej dojechać. Zapytałem go, czy rzeczywiście droga zajmie dwa dni. Potwierdził, a

ja z obawą zerkałem na wielbłądy, które wyglądały na leciwe i już zaczynały jęczeć.

Pan Mohammed wsiadł do jednego auta, a ja do drugiego. Za kierownicą siedział młody chłopak. Nagle do środka wpakował się jego ojciec i wcisnął się koło mnie. Wielbłądy miały więcej przestrzeni niż ja! Tata kierowcy był starszawym mężczyzną z wielkim wąsem. Miał na sobie koszulę do ziemi, a na niej marynarkę. Przedstawił się jako Saba. Kiepsko mówił po angielsku. Próbowałem mu trochę opowiedzieć o sobie. Powiedziałem, że mieszkam w Londynie i mam dziewczynę, Suzanne, z którą jestem już szesnaście lat.

W dwie minuty po odjeździe z hotelowego parkingu nasz samochód się zepsuł. Pewnie dlatego wożą ze sobą wielbłądy — awaryjny środek transportu. Młody kierowca otworzył maskę i naprawił usterkę. Z całkowitym spokojem, jakby to była rutynowa czynność.

Godzinę zajęło nam dotarcie na skraj pustyni. Tam pan Mohammed dał mi do przebrania ciuchy, w których wyglądałem jak rasowy pustynny wędrowiec. Zanim się wspiąłem na wielbłąda, nasmarowałem twarz kremem z filtrem. Pan Mohammed spytał, co to jest. Odpowiedziałem, że krem przeciwsłoneczny, a on mi na to, że beduini, chcąc się zabezpieczyć przed słońcem, wcierają w twarz piasek. To była pierwsza z wielu bzdur, jakie miałem od niego usłyszeć. Dużo rzeczy, które mówił po drodze, wydawało mi się podejrzanych. Na przykład to, że niedaleko miejsca, gdzie spędzimy noc, jest sklep, w którym będę mógł kupić twiksy. Czyżby?

Próbowałem poruszać różne tematy, ale nic nie rozumiał. W końcu zaczął śpiewać, więc dałem sobie spokój. Rozglądałem się wkoło. Wszędzie pusto, dosłownie żywej duszy. Przez pięć godzin spotkałem tylko dwa chrząszcze.

Spodziewałem się, że będziemy jechali przez pustynię godzinę, może dwie, a potem Luke powie, że tyle materiału wystarczy nam do programu. Sześć czy siedem godzin później zrozumiałem, że nic z tego. Mniej więcej w ósmej godzinie drogi wielbłąd pana Mohammeda zaczął głośno jęczeć i co chwila przysadał. W końcu całkiem się zbuntował.

Trzeba było przywołać pikapy i znowu załadowano na paki wielbłądy. Saba, człowiek z wielkim wąsem, który siedział obok mnie w drodze na pustynię, nie był zadowolony. Okazało się, że zwierzęta należą do niego, i jest zły, że obciążamy je tak długo. Powiedziałem, że wielbłądy to podobno okręty pustyni. Jeśli tak, nam się trafił „Titanic”.

Musiałem jechać z Sabą w jednym aucie. Nie wiem, czy mnie ignorował, bo się obraził, czy tylko z powodu słabej znajomości angielskiego.



Okazało się też, że będę nocował w namiocie z nim i jego czternaściorgiem dzieci. Nie przejąłem się zbytnio, bo byłem tak wykończony, że mógłbym spać gdziekolwiek. Spytałem pana Mohammeda, o której wszyscy zamierzają się kłaść, ale usłyszałem, że dzisiaj posiedzą dłużej ze względu na gościa, czyli mnie. Powiedziałem, żeby się mną nie przejmowali, tylko szli spać, ale okazało się, że Saba zaplanował jakąś kolację.

Kiedy Saba gotował, reszta rodziny rozsiadła się dookoła i paliła coś, po czym ich oczy robiły się coraz większe. Myślałem, że to narkotyki, ale to był tylko mocny tytoń. Pan Mohammed zasugerował, że jako gość powinienem spróbować, ale podziękowałem. On na to, że tak nie wypada i Saba będzie zły. Próbowałem wytłumaczyć, że nie palę i nie zamierzam teraz zaczynać. Miałem wrażenie, że już zaczęliśmy się zaprzyjaźniać.

Zasiedliśmy do kolacji. Przyniesiono wielki talerz z głową jakiegoś zwierzęcia pośrodku. Do tego był ryż, a całość polano mlecznobiałym sosem. Ta potrawa nazywa się mansaf. Spróbowałem trochę z grzeczności, ale nie powiem, żeby mi smakowała. Wolę, kiedy mięso jest dobrze ugotowane, a to nie było. Wtedy pan Mohammed przekazał, że Saba nalega, aby gość dostał najlepszy kąsek — czyli w tym wypadku oko. Przestraszyłem się z dwóch powodów: po pierwsze, nie miałem najmniejszej ochoty jeść oka, a po drugie, co to za zwierzę, które ma tylko jedno oko?

Pan Mohammed stwierdził, że jeśli nie zjem, Saba się obrazi, ale ja już i tak byłem stracony, odmawiając papierosa, więc co za różnica? Rzuciłem oko kotu, który się plątał w pobliżu.

Przed snem powiedziałem panu Mohammedowi, że rano powinniśmy jak najszybciej wyruszyć, bo Saba chyba mnie nie lubi. On mi wtedy wyjaśnił, że Sabie nie podoba się to, że mężczyzna w moim wieku spotyka się z szesnastolatką. Okazało się, że źle mnie zrozumiał, kiedy mu opowiadałem w samochodzie, że jestem z Suzanne od szesnastu lat.





Piątek 28 maja

Tej nocy nie spałem za dobrze. Miałem wrażenie, że obłazi mnie robactwo, które powychodziło z piasku. Rano wstałem i poszedłem do latryny. Ciągle nie umiem korzystać z tych kuczanych kibli. Nie wiem dlaczego. Byłem już w tylu krajach, a jeszcze tego nie opanowałem. Na śniadanie zjedliśmy kawałek chleba, popiliśmy herbatą i ruszyliśmy w drogę.

Pan Mohammed chciał ruszyć dalej na wielbłądach, które tymczasem zdążyły odpocząć, ale przekonałem go, żebyśmy pojechali samochodem. Mówię „przekonałem”; próbował mnie wsadzić na wielbłąda, ale odmówiłem i tak długo siedziałem w aucie, aż się zgodził.

Wreszcie dotarliśmy do Petry. Jesteśmy u celu. Upragniony koniec wyprawy.

Tak przynajmniej myślałem.

Nie zdążyłem się dobrze rozejrzeć, kiedy zadzwonił Ricky. Powiedział, że dzisiaj będę nocował w jaskini. Zapytałem, po co, a on na to: „Żeby było śmiesznie” i się rozłączył.

Zadzwoniłem więc do Steve’a.



Cześć, Karl.

Cześć. Właśnie dzwonił Ricky i powiedział:
„Lubisz nocować w jaskiniach, to dzisiaj
śpisz w jaskini”. O co chodzi?

Przed wyjazdem mówiłeś, że wolałbyś mieszkać
w dziurze z widokiem na pałac niż w pałacu
z widokiem na dziurę. Twierdziłeś, że widok
jest dla ciebie ważniejszy.

Tak, ale...

Więc pomyśleliśmy: skoro Karl
tego chce, niech ma, zwłaszcza
że ostatnio trochę marudził.

Przecież nie mówiłem
dosłownie, że tego chcę...

Po tylu podróżach powinieneś
już wiedzieć, że nie warto
niczego zakładać z góry. Nigdy
nie wiadomo, co możesz zyskać.

Tylko że ja wcale tego nie chciałem. Nawet do głowy mi nie
przyszło, bo to jest przecież jak krok w tył. Jak mam się
rozвивać, skoro chcecie, żebym się cofnął? Kiedy ostatnio
ludzie mieszkali w jaskiniach? Nie znam nikogo, kto pamięta
tamte czasy. Nikt z rodziny nie może powiedzieć: „Moja
prapraprababcia mieszkała kiedyś w jaskini”.



Pozbawiając się współczesnych wygod, do których jesteś przyzwyczajony, możesz się dużo o sobie dowiedzieć. Taki powrót do natury. Fascynujące.

Lubię przyrodę. Bawiłem się z chrząszczami. Tu jest pełno różnych żyłatek, ale...

W jaskini może być dużo robactwa, jeśli to cię interesuje. Jeżeli pasjonują cię chrząszcze i owady, to...

Lubię je obserwować, ale nie z nimi spać. To duża różnica. Naprawdę, Steve, gdybyś mnie teraz zobaczył, pomyślałbyś: „Co ten chłop wyrabia?”. Stoję przebrany w jakieś śmieszne ciuchy, bo gość, który jest moim przewodnikiem, kazał mi je włożyć, że niby są lepsze na upał. Wczoraj prowadził mnie osiem godzin przez pustynię, chociaż miało to trwać dwa dni, ale wielbłądy nawaliły. No i w końcu mówi: „W takim razie pojedziemy autem”. Skoro mamy auto, po jaką cholere wlec się na wielbłądach? Nie jestem pewien, czy on w ogóle zna się na rzeczy, bo jak już dojechaliśmy do celu, jest zbytek i chciałbym zadać mnóstwo pytań, to słyszę: „Okej, teraz muszę cię zostawić”. Naprawdę nie wiem, co ta podróż ma mi dać? Na razie to przypomina obóz przetrwania ze spaniem w namiocie z gromadą dzieci. Gość chyba w końcu mnie nie polubił, bo nie chciałem wziąć od niego fajki.



Ojej, znowu obrażasz tubylców,
nie szanując ich zwyczajów.

Ale grzecznie podziękowałem.
Byłem wyjątkowo uprzejmy.

To pomyśl, jak by się czuł, gdybyś
odmówił noclegu w jego jaskini.

Nie wiem. Jaskiniowcy chyba
nie są aż tacy wrażliwi.

To, że ktoś mieszka w jaskini,
nie znaczy, że jest prymitywem.

To jak go nazwać? Facet, mieszka
w jaskini, więc jaskiniowiec, nie? Dobra,
zrobię to, bo nie mam innego wyjścia,
ale naprawdę myślałem, że to już koniec.

Zuch chłopak.

Dam znać, co i jak. Cześć.





Patrzcie, co Saba dostał
w promocji za punkty.



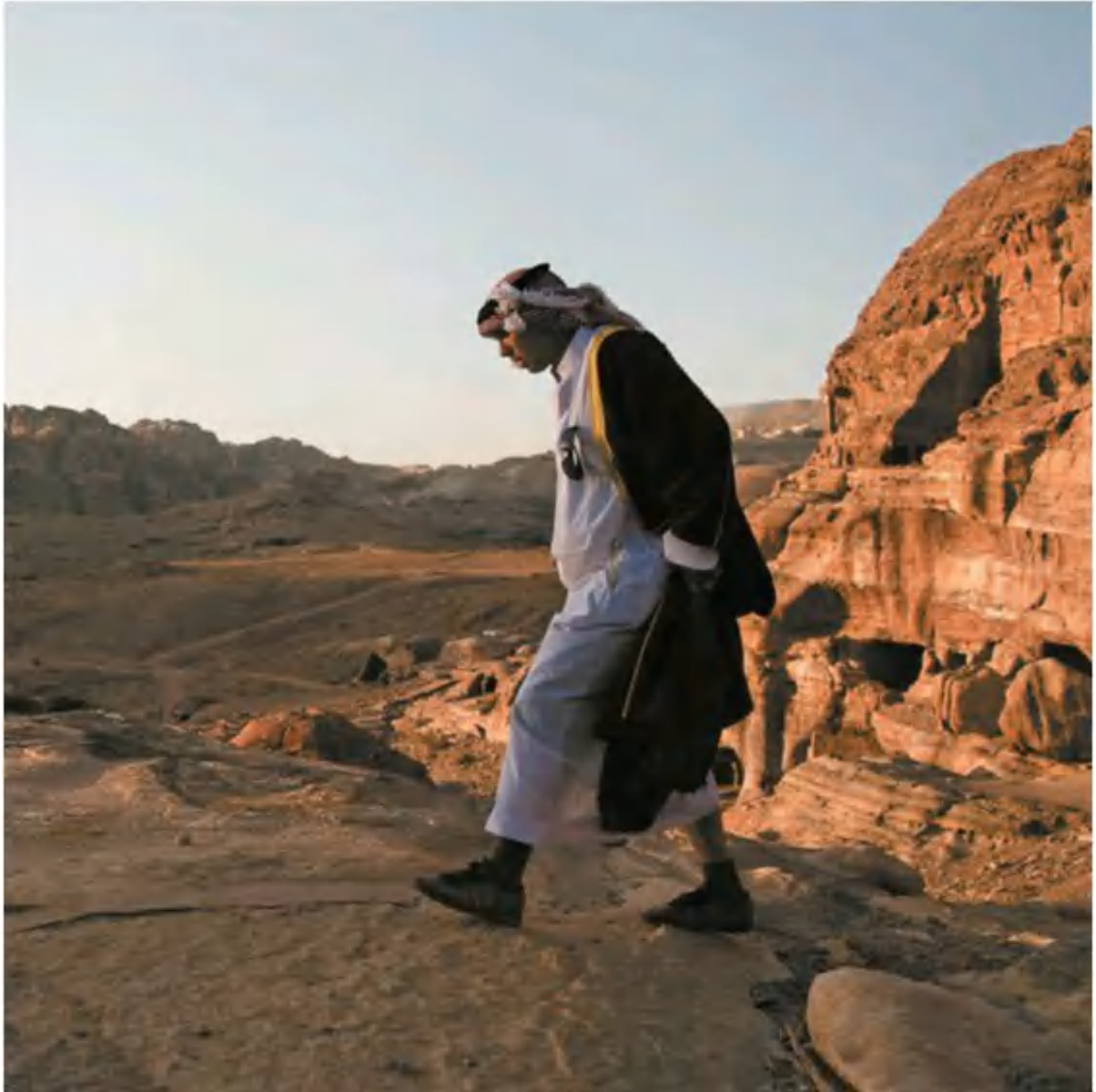
Pan Mohammed



Dekoracja.

Z Ibrahimem spotkałem się w kawiarni. Z twarzy i fryzury wyglądał całkiem jak jaskiniowiec. Jedyne, co zaburzało ten wizerunek, to żel we włosach a la „mokry Włoch”. Chyba że to nie był żel, tylko w jego jaskini panuje duża wilgoć. Ale w ogóle to sympatyczny gość. Oprowadził mnie po jaskiniach. Było ich mnóstwo, zupełnie jak we *Flintstonach*.

Wiele stoi teraz pustych, odkąd władze w latach osiemdziesiątych kazały się wynieść mieszkańcom, żeby chronić stanowiska archeologiczne. Łatwo sobie wyobrazić, jak wyglądało tutaj życie w dawnych wiekach. Widzę siebie, jak wychodzę rano ze swojej małej dziupli uzbrojony tylko w maczugę i zastanawiam się: „Co dziś będę robił?”. Pewnie spędzałbym czas na obmyślaniu wynalazków, bo wtedy było to o wiele łatwiejsze. Teraz naprawdę trudno wpaść na coś nowego. Ja, na przykład, wymyśliłem przezroczysty toster, dzięki któremu od razu widać, czy tost jest dostatecznie opieczony. Potem pogrzebałem w Internecie i odkryłem, że ktoś już mnie ubiegł. Wymyśliłem też fosforyzujące chusteczki higieniczne po tym, jak kiedyś w nocy, gdy miałem katar, nie mogłem ich znaleźć po ciemku. Sprawdziłem w Internecie i też się okazało, że już istnieją.



Jedyne, co by mi przeszkadzało, gdybym tu mieszkał, to ta „polityka otwartych drzwi”. Głupio tak nie mieć drzwi. Każdy przechodzący znajomy widziałby, że jesteś w domu, i co chwila by wpadał i zawracał głowę. To mogłoby zakłócać pracę wynalazczą. Wymyślasz właśnie coś fajnego, a ktoś co chwila zagląda i wywiązuje się taka oto rozmowa: „Witaj, Albercie. Co słychać?” „Miałem fajny pomysł, ale mi uciekł. Spadaj!”.

Ibrahim zabrał mnie do jaskini, w której się urodził, a później do następnej, gdzie mieszkał jako dziecko. Ta była fajna, duża, z dwiema wydzielonymi izbami. Potem przeszliśmy na drugą stronę do miejsca, gdzie jego rodzina się przeprowadziła, kiedy trochę podrosł i potrzebna była większa przestrzeń. Zachowywał się jak agent nieruchomości: „Tu jadalnia, tam kuchnia, ten kąt służył do wypoczynku”. Wszystko było normalnie do czasu, aż pokazał mi grobowiec w salonie. Gdyby był prawdziwym agentem, na jego miejscu zataiłbym tę informację.

W końcu doszliśmy do jaskini, w której mieszka teraz. W środku skromnie, ale schludnie. Spodziewałem się zobaczyć mroczną, wilgotną norę pełną ostrych skał, ale wszystko było równe i gładkie. Prawdę mówiąc, jako dzieciak miałem bardziej chropowate ściany we własnym pokoju, bo ojciec przechodził wtedy etap pokrywania wszystkiego „barankiem”. Była taka moda w latach osiemdziesiątych. Co rano się budziłem z obtartym tyłkiem.

CIEKAWOSTKI KARLA



Petrę założyło arabskie koczownicze plemię Nabatejczyków. Od IV wieku p.n.e. była stolicą ich królestwa, a w II wieku n.e. została zdobyta przez Rzymian.

Petra po grecku znaczy „skała”.

Miasto zostało odkryte na nowo w 1812 roku.



W 1989 roku kręcono tu sceny do filmu „Indiana Jones i ostatnia krucjata”.



Ibrahim upiekł na ognisku kurczaka na kolację. To był chyba najsmaczniejszy kurczak, jakiego kiedykolwiek jadłem.

Myślę, że całkiem odpowiadałoby mi życie w jaskini. Mój umysł bardziej pasuje do tamtych czasów, bo w dzisiejszych za wieloma rzeczami nie nadąża.

Chyba za późno się urodziłem.

Zasnąłem, obserwując gekony biegające po suficie. Ten „baranek” miał chyba jedną zaletę: szorstka powierzchnia odstraszała jaszczurki.



Sobota 29 maja

Spało mi się świetnie. Tylko raz się zbudziłem, kiedy do środka wszedł kot. To właśnie ten problem, kiedy nie ma się drzwi wejściowych.

Jak dotąd noc w jaskini była najfajniejszym punktem tej wyprawy. Ibrahim sprawił, że czułem się jak w domu. Pełna swoboda. Suzanne zawsze mi zarzuca, że przy mnie goście nie potrafią się wyluzować, bo ciągle strofuję: „Zdejmij buty” albo „Podłóż podkładkę pod kubek”. Gdy mieszkasz w jaskini, nie musisz się przejmować takimi rzeczami.

Jutro wracamy do domu, więc wykorzystałem ostatni dzień na spacer po Petrze i obejrzenie reszty zabytków. Ibrahim mówił, że warto się potrudzić i zobaczyć klasztor. Niezła wspinaczka — ponad osiemset stopni. Budowla podobna do tej, którą widziałem zaraz po przyjeździe, tylko większa. Ma ozdobną, wyciosaną w skale fasadę, ale miejscami trochę zniszczoną i ukruszoną. Mówią, że ze starości, ale ja się zastanawiam, czy ona w ogóle kiedyś wyglądała jak nowa. Przy rzeźbieniu w skale masz tylko jedno podejście, więc jeśli robotnikom parę razy ręka z dłutem się omsknęła, możliwe, że tak wyglądała od początku.

Ale choć fasada rzeczywiście jest imponująca, to wciąż tylko jaskinia. Pierwsze wrażenie jest niezłe, ale kiedy wsadziłem głowę do środka, to naprawdę żadna rewelacja. Jeśli dodać do tego fakt, że całość leży na uboczu i żeby to zobaczyć, trzeba pokonać ponad osiemset stopni, mogę śmiało stwierdzić, że gdybym dostał taką ofertę od agenta nieruchomości, raczej bym jej nie brał pod uwagę. No i nie było tam tak przytulnie jak u Ibrahima.

Zauważyłem po drugiej stronie małą jaskinię. Poszedłem tam i usiadłem w środku. Dzięki temu utwierdziłem się w przekonaniu o słuszności tego, co mówiłem Ricky'emu i Steve'owi. Dużo fajniej jest mieszkać w dziurze z widokiem na pałac niż w pałacu z widokiem na dziurę. Zresztą ta zasada odnosi się też do ludzi. Myślę, że lepiej być brzydkim niż ładnym, no bo jak często patrzymy na siebie? Załóżmy, że jesteś brzydki i w pracy siedzisz naprzeciwko kogoś ładnego, to które z was ma się lepiej?



Niedziela 30 maja

Dzisiaj wróciliśmy do Anglii. Spotkałem się w stacji z Richardem i spytałem, czy mu przekazali hasło. Nie miał pojęcia, o czym mówię.









ROZDZIAŁ SIÓDMY
MACHU PICCHU



„NIE ZNAM DRUGIEGO MIEJSCA NA ZIEMI, KTÓRE
DORÓWNYWAŁOBY MU BOGACTWEM UROKÓW I SIŁĄ MAGII”
HIRAM BINGHAM (ODKRYWCA MACHU PICCHU)

„SPEKTAKULARNY WIDOK. BRAK MI SŁÓW”
KARL PILKINGTON





Poniedziałek 14 czerwca

Wieki trwało, zanim dotarliśmy na miejsce. Najpierw wylecieliśmy z Heathrow do Madrytu. Samolot był pełen Hiszpanów — wściekłych Hiszpanów, ponieważ mieliśmy opóźnienie. Oni z natury mają żywy temperament, a co dopiero, kiedy się wkurzą. Siedzący koło mnie facet tak wymachiwał rękami, że pilot mógłby spokojnie wyłączyć silniki, a i tak zostalibyśmy w powietrzu.

Na madryckim lotnisku zjedliśmy hamburgery z frytkami, a potem wsiedliśmy do nocnego samolotu do Limy. Nie przepadam za lataniem nocą. Boję się, że pilot nie jest wtedy w najlepszej formie. Wolałbym, żeby kokpity były otwarte, wtedy można by go przynajmniej mieć na oku i sprawdzać, czy mu powieki nie opadają. Mógłbym do niego podejść i zamienić kilka słów, jak w autobusie. No i źle, że kontrolki znajdują się tak blisko. Pilot zdecydowanie powinien mieć przed sobą więcej miejsca, a najlepiej, żeby niektóre umieścić całkiem daleko, wtedy musiałyby co jakiś czas wstawać i dzięki temu by nie zasnął.

W Limie mieliśmy kolejną przesiadkę, tym razem do miasta Iquitos.

Tam przenocowaliśmy w hotelu. Dostałem pokój na ostatnim piętrze. Blaszany dach mocno się nagrzewa, więc było tam strasznie gorąco. Duże okna też przyczyniały się do wzrostu temperatury, a klimatyzator był tak stary, że bardziej chyba grzał niż chłodził. Skończyło się na tym, że spałem na podłodze. Ciepło unosi się do góry, więc to było najchłodniejsze miejsce.



Wtorek 15 czerwca

Obudzili mnie kwadrans przed czwartą rano, bo trzeba było jechać do bazy wojskowej, żeby tam złapać następny samolot. Okazało się, że to jedna z tych

małych maszyn, które startują i lądują na wodzie.

To był w ogóle najmniejszy samolot, jakim dotąd leciałem. Mieścił jakieś dziesięć osób. Również pierwszy raz musiałem opuścić pokład z powodu sytuacji awaryjnej. Dźwiękowiec Freddie zaczął narzekać na gorąco bijące od silników tuż po ich uruchomieniu. Ja tam po nocnych doświadczeniach nic nie czułem, ale Freddie słusznie się niepokoił. Jeden z silników się palił, więc musieliśmy poczekać, aż sześciu ludzi go otworzy i naprawi.



Potem wróciliśmy na pokład. Śmierdziało spalinami, aż mnie głowa rozbolała. Siedziałem za pilotem, który miał na imię George. Spytałem, czy wszystko gra. Pokręcił dłonią na znak, że „tak sobie”. Nie tego gestu oczekiwałem. Piloci w *Top Gun* zawsze z szerokim uśmiechem unosili kciuki do góry. George wyglądał, jakby myślami był gdzie indziej. A przecież jeśli ten samolot spadnie, to ja razem z nim.

Podczas lotu wszyscy zachowywali spokój. Patrzyłem, jak George przełącza guziki, przesuwaj wajchy i zjada zabrane z domu kanapki w folii. Od czasu do czasu już miał pociągnąć którąś dźwignię, ale drugi pilot łapał go za rękę i powstrzymywał. Facet siedzący za nim ciągle coś gryzmolił w notesie. Może obliczał współrzędne lotu, a może po prostu grał w sudoku. Chyba jednak lepiej nie wiedzieć, co wyrabia pilot.

Pod nami ciągnęły się hektary lasów. Właśnie wypatrywałem przez okno jakichś oznak życia, gdy samolot nagle się zniżył i wylądował na rzece. Okazało się, że to Amazonka. Richard, reżyser, uprzedzał, że zamieszkać w dżungli, żeby poznać prawdziwy smak Peru. Przynajmniej będzie odmiana po spalinach.

Wylądowaliśmy sprzęt na długą, wąską łódź. Dostaliśmy dwie takie do dyspozycji. Byliśmy w kompletnej dżungli. Samolot odleciał i zostawił nas samych. Komórka nie miała zasięgu. Richard widział, że mam skwaszoną minę. Powiedział, że powinienem się cieszyć, jestem przecież nad samą Amazonką. A ja po prostu się bałem, co takiego tym razem wymyślili dla mnie Ricky i Steve.

Po drodze odlałem się do rzeki. Dopiero potem Richard mnie ostrzegł, że żyją w niej takie maleńkie rybki, które mogą wypłynąć do góry po strumieniu moczu i dostać mi się do wacka! To na tym polega niezwykłość Amazonki? Że ryby zamiast w niej wolą żyć w moim fiucie?

Richard odtworzył mi ze swojej komórki wiadomość od Steve'a, który powiedział, że jeśli mam się zapuścić w dżunglę, muszę wziąć ze sobą torbę niezbędnik, do której zapakowano wszystko, co konieczne do przeżycia.

Zajrzałem do niej. Najpierw natknąłem się na małą latarkę i gwizdek. Taki raczej zabawkowy. Potem znalazłem apteczkę. Sądząc po zawartości, była już używana. Po aspirynie, Imodium i plastrach zostały tylko opakowania. Oprócz tego torba zawierała spodenki na rower i paczkę prezerwatyw o różnych smakach, nie bardzo wiem po co. Rozumiem, że muszę się chronić przed komarami, wścieklizną i tyfusem, ale prezerwatywy? Zacząłem się zastanawiać, czy Steve przez pomyłkę nie dał mi swojej torby na siłownię, ale wtedy zauważyłem ochraniacze przeciw pijawkom. Wyglądają jak długie skarpety i nasuwa się je na spodnie, żeby robale się nie przyczepiały i nie ssały naszej krwi. Ale moim zdaniem takie wynalazki powodują tylko, że one ewoluują, wzmacniając szczęki i zęby. Tak samo żyrafom wydłużyła się szyja, bo musiały coraz wyżej sięgać po jedzenie. W tych sprawach sami na siebie kręcimy bicz.

Znalazłem też książkę, w której były okropne zdjęcia ludzi ukąszonych albo pożartych przez różne stworzenia mieszkające w dżungli. Nie pokazali, jak te stworzenia wyglądają ani co należy robić, kiedy ugryzą, więc podejrzewam, że książkę włożono tylko po to, żeby mnie nastraszyć. Udało się. Pamiętam, że oglądałem kiedyś w telewizji film o gzach, które składają jaja pod skórą, a potem z tego rozwijają się larwy wielkości żelków i nawet widać, jak się ruszają. Nie mają gdzie tego robić? Jest tyle lepszych miejsc, a one muszą składać jaja akurat na człowieku. Swego czasu słyszałem, że niedźwiedzie muszą sobie wtykać liście w tyłek, żeby im tam mrówki nie włąziły, bo gryzą! Wiem, że na ziemi robi się coraz ciasniej, ale chyba nie aż tak, żeby trzeba było się osiedlać w czyimś tyłku. Nic dziwnego, że Miś Paddington wyjechał z Peru do Londynu. Jeśli już niedźwiedzie się stąd wynoszą, to co ja tu robię?

Richard przedstawił mi gościa o imieniu Matt, który był na drugiej łódce razem z całym naszym sprzętem. Podobno to nasz lekarz. Zacząłem się jeszcze bardziej denerwować. Czasami myślę, że lepiej nie wiedzieć, dokąd jadę i co będę robił, ale kiedy słyszę takie strzępki informacji jak „to nasz osobisty lekarz”, mój umysł zaczyna szaleć i jeszcze bardziej się boję. Zupełnie jakby Richard lubił mnie straszyć. Nigdy nie podrzuci pozytywnych myśli, tylko

stresuje.

Wreszcie przybiliśmy do brzegu. Miejscowy przewodnik o imieniu Wilder, który płynął z nami i zna dżunglę jak własną kieszeń, powiedział, że tu się zatrzymamy, bo zaraz się ściemni, a zanim rozbijemy obóz, trzeba jeszcze oczyścić teren i rozpalić ognisko.



Byłem zmęczony i spocony. Wysiadając z łódki, wpadłem prosto w gliniaste błoto na brzegu. Ono wyssało ze mnie resztki sił, którymi jeszcze dysponowałem. Nigdy, podczas żadnej z wypraw, tak bardzo nie marzyłem o powrocie do domu. Ale nie miałem wyjścia. Musieliśmy się przedrzeć przez dżunglę. Wilder wymachiwał maczetą, torując nam drogę, i cały czas powtarzał, żebym patrzył pod nogi i uważał na węże. Nagle stanął bez ruchu przed jakimś drzewem. Z pnia wystawały długie kolce. Wilder ostrzegł, żeby go nie dotykać. Co ja, do cholery, robię w miejscu, gdzie nawet drzewa nie są bezpieczne?

Kiedy już miałem mówić, że nie mam siły iść dalej, Wilder oznajmił, że dotarliśmy do bazy. Usiadłem odpocząć, a reszta wzięła się za rozbijanie namiotów. Wilder kazał mi sprawdzić, czy nic nie wlazło do bagaży, zanim je wniosę do środka. Obejrzałem je, ale trudno było stwierdzić. Potem przygotowałem sobie posłanie. Za łóżko robiła karimata z supermarketu, a za poduszkę worek ze skarpetkami.

Położyłem się o wpół do ósmej. W moim małym jednoosobowym namiocie pełzało i fruwało już pełno robactwa. Nie pamiętam, żebym kiedyś w życiu tak wcześnie się kładł, ale chciałem już mieć ten dzień za sobą.



Środa 16 czerwca

Tej nocy spałem może z pół godziny. W namiocie było potwornie gorąco, a nie mogłem rozsunąć zamka, bo naszłoby jeszcze więcej robactwa. Tylko raz wpuściłem trochę świeżego powietrza, kiedy musiałem opróżnić plastikową butelkę, do której trzy razy w ciągu nocy sikałem. Zmoczyłem sobie przy tym karimatę, bo w ciemnościach nie widziałem, kiedy butelka jest pełna, zdawałem się tylko na słuch. Suzanne zapakowała mi kilka nawilżanych chusteczek.

Uśmiełem się. Spocony jak mysz i uwalany błotem znad rzeki klęczałem we własnym moczu — a tu chusteczki dla niemowląt.

Pamiętam, że w nocy przeraził mnie odgłos przypominający okrzyk goryla. Nie wiem, czy tu żyją goryle, ale to musiał być jakiś kawał zwierza, skoro wydał z siebie tak ogłuszający dźwięk. Mój namiot stał ostatni w szeregu, więc byłem prawie pewien, że goryla przyciągnie zapach moczu, który wylałem na ziemię blisko wejścia. Leżałem i nasłuchiwałem z bijącym sercem. Niesamowite, że słyszałem własne serce przy całym hałasie, jaki panuje nocą w dżungli. Nie dziwię się, że żyje w niej tyle nocnych stworzeń. Nie mają innego wyjścia, jest tak głośno, że nie da się spać.



Znowu usłyszałem goryle pomruki, tym razem bliżej. Spojrzałem na zegarek, było dopiero dwadzieścia po drugiej. To jedna najdłuższych nocy w moim życiu.

Trzy godziny później wstałem. Z powodu ciasnoty zwykle włożenie ubrania wymagało więcej wysiłku niż normalnie. Nie wyjmowałem świeżych ciuchów, bo nie wiedziałem, ile zostaniemy w tej dżungli, a jeśli nie będzie można zrobić prania, szkoda je brudzić.

Wyszedłem z namiotu, a Matt, nasz lekarz, zawołał mnie do siebie. Znalazł pod plecakiem skorpiona. Przyszedł Wilder i podniósł go przy pomocy maczety i

patyka. Skorpion wyglądał złowieszczo niczym samochód Batmana — płaski, czarny i groźny. Wilder wyrzucił go w krzaki. Myślałem, że na nocleg wybrał miejsce wolne od takich świństw, ale najwyraźniej nie.

Potem zaproponował mi śniadanie w postaci kilku larw, które własnoręcznie złapał. Grzecznie podziękowałem. Następną propozycją była połówka pieczonego szczura. Wolałem fasolkę z puszki.

Po śniadaniu wyjąłem moją małą kamerę i sam poszedłem szukać owadów i robaków. Obserwowałem setki mrówek wędrujących po pniu drzewa. Widziałem czarnego węża, ale za późno włączyłem nagrywanie i mi zwiął. Czasami rzeczy, które nie wyglądają na owady, są nimi, więc często się zdarzało, że filmowałem coś, co brałem za patyczaka, a okazywało się zwykłą gałązką.

Richard był zajęty rozmową z kamerzystą i dźwiękowcem, więc uznałem, że to dobra chwila na wyjęcie przenośnej toalety, którą ze sobą przywiozłem. Toaleta to za dużo powiedziane. To było krzeselko kempingowe — wyciąłem w nim otwór, przez który można wsunąć worek lub reklamówkę. Poszedłem do namiotu i zobaczyłem, że zniknęło. Wściekłem się na Richarda, powiedziałem, że to wcale nie jest śmieszne i ma mi natychmiast powiedzieć, kto je zwędził i gdzie jest. Odparł, że nie wie, o czym mówię. Spytałem Wildera, ale zareagował tak samo. Zacząłem więc zaglądać do wszystkich namiotów po kolei, ale nigdzie go nie znalazłem. Jeszcze raz zapytałem Wildera i powiedziałem, że jeśli reszta ekipy kazała mu to schować, powinien mi powiedzieć, bo zadałem sobie wiele trudu, żeby je kupić, przerobić i przetransportować do dżungli. Zaprowadził mnie w głąb zarośli, gdzie była już wycięta ścieżka i stała przygotowana toaleta z krzeselkiem. Myślałem, że Wilder zrobił to specjalnie dla mnie, ale tuż obok krzeselka zauważyłem małą reklamówkę sklepu Marks & Spencer. A więc ktoś tu był. Przyszło mi na myśl, że to może kawał i w reklamówce jest ziemia, więc wziąłem ją do ręki, żeby sprawdzić. Nie zdążyłem nawet rozwiązać supełka do końca, gdy uderzył mnie smród. Ktoś bezczelnie skorzystał z mojego kibla. Nikt się nie przyznał, ale nos mi podpowiadał, że to któryś z naszych.

Wziąłem nową reklamówkę i kazałem wszystkim się wynieść, żebym mógł osobiście przetestować własny wynalazek. Kiedy usiadłem na krzeselku, materiał się rozdarł i wpadłem do środka. Taszczyłem to dziadostwo dziesięć tysięcy kilometrów, a nie wytrzymało nawet jednego mojego posiedzenia. Miałem dosyć.

Wilder zabrał mnie łodzią na wycieczkę po Amazonce. Chyba wyczuł, że potrzebuję побыć chwilę z dala od obozowiska. Nawet pozwolił mi trochę pokierować. Fajna sprawa. Znowu uświniłem się błotem, kiedy wysiadłem na brzeg się wysikać. Widziałem mnóstwo mrówek-gigantów i kilka różowych delfinów. Wczoraj Wilder wspominał, że w rzece żyją delfiny, ale mu nie wierzyłem. W sumie widziałem chyba z pięć albo sześć. Najbardziej ich widokiem podniecali się Richard i Freddie. Cieszyli się jak dzieci. Delfiny tak działają na ludzi. Niedobrze mi się robi, kiedy słyszę, jak wszyscy w kółko powtarzają, że są takie inteligentne. Nie dodają „jak na ryby”, tylko inteligentne w ogóle. Co najmniej jakby były w stanie naprawić gniazdko albo wygrać teleturniej. Wkurza mnie to, bo Ricky, Steve i inni ciągle nazywają mnie głupkiem i idiotą, a o delfinach mówią, że są inteligentne. Niemożliwe, żeby wszystkie były mądre. Z tych sześciu na pewno dwa lub trzy to głupki.

Kiedy wróciliśmy, Richard powiedział mi, że ma specjalne elektroniczne urządzenie, w którym codziennie naciska się guzik, a ono wysyła do Londynu dane o naszym aktualnym położeniu, żeby wiedzieli, że wszystko z nami w porządku. Szkoda, że nie mogę pogadać z Suzanne, bo ona świetnie potrafi mnie uspokoić, kiedy jestem wkurzony. W ciągu tych szesnastu lat nie było ani jednego dnia, żebym nie zamienił z nią choć kilku słów.



Poszedłem do namiotu. Po drodze mijałem namiot Richarda i zauważyłem, że zostawił przy wejściu telefon satelitarny, który miał służyć tylko w sytuacjach awaryjnych. Jego samego nie było w namiocie, więc postanowiłem spróbować się dodzwonić do Suzanne. Niestety, bez skutku. Nie wiem, czy coś źle robiłem, czy telefon był zepsuty. Chciałem powiedzieć o tym Richardowi, ale wtedy dowiedziałby się, że go używałem.

Zapytałem Matta, czy nie mógłbym dziś w nocy skorzystać z jego hamaka, bo w namiocie jest mi za ciasno. Miał jeszcze jeden wolny, więc mi dał. Pół godziny go montowałem. Dobrze mieć jakieś zajęcie, przynajmniej człowiek się odrywa od złych myśli. To był taki hamak, do którego można się wśliznąć i zasunąć go na suwak. Kołysał się powoli, kojąco. Człowiekowi się wydaje, jakby się znalazł z powrotem w matczym łonie. Wszystko zepsuł komar, który zaczął mi bzyczeć nad głową. Musiał wleźć do środka razem ze mną. Zdrzemnąłem się chwilę, ale stwierdziłem, że nie dam rady przespać w hamaku całej nocy, więc zrezygnowałem.

Później w smętnym nastroju usiadłem przy ognisku i podgrzałem gulasz z paczki, próbując przepłoszyć groźnie wyglądającego pająka.

Przed dziewiątą położyłem się spać. W namiocie zauważyłem następnego pająka, całkiem dużego, ale był zajęty pożeraniem mniejszych muszek i innych owadów, które na pewno by mnie pogryzły, więc postanowiłem go oszczędzić.

Okolo dziesiątej obudził mnie rumor, jakby coś ciężkiego zważyło się na namiot. Nie mam pojęcia, co to było. Potem zachciało mi się iść do kibla. Nie mogłem wyjść na zewnątrz, bo w takich ciemnościach nie widziałbym, czy coś mnie nie obłązi. Skończyło się więc na tym, że zrobiłem, co trzeba do reklamówki. Totalne poniżenie.



Czwartek 17 czerwca

Po przebudzeniu rozejrzałem się za pajakiem, którego widziałem wieczorem. Dziwne, ale nigdzie go nie było. Podobno człowiek w ciągu całego życia zjada podczas snu przeciętnie dziesięć pajaków. Ja już chyba wyrobiłem swoją normę, odkąd tu jestem.

Znowu wybrałem się z kamerą polować na owady. Filmowałem stado mrówek. Postanowiłem się skupić na jednej, żeby prześledzić jej ruchy. Szła sobie spokojnie, nagle napadła na inną, wtedy tamta zaczęła się bronić, więc przyszła jeszcze jedna, żeby je rozdzielić, a za chwilę do walki dołączyła się reszta. W kilka sekund zrobiła się z tego regularna zadyma, a najlepsze, że ta, co zaczęła, gdzieś się zmyła. Przyroda jest niesamowita, ale widać na tym przykładzie, że oprychów znajdziesz w każdej społeczności.

Zaczynam mieć dość paczkowanego zarcia. Ktoś tam w londyńskim biurze nie wiedział, że Spotted Dick to pudding i teraz musimy go jeść jako danie główne.

Zabrałem ze sobą do dżungli trochę ciasteczek imbirowych. Suzanne kupiła też moje ulubione herbatniki Bużki, ale trochę ich mało w paczce, a poza tym stwierdziłem, że głupio będzie patrzeć na te uśmiechnięte, zadowolone z siebie gęby, kiedy sam najprawdopodobniej będę zdołowany. Zdążyłem opróżnić pół paczki ciasteczek, kiedy usłyszałem nagłące wołanie Wildera. Niedaleko mojego namiotu znalazł prawie dwumetrowego boa dusiciela. Dopiero po piętnastu minutach udało mu się go złapać przy pomocy kija. Te węże mają rozciągliwe jamy gębowe, to znaczy, że mogą pożreć rzeczy większe od nich samych. Nigdy nie potrafiłem tego zrozumieć. Widziałem na YouTube takiego, który zjadł hipopotama. Nie mógł się ruszyć, leżał znużony i przeżarty, z tym hipopotamem w brzuchu, którego pewnie będzie trawił z tydzień. Wyglądało to jak hipopotam w śpiworze z wężowej skóry. Próbowałem dać kawałek ciastka temu dusicielowi, którego złapał Wilder, ale nie skusił się. Wilder wyniósł go daleko poza nasz obóz.

Wieczorem rozebrałem się do majtek i dałem obejrzeć naszemu doktorowi Dolittle, czyli Mattowi, żeby ocenił, czy moje ukąszenia są groźne. Nie wyglądał, jakby się zbytnio czymkolwiek przejmował, ale on w ogóle taki jest. Podejrzewam, że traktuje tę wyprawę jak wakacje.





Gramy w „Kto pierwszy odwróci wzrok”.



Gdyby znali sudoku, takie rzeczy by się nie zdarzały.



Leniwiec poruszał się w takim tempie jak na tym zdjęciu.



Siedem do zera dla mnie.

Piątek 18 czerwca

Rano Richard puścił mi wiadomość, którą Steve nagrał jeszcze przed naszym wyjazdem z Anglii. Dowiedziałem się, że mam dziś odwiedzić jakieś plemię mieszkające kawałek dalej w dół rzeki. Podobno kiedyś byli kanibalami. To chyba miało mnie wystraszyć, ale nie wyszło. Wcale mnie aż tak nie dziwi, że kiedyś ludzie zjadali się nawzajem. Spytałem Richarda, czy istnieje choć cień ryzyka, że zechcą zjeść i mnie. Nie wiedział. Myślę, że nie miałbym problemów ze zjedzeniem człowieka, tylko chciałbym wcześniej coś o nim wiedzieć, tak samo, jak chcemy wiedzieć, czy kurczak pochodzi z chowu klatkowego, czy biegał luzem po podwórku.

Może taki ich zwyczaj, gdy ktoś z wioski umiera. „Fajna była babka z tej Molly. Teraz wsadźcie ją do pieca”. A potem, kiedy się piecze — nie wiem, ile to może trwać — wszyscy ją wspominają. „Wspaniała kobieta, nieprawdaż? Miała swoje wady, ale któż ich nie ma...”. Wreszcie wyjmują ją z pieca i wspominają dalej: „Miała niezły tyłek, co?”. „O, tak. Skosztujmy kawałek”. Dla mnie to lepszy sposób na okazanie szacunku zmarłemu niż zakopywanie go w ziemi. Dajesz do zrozumienia, że kochasz go tak bardzo, aż jesteś gotowy go zjeść. Czy można zrobić więcej?

Załadowaliśmy łodzie i wyruszyliśmy w drogę. Po pewnym czasie rzeka nagle się zwężyła, a ja poczułem, że jestem obserwowany. Wtedy zobaczyłem, że przyglądają się nam mężczyźni o pomarańczowych twarzach, ubrani w słomiane spódniczki i uzbrojeni w dzidy. Pomachałem do nich. Nie odmachali. Może nie zauważyli? Pomachałem jeszcze raz. Dalej nic.

Wysiadłem z łódki i znowu wpakowałem się w błoto. Tubylcy nadal nie okazywali żadnych emocji. Wspiąłem się na skarpę i zobaczyłem, że stoi tam chyba cała wioska. Zastanawiałem się, czy wyszli nas powitać, czy podkreślić

liczebną przewagę. Kiedy przedstawiano mi plemienne kobiety, nie wiedziałem, co robić z oczami, ponieważ od pasa w górę nic na sobie nie miały. Stwierdziłem, że przechodząc, będę spuszczał głowę, ale wtedy i tak widziałem piersi starszych kobiet.

Pokazali mi miejsce, gdzie mogę rozbić namiot. Wszystkie dzieci usiadły i mi się przyglądały. Dorośli zajęli się z powrotem swoimi sprawami, poza jedną kobietą, która wyglądała na lekko obłąkaną i krążyła po wsi, wymachując siekierą. To zabawne — obojętne, gdzie mieszkasz, zawsze się znajdzie miejscowy czubek.

Jak tylko rozstawiłem namiot, niebo przykryły chmury i zaczęło lać. Wyjąłem mydło i wziąłem prysznic w deszczu. Widziałem, że tubylcy przypatrują mi się z wnętrza swoich słomianych chat. Tak się teraz zastanawiam, że trochę ryzykowałem. Jeśli to kanibale, moje rozebranie się i umycie ciała mogło im się skojarzyć z przygotowywaniem mięsa do gotowania. Ale fajnie było wreszcie poczuć się czystym.

Kiedy zapadł zmrok, rozpalili ognisko. Jeżeli miałem zostać zjedzony, to właśnie teraz.

Odłożyłem na razie pisanie, bo wolę mieć na nich oko.



Sobota 19 czerwca

Rano na szczęście obudziłem się w łóżku, nie w kotle. Dobrze spałem, tylko w nocy przeżyłem mały prysznic — mój namiot został obsikany przez psa. Podobno miał być wodoodporny, okazało się, że nie jest.

Wybrałem się na przechadzkę po wiosce. Widziałem chłopaka prowadzącego ropuchę na sznurku. Inny dzieciak przyszedł mi pokazać małego leniwca. Co chwila stawiał go na ziemi i zwierzak nawet usiłował pełzać, ale jakie szanse ucieczki ma jedno z najpowolniejszych stworzeń na ziemi?

Potem zobaczyłem, jak grupka tubylców dręczy żabę. Przywiązali ją do czterech palików wbitych w ziemię i patyczkiem drażnili gruczoły na skórze. Wtedy ona zaczynała wydzielać śluz. Zbierali go, a kiedy mieli już dość, zdejmowali żabę. Jeden z tubylców, Eric, kazał go sobie wetrzeć w ranę na skórze. Potem usiadł i czekał. Po jakimś czasie zwymiotował. Mieszkańcy wioski wierzą, że żabia wydzielina pomaga wyrzygać wszystkie słabości i dodaje energii przed polowaniem. Oni używają tego jak my red bulla.

Później kobiety zdjęły ze mnie koszulkę i przebrały w miejscowy strój. Pomalowały mnie w czerwone kropki, żebym wyglądał jak pantera. Przy tej ilości bąbli po komarach nie musiały się fatygować.



Indianie zabrali mnie do lasu i uczyli strzelać z łuku. Próbowałem z piętnaście razy, ale nie udało mi się trafić do celu.

Wróciliśmy do wioski. Odniosłem wrażenie, że mężczyźni stracili do mnie trochę szacunku, kiedy zobaczyli moje łucznicze umiejętności. Potwierdziło się to, kiedy poszli całą grupą na polowanie, nie zabierając mnie ze sobą. Nie żebym się tym przejął, ogólnie nie popieram zabijania.

Nudziłem się, bo nie było nic do roboty. Kobiety siedziały w kółko i plotkowały. Ciekawe, czy nie z tego powodu leniwce stały się takie powolne. Nie ma sensu poruszać się szybko, skoro się żyje w miejscu, gdzie nie istnieje pośpiech.

W końcu zacząłem grać sam ze sobą w „Czwórki”. Robiłem tak w dzieciństwie. Wybieram, który kolor wygra i z zamkniętymi oczami wrzucam po kolei wszystkie żetony. Potem otwieram oczy i sprawdzam, czy dobrze zgadłem. Podszedł do mnie chłopak od leniwca. Próbowałem go nauczyć grać, ale nic nie kumał. Po prostu podobało mu się wrzucanie żetonów do dziurek.

Kiedy sobie poszedł, postanowiłem iść nad rzekę i wyprać ciuchy, bo śmierdziały. Na brzegu paru młodszych mieszkańców wioski łowiło ryby i myło naczynia. Piorąc, przypomniałem sobie, że kiedyś czytałem o plemieniu, które używa tylko trzech pierwszych cyfr. Widać czwórka już nie jest im do niczego potrzebna. Może dlatego tamten chłopak nie potrafił załapać zasad gry.

Kiedy skończyłem, mężczyźni już zdążyli wrócić z polowania i rozpalali na nowo ognisko. Patrzyłem na to z niepokojem. Stos drewna niebezpiecznie się przechylał w jedną stronę, i to w tę, gdzie bawiły się dzieci. Do tego wszyscy mieli na sobie słomiane spódniczki. Jeszcze chwila i coś się stanie. Kiedy myślałem, że już nie może być bardziej niebezpiecznie, zjawił się gość z małym krokodylem na plecach. Zrzucił go na ziemię tuż obok dzieci bawiących się przy ognisku, które płonęło w pobliżu ludzi ubranych w łatwopalne stroje. Brakowało tylko wariatki z siekierą.

Potem mężczyźni odstawili taniec wokół ogniska, a jedna z kobiet pokroiła upieczonego krokodyla. Chcieli mi dać kawałek do spróbowania, ale podziękowałem, bo najadłem się puddingiem na lunch.

Położyłem się spać około wpół do dziesiątej, kiedy ogień całkiem dogasł i nie było ryzyka, że się rozprzestrzeni na mój namiot.



Niedziela 20 czerwca

Rano opuściliśmy wioskę i popłynęliśmy cztery godziny w dół rzeki do miasta Angamos, gdzie mieliśmy przenocować w hostelu. Na miejscu stwierdziliśmy, że lepiej nam będzie w namiotach, bo w pokojach panował straszny syf. W materacach znajdowało się więcej żywych organizmów niż w dżungli, z której właśnie wyjechaliśmy. W końcu wzięliśmy jeden pokój (numer pięć), żeby tam wsadzić sprzęt. Ustaliliśmy też, że wszyscy mogą korzystać z tamtejszej toalety i umywalki.

Zjedliśmy posiłek w miejscowej knajpie. Richard twierdził, że to knajpa, ale mnie się wydaje, że to był po prostu prywatny dom, którego gospodarz chciał na nas trochę zarobić. Wskazywały na to dwie rzeczy: 1) byliśmy jedynymi gośćmi; 2) nasz stół sąsiadował z sypialnią.

Po powrocie od razu poszedłem do kibla w pokoju numer pięć i przeżyłem szok. Christian, nasz producent, źle się poczuł i strasznie tam napaskudził, łącznie ze ścianami. Nawet karaluchy stamtąd uciekały. Po raz pierwszy w życiu wręcz czułem, jak moja twarz krzywi się z obrzydzenia. Uznałem, że już wolę to zrobić na ulicy niż siedzieć tutaj.

Nie mogłem uwierzyć, że jestem w Peru dopiero tydzień. To był chyba najdłuższy tydzień mojego życia. Jeśli kiedyś usłyszę od lekarza, że zostałem mi tylko miesiąc, wrócę i jeszcze raz odbędę tę podróż, będę miał wtedy wrażenie, że pożyłem o wiele dłużej.



Poniedziałek 21 czerwca

Dzisiaj znów musiałem wsiąść do małego samolotu. Wilder zabrał się z nami. On

się bardzo boi latać, bo przeżył już dwie katastrofy. Przed wejściem musiał zażyć dwie tabletki valium. Informacja, że nasz lot ma posłużyć szkoleniu młodego pilota w przewożeniu dużych ładunków, też na pewno mu nie pomogła. Prawdę mówiąc, i ja się zacząłem denerwować.

Po wylądowaniu trafiliśmy do ładnego hotelu w mieście Cuzco, które leży już trochę bliżej Machu Picchu. Ze względu na wysokie położenie geograficzne jest tu o trzydzieści procent mniej tlenu w powietrzu. Musiałem połknąć specjalne tabletki, inaczej mógłbym umrzeć. Przejście kilku kroków było bardzo męczące. Chciałbym zobaczyć, jak sobie tutaj radzi ten leniwiec z wioski. Pewnie wcale by się nie ruszał. Byłby żywą dekoracją.

Zameldowaliśmy się w recepcji. W pokojach stały butle tlenowe, dostępne za opłatą. Zwykle unikam naruszania hotelowych barków, bo wiem, że potem doliczają to do rachunku, ale tu nie miałem wyjścia. Musiałem zerwać plombę i wypróbować aparat, żebym wiedział, jak go użyć, gdybym w nocy obudził się bez tchu. Słyszałem, że Machu Picchu zapiera dech w piersiach, ale nie wiedziałem, że w tym sensie.

Czułem, że moje serce ciężiej pracuje, do tego zaczęło mnie boleć za oczami, co jest kolejnym objawem choroby wysokościowej. Z żołądkiem też nie było najlepiej. Nie wiem, czy to z powodu wysokości, czy dlatego, że ciało się odprężyło, odkąd wyjechaliśmy z wioski kanibali. Miejmy nadzieję, że wszystko minie, zanim przyjdzie mi się wspinać na szczyt.

Po pięciu dniach milczenia zadzwoniłem do Suzanne. Powiedziała, że brakowało jej rozmów ze mną, ale przekonała się, że gdybym umarł, da sobie radę. To miło, że chociaż ona coś wyniosła z moich podróży. Koszt uzyskania tej krótkiej informacji — półtora funta za minutę.

Zadzwoniłem też do Ricky'ego.



Jak tam?

W porządku. Wyjechaliście z dżungli?

Tak, dopiero wczoraj. Teraz jesteśmy w Cuzco.
Tu jest o trzydzieści procent mniej tlenu.

Z powodu wysokości?

Tak. W pokoju stoi butla tlenowa na wypadek,
gdybym miał zawroty głowy albo coś.

A miałeś?

Trochę. Ból głowy za oczami, dreszcze. Poza
tym czuję mrówki w stopach i mózg mi wolniej
pracuje, bo jest niedotleniony.

Jezu, jeśli twój mózg pracuje wolniej, to mamy
problem. Dzięki, że zwróciłeś uwagę, że głowa cię
boli za oczami. Wyobraź sobie, że tam się znajduje
mózg i właśnie tam zwykle nas boli głowa.

Nie zawsze. Mnie czasem
boli za uszami.

Ale wtedy nie powiesz o bólu
głowy, tylko bólu karku.



Ta podróż jest wykańczająca. Samolot, którym lecieliśmy do dżungli, się zapalił. Niezły początek. Musiałem wyskakiwać, bo silnik dymił. Tylko tego brakuje, kiedy się wybierasz na dużą wysokość: stres i nerwy, dodatkowe obciążenie dla serca.

Serce cię boli? Gdzie? Pod żebrami czy za mostkiem?

Teraz po prostu czuję, jak mi szybko bije. Aż w uszach je słyszę. Jakbym bardziej czuł, że żyję.

O, to mamy przelot.

Ale to niedobrze. Lepiej mieć niskie tętno, jak zółwie. Dlatego one tak długo żyją. Nawet teraz, kiedy z tobą rozmawiam, muszę częściej brać oddech. Normalnie nigdy tak nie sapię.

Spokojnie, nie wszystko naraz. Zlokalizowałeś swoją głowę, wiesz, gdzie masz serce, niedługo nie będziesz musiał się koncentrować na oddychaniu. Wielu ludzi robi to odruchowo, wiesz? A skoro czujesz, że żyjesz, to znaczy, że w sumie było warto, nie?



Coś ci powiem: ty na pewno byś tego nie wytrzymał. Ciekawe, co by zrobił Steve. Bardzo chciałbym go zobaczyć na moim miejscu.

Steve nie może się narażać na utratę krwi na rzecz komarów. Pewnie ma anemię, jest blady jak trup. Mówiłem już, że przypomina mi takie jedne małe rybki. Gdybyś zdjął z niego koszulę, pewnie od razu zobaczyłbyś serce. Nie trzeba mierzyć tętna.

On chyba cały czas cierpi na chorobę wysokościową, przy jego wzroście...

[Śmiech].

Co tam jeszcze słychać w kraju? Bo w dżungli byłem pozbawiony łączności i nic nie wiem.

A co chcesz wiedzieć?

Nie wiem, ktoś umarł? Cokolwiek.

Mieliśmy spotkanie z producentami. Nie byli przekonani do tytułu „Siedem cudów świata według Karla Pilkingtona”. Wymyśliłem inny, bardzo im się spodobał i chcą go przepchnąć. Dzwonię, żeby cię uprzedzić. Tytuł brzmi: „Idiota za granicą”.



Nie tak się umawialiśmy. Miało być „Siedem cudów według Karla Pilkingtona”.

Wiem, ale oni ciągle: „Kto to jest ten Karl Pilkington?”.

A kto ma być tym idiotą?

No, ty. Bardzo im się spodobało. Byli zachwyceni.

Jasne, bo ty to wymyśliłeś. Znasz ich, siedzą i kadzą: „Brawo, Ricky, świetny pomysł. Tak zrobimy”. Nie będzie żadnego „Idioty za granicą”, będzie „Siedem cudów świata według Karla Pilkingtona”. Ja tu ledwo wyrabiam, a ty siedzisz sobie na dupie i podrzucasz im jakieś gówniane tytuły. Nie ma mowy, nie zgadzam się. Przecież mówiłem, że ten tytuł to jedyna rzecz, z której jestem zadowolony. Nie chcę, żeby ludzie mnie brali za głupka. Nie będzie żadnego „Idioty za granicą”. Za kilka dni wracam, to sobie zrobimy następne spotkanie. Były ciasteczka, darmowa kawa? Siedzieli sobie zadowoleni na tyłkach i tylko: „Hej, Ricky, masz jeszcze jakieś pomysły? Może kawki?”. Dostyc mam tego towarzystwa. Przez ciebie jeszcze bardziej podskoczył mi puls.

[Śmiech] Na razie.

Dobra, cześć.



Wtorek 22 czerwca

Richard kupił mi trapery, żebym miał w czym wejść na Machu Picchu.

Poznałem człowieka, który udziela duchowych rad wszystkim wybierającym się obejrzeć cud. Pochodzi stąd i mieszka w górach. Też ma na imię Richard. Spotkaliśmy się na środku pola, na wielkim pustkowiu. Posadził mnie na ziemi i odprawił magiczny rytuał. Rozwinął tobołek pełen różnych śmieci. Czego tam nie było: sznurek, kawałki plastiku, nasiona, jakiś proszek, spinacz... zdaje się, że dostrzegłem nawet zużytą zatyczkę do uszu. Mieszał to wszystko, przerzucał, jak jakaś nawiedzona czarownica. Potem natarł tym zawiniątkiem całe moje ciało (właściwie tylko do ramion, bo wyżej nie dosięgał). Później wyjął z pudełka świnkę morską i nią też mnie natarł. Tłumaczył, że wszystkie złe rzeczy, które we mnie siedzą, przeniosą się na świnkę. Biedactwo. Potem wziął do ręki tobołek ze śmieciami i powiedział, że go zakopie w górach. Rany boskie, jeżeli on to robi codziennie, ta góra musi wyglądać jak wysypisko.





Środa 23 czerwca

Wstałem o czwartej rano, żeby rozpocząć wędrówkę na Machu Picchu szlakiem Inków.

Z żołądkiem ciągle było kiepsko, więc na śniadanie zjadłem tylko dwa jajka na twardo. Najpierw mieliśmy się udać pociągiem do podnóża Machu Picchu. Na stacji powiedziano nam, że kamerzysta Michael nie może z nami wsiąść, bo bilet zarezerwowano na nazwisko innego kamerzysty. Richard zaproponował, żebyśmy nie tracili czasu i pojechali sami, a Michael zostanie i odkręci sprawę. Jego obowiązki przejął chwilowo dźwiękowiec Freddie, a Christian, asystent Richarda, został dźwiękowcem. Zrobił się nam z tego dzień praktyk zawodowych. Ja to bym najchętniej pozwolił maszyniście odwalić za mnie robotę.

Freddie zaczął rzucać hasłami, które musiał zasłyszeć przy pracy z innymi kamerzystami: „szeroki plan”, „balans bieli”. Ale nie sądzę, żeby naprawdę wiedział, co robi. Richard chyba myślał podobnie, bo stwierdził, że powinniśmy jednak poczekać na Michaela, chociaż nie mieliśmy pojęcia, ile to potrwa. Telefony nie działały, brak zasięgu. W końcu zjawił się po półtorej godziny.



Szybki postój na toaletę i ruszyliśmy w górę. Mieliśmy ze sobą czterech czy pięciu tragarzy, którzy pomagali taszczyć ciężki sprzęt. Byli objuczeni jak osły, a mimo to trudno było za nimi nadążyć.

Szedłem dopiero pół godziny, a już byłem wykończony. Nie dziwię się, że tu jest trzydzieści procent mniej tlenu. Myślę, że to z powodu tłumów turystów wspinających po tej górze, żeby zobaczyć cud. Im większy wysiłek fizyczny, tym więcej się go zużywa. Założę się, że gdyby zorganizować jakiś wyciąg albo

schody ruchome, sytuacja znacznie by się poprawiła.

Dałem się wyprzedzić ekipie, bo znowu poczułem rewolucję w brzuchu. Musiałem kucnąć za krzakiem i zostawić po sobie pamiątkę.

Mijaliśmy po drodze stare budowle z kamienia, które stawiano bez użycia cementu. Nie wiem, czy tak było w planie, czy dostawca cementu odmówił taszczenia go tak wysoko. Wszystkie były niskie, wyglądały jak zwykłe parterowe domy. To bez sensu, bo cała ich idea polega na tym, żeby nie musieć włązić po schodach, a ci je budowali na szczycie góry.

Dogoniłem tragarzy, którzy zrobili sobie przerwę na jedzenie i odpoczynek. Wpieprzali jakąś zmalretowaną świnę morską nadzianą zielonym pesto. Chyba wiem, co to było: to pewnie ta wczorajsza świnka, która wchłonęła ze mnie całe zło. Kilku tragarzy zamiast jeść grało na fujarkach. Komu, na litość boską, po tylu godzinach marszu przy niedoborze tlenu chce się jeszcze dmuchać w fujarkę?

Richard spytał, czy jestem podekscytowany w związku z tym, że się zbliżamy do Machu Picchu. Powiedziałem, że nie. Byłem zbyt wyczerpany, spocony i brzuch mnie bolał. Widoki, owszem, piękne, byliśmy na szczycie świata, ale czemu ludzie chcieli tu mieszkać, tego kompletnie nie rozumiem. Moi rodzice przenieśli się na emeryturze do Snowdonii w Walii, ale mają już dość tego, że do najbliższego supermarketu muszą dojeżdżać piętnaście minut. Mieszkanie na dużej wysokości jest po prostu niepraktyczne.

Wspinaliśmy się od jakichś ośmiu, dziewięciu godzin. Doszliśmy do miejsca zwanego Bramą Słońca, skąd rozciąga się widok na Machu Picchu. Nie różnił się bardzo od tego, co widziałem wcześniej. Takie same kamienne domy pozbawione dachów. Ciekaw jestem, czy one w ogóle kiedyś były wykończone. Nie sądzę, że upływ czasu je zniszczył. Po prostu budowniczy nie byli w stanie namówić ludzi, żeby tu zamieszkali, więc olali sprawę.



CIEKAWOSTKI KARLA

Machu Picchu tłumaczy się jako „Stara góra”.



Kiedy zostało „odkryte” w 1911 roku, znaleziono mieszkającą tam grupę Indian Keczua. Natrafiono też na kilka mumii kobiet.

Inkowie nie używali żadnej zaprawy do łączenia kamieni. Ociosywali je tak precyzyjnie, że ciasno do siebie przylegały i nie dało się wetknąć między nie nawet noża.



Machu Picchu leży 2430 metrów nad poziomem morza.



W 1954 roku kręcono tu zdjęcia do filmu „Tajemnica Inków” z Charltonem Hestonem w roli głównej. Wtedy pierwszy raz duża hollywoodzka wytwórnia odwiedziła to miejsce.

Byłem bardzo zmęczony i poważnie się obawiałem, że zanim dotrzemy do cudu, całkiem się ściemni. Powiedziałem Richardowi, że moim zdaniem dalsza droga nie ma sensu. On na to, że muszę to zrobić dla dobra widzów. Chyba się bał, że szefostwo stacji będzie wściekłe, jeśli wrócimy bez zdjęć.

Spróbowałem telefonicznie przekonać Steve'a.



Cześć. Jak leci?

W porządku. Gdzie jesteś?

Powiedzmy, że na miejscu.

Powiedzmy czy na miejscu?

Jestem w zasadzie u celu, ale... To długa historia. Wiesz, że byłem w dżungli.

Byłeś w dżungli? Fajnie. Wszystko się udało?

Tak. Mam wrażenie, jakby to było wieki temu. Zrobiłem wszystko, co chcieliście. Nocowałem w dżungli, zaliczyłem wioskę kanibali. Pochorowałem się. A teraz miałem tylko zobaczyć Machu Picchu, a tu się okazuje, że muszę wleźć na wielką górę. Wstałem o czwartej, później był problem z pociągiem. Dopiero co dotarłem po ośmiu godzinach marszu. Teraz siedzę w takim miejscu, że widzę cud, kamera też go widzi. Słońce zachodzi, jeśli spróbujemy tam dojść, zrobi się ciemno i wiele nie zobaczymy. Ale Richard się boi, upiera się, że stacja chce mieć zdjęcia cudu. Przecież go widać. Co byś powiedział, gdybyśmy sfilmowali go stąd? Nakręcimy parę ujęć i spadamy?

Hm. Jak daleko od niego jesteście?



W sensie, ile trzeba by iść?
Mam go w zasięgu wzroku.

Ale jak daleko? Widzisz go dobrze?
Ze wszystkimi szczegółami?

Tak.

Karl, nie jestem pewien, czy mnie to zadowala. Chcę mieć zdjęcia cudów świata w jakości HD. Odpowiadam za to. Załatwił mi z Rickim tę robotę dla Sky1. To duża produkcja. Oni wyłożyli wszystkie swoje pieniądze, dla nich to wóz albo przewóz. Nie mają hitu, 24 godziny właśnie się skończyły. Rozumiesz, o co chodzi? Boję się, że przywieziesz jakies rozmyte zdjęcia z oddali, w kiepskim świetle. Nie mógłbyś się przespać, odpocząć parę godzin, a rano poszlibyście dalej?

Nigdzie nie idę, nie ruszam się stąd. Ty nie wiesz, jak to wygląda. Mówię ci, jeśli tam pójdziemy, ludzie zobaczą tylko parę starych kamieni w ciemności. A stąd widok jest spektakularny. I nie mówię tego tylko po to, żeby...

Mówisz to szczerze?

Całkiem szczerze.



Karl, nigdy nie słyszałem z twoich ust słowa „spektakularny”, dlatego jestem podejrzliwy.

Słońce jakby odbija się od szczytu góry i przenika przez skały. No i widać dużo zieleni. Stąd wygląda to dobrze, ale boję się, że jak podejdziemy bliżej, już nie będzie tak fajnie. To tak jak z ludźmi: widzisz twarz z daleka, myślisz: „Nieźle wygląda”, potem podchodzisz i: „O, kurwa”. Skoro to ostatni odcinek, zakończmy go pięknym dalekim ujęciem zachodzącego słońca. Wyjdzie świetnie, zobaczysz. To zawsze działa. Mówię ci, mnie zatkało.

Powiedz, co dokładnie teraz widzisz? Twoja pierwsza reakcja, tylko szczerze. Nie myśl przez chwilę, jak to wypadnie w telewizji. Powiedz, co myślisz w tym momencie?

W tym momencie to jestem przede wszystkim wkurzony. Wstałem o czwartej, od rana zjadłem tylko dwa jajka. Mam sraczkę. Nie jestem więc w nastroju do podziwiania widoków. Ale myślę o widzach, nie jestem egoistą. Myślę o programie, bo przecież po to to robimy. Sky chce siedmiu cudów świata.

Karl, a co w takiej sytuacji zrobiłby Michael Palin?



Pewnie nagrałby komentarz. Nie siedziałby tutaj na tym etapie produkcji. Nie ma mowy, żeby się wspiął na tę górę. Byłby najazd kamery na ruiny i głos z offu: „Machu Picchu, siedziba Inków. Setki lat temu mieszkali tu...” i tak dalej. To mogę zrobić w Londynie. Jeśli teraz kamerzysta nakręci dość materiału, jak wrócimy, dorobię do tego tekst. Taki, żeby się spodobał widzom.

Wiesz co? Rozwinąłeś się przez te kilka ostatnich tygodni. Może na początku rzeczywiście trochę wymusiłem na tobie tę wyprawę, ale teraz czuję, że zrobisz, co zechcesz. Nie jesteś już tą samą osobą. Nie wiem, czy w ogóle znam jeszcze prawdziwego Karla. Więc jeśli nie masz ochoty tam iść, jeśli uważasz, że widzowie nie zostaną niczego pozbawieni, to ja ci wierzę.

Mmm.

Bo wiem, że byś ich nie zawiódł. Ani mnie i Ricky'ego. I na pewno byś nie kłamał.

Nie.

Ufam ci.

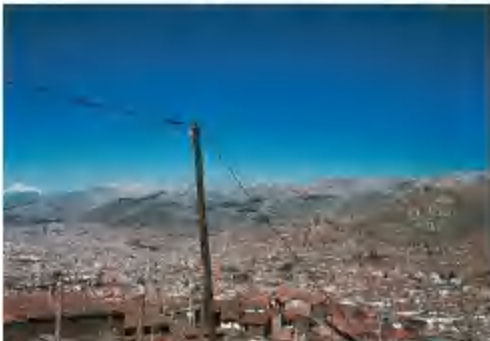
Będzie dobrze, Steve. Trzymaj się. Tylko nie mów nic Ricky'emu. Sam z nim pogadam, jak wrócę.

Dobra.

Na razie.









I diota za granicą

KOŃCOWA ANKIETA

Pytania zadają Ricky Gervais i Stephen Merchant

1. Mówi się, że podróże kształcą. Czujesz, że jesteś mądrzejszy po odwiedzeniu tych wszystkich krajów?

Nie czuję aż takiej różnicy. Przybyło mi w głowie trochę nowych wspomnień, ale to znaczy, że będę musiał usunąć trochę starych, na przykład z dzieciństwa. Wkurza mnie to, bo one były przyjemniejsze.

2. Czy widziałeś coś, czego wolałbyś nie zobaczyć?

Nagie ciała na plaży nudystów w Brazylii. Nie rozumiem tego, przecież Brazylijczycy i tak na co dzień mało co na siebie wkładają. Nudyzm w Anglii jeszcze mogę zrozumieć, bo większość ludzi musi się sztywno ubierać do pracy - koszule, garnitury i tak dalej - dlatego pewnie fajnie móc się od tego uwolnić. Ale w Brazylii biegają na zakupy w stringach i japonkach, więc skąd ta potrzeba łożenia na golasa?



3. Bazując na swoim doświadczeniu, wymień jedną rzecz, którą byś zabrał ze sobą do każdego z tych miejsc, żeby ułatwić sobie życie?

Przenośna toaleta chemiczna.



kibel własnej roboty

4. Kto zwyciężyłby w pojedynku między uczniami chińskiej szkoły kung-fu Shaolin a zapasnikami z Meksyku, El Porkym, Shockerem i resztą?



Szkoła Shaolin, zdecydowanie. Ich instruktor, Leo, powalił mnie na ziemię moym palcem! Moje małe palce nic nie potrafią. Tylko obserwują to, co robią pozostałe.

5. Bycze jaja, ciasto z krwi, popiół, świerszcze, mięso z ością, larwy, ropucha, chipsy... jadłeś dużo dobrych rzeczy podczas podróży. Co najbardziej ci smakowało?

Chipsy wziąłem na wszelki wypadek, gdyby miejscowe zarcie okazało się niejadalne, ale w końcu zjadłem ich tyle, że mi obrzydły. Więc w sumie te podróże nic mi nie dały, za to odebrały coś, co do tej pory lubiłem. Czyli wyszedłem na minus.



6. Gdybyśmy mogli jeden z siedmiu cudów świata przenieść na twoją ulicę i kawałek po kawałku odbudować, który byś wybrał?

Żadnego. Już i tak nie ma gdzie parkować, jeszcze brakuje tłumów turystów.

7. Gdyby Michael Palin wybierał się zwiedzić siedem cudów świata, jakiej rady byś mu udzielił?

Żeby nie jechał w zadne z tych miejsc, które proponowali Ricky i Steve. Niech sobie daruje wszystkie „cuda”. Lepiej jest usiąść i poobserwować, zamiast gonić za konkretnymi atrakcjami. Indie są nieobliczalne. To jest trochę tak jak z odkurzaniem na makro: wydaje ci się, że dywan był czysty, a jak przejeździsz, to się dopiero okazuje, ile tam syfu siedziało. Te cuda właśnie takie są - wydają się normalne, ale kiedy przyjrzyysz się bliżej, dzieje się masa dziwnych rzeczy,



8. Co teraz myślisz o Wielkiej Brytanii?

Jesteśmy bardzo rozrzutni. Ale tak uważałem jeszcze przed wyjazdem. Zamiast naprawiać, wolimy kupić nowe. Kupujemy dwie rzeczy w cenie jednej, choć wcale ich nie potrzebujemy. No i mamy za dużo przepisów dotyczących zdrowia i higieny. Ostatnio upuściłem jedzenie na podłogę i dowiedziałem się o zasadzie trzech sekund: jeśli coś leżało na ziemi dłużej niż trzy sekundy, nie nadaje się do jedzenia. A jednak połowa z tego, co jedzą ludzie w Chinach, wcześniej tygodniami i miesiącami leżała po ziemi. I jakoś im to nie szkodzi.



9. Czy mniej teraz zrzedzisz, kiedy zobaczysz prawdziwą ludzką niedolę?

Ja nie zrzedzę, tylko narzekam. Jest drobna różnica. To naturalne. Wieczne zadowolenie to sztuczny stan. Oszukujemy się, wmawiając sobie, że jesteśmy szczęśliwi. Poza tym narzekanie dobrze robi na mózg. Zmusza go do większego wysiłku.

10. Jaka była pierwsza rzecz, którą robiłeś po powrocie z każdej wyprawy?

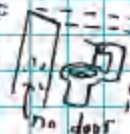
Otwierałem korespondencję. Czyli w zasadzie rachunki, bo tylko to ostatnio przynosi listonosz. Szczerze mówiąc, lubię, kiedy pocztowcy strajkują. Wtedy Suzanne przygotowuje mi coś dobrego na kolację. Zwykle kielbaski, fasolkę i placki ziemniaczane. Chociaż, tak jak w przypadku chipsów, zaczynam mieć powoli dość kielbasek, fasolki i placków ziemniaczanych.

Zabkę na deser?



11. Skąd ta obsesja opisywania wizyt w toaletach?

Chodzenie do kibla to jedna z moich ulubionych czynności. Wtedy mogę pobyć sam. W każdym razie w domu, bo w Chinach to niemożliwe, tam panuje zasada „otwartych drzwi”. Trudno zresztą mówić o drzwiach, bo ich tam wcale nie ma. Wszyscy kucją na widoku. Dziwne, że ludzie na całym świecie korzystają z toalety, a tak różnie do tego podchodzą. W Anglii staramy się to sobie uprzyjemnić, urządzać wygodne łazienki - dywaniki, nakładki na muszle, wieszaczki na papier. W Chinach to czynność grupowa i nie ma tam ani muszli, ani papieru do zawieszenia.



12. Czy spotkałeś się z jakimś zwyczajem, który przeszczepiłbyś na nasz grunt?

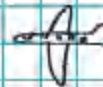
Tak. Chciałbym, żeby ludzie automatycznie zdejmowali buty, wchodząc do czyjegoś domu. Żeby nie musiał przeżywać tych niezręcznych sytuacji, kiedy proszę ich o to, bo przed chwilą odkurzałem.

13. Gdyby twoi nowi znajomi: Mahmud, Carlos, Ashek, Leo i Wilder postanowili cię odwiedzić w Anglii, jaki brytyjski „cud” byś im pokazał?

Chyba wziąłbym ich do muzeum osobliwości na Piccadilly Circus. Nieważne, w jakim języku mówisz, zawsze chętnie obejrzyś faceta z obróconą głową albo kobietę o twarzy konia.

14. Dokąd wybieracie się z Suzanne na wakacje w przyszłym roku?

Suzanne chciałaby wziąć udział w safari, a skoro i tak przed wyjazdem zaszczerpiłem się przeciwko brudnym matkom, równie dobrze mogę to wykorzystać.



PODZIĘKOWANIA DLA:



Jana Pestera (główny operator kamery na wszystkich wyprawach z wyjątkiem

Peru); Richa Hardcastle'a (zdjęcia); Freddiego Clare'a (operator dźwięku i fotograf); Richarda Yee (producent serii/reżyser odcinka o Peru); Krisha Majumdara (reżyser odcinków o Egipcie, Brazylii i Chinach); Christiana Watta (II reżyser); Bena Greena (II reżyser); Luke'a Campbella (reżyser odcinków o Indiach i Jordanii); Jamiego Jaya Johnsona (reżyser odcinka o Meksyku); Barnaby'ego Lankester-Owena (II reżyser); Michaela Timneya (główny operator kamery w Peru); Emmy Riley (kierownik produkcji); Claire Pocock (koordynacja produkcji); Rebekki Wadcock (koordynacja produkcji); Lyndy Featherstone (montaż odcinków o Indiach, Egipcie i Chinach); Gwyn Jones (montaż odcinków o Brazylii, Jordanii i Meksyku); Sama Santany (montaż odcinka o Peru); Jamesa Coopera (asystent kierownika produkcji); Dana Goldsacka (producent wykonawczy); Simona Arnolda (producent pomocniczy) oraz Michaela Andrewsa (researcher).

AUTORZY ZDJĘĆ (numery stron odnoszą się do wersji drukowanej): RICH

HARDCASTLE



Piramidy: strony 12, 13, 20, 23, 26-27, 29, 31, 34, 37, 39, 40-41, 43, 44-45

Pomnik Chrystusa Zbawiciela: strony 47, 51, 52, 54, 58-59, 73, 77, 80-81, 82-83 Tadź Mahal: strony

84, 85, 89, 92, 94-95, 97, 104, 111, 118-119, 120-121, 114-115 Chichén Itzá: strony 124, 125, 131,

153, 155, 157, 159, 160-161, 163, 164-165 Wielki Mur Chiński: strony 166, 176, 178, 180, 184-185, 188, 203, 204-205 Petra: strony 206, 207, 241, 242-243, 244, 247, 248-249 Machu Picchu: strony 250, 251, 278-279, 281, 282, 283, 288-289, 290-291

FREDDIE CLARE Piramidy: strony 19, 34



Pomnik Chrystusa Zbawiciela: strony 46, 54, 65, 74, 77, 79 Tadz Mahal: strony 92, 99, 100, 111, 113, Chichén Itzá: strony 129, 132, 139, 140, 145, 149 Wielki Mur Chiński: strony 167, 171, 173, 180, 183, 190, 192-193, 194, 200 Petra: strony 212, 215, 221, 225, 226, 227, 234, 236, 241 Machu Picchu: strony 254, 257, 259, 262, 265, 268, 270-271



RAY BURMISTON Wstęp: strony 6, 7

Przypisy

[1] Znany komik z grupy Monty Pythona, ale także podróżnik (przyp. tłum.).

[2] Brytyjski aktor i komik, znany głównie z cyklu „Do dzieła” (przyp. tłum.).

[3] Ang. opóźnienie (przyp. tłum.).

[4] Brytyjski prezenter telewizyjny, pisarz, aktor i satyryk (przyp. tłum.).

[5] Np. w wyrażeniu *in dire straits* — „w poważnych tarapatach”; *in dire need* — „w pilnej potrzebie” (przyp. tłum.).

[6] Od *aggravation* — irytacja, rozdrażnienie (przyp. tłum.).

[7] Ang. ofiara; poświęcenie (przyp. tłum.).

[8] Seryjny morderca z Wielkiej Brytanii (przyp. tłum.).

[9] Harold Shipman — angielski lekarz i seryjny morderca zwany Doktorem Śmierć (przyp. tłum.).

[10] Najślynniejszy brytyjski twórca graffiti, od lat zachowujący anonimowość; znany głównie z tematyki społecznej i antywojennej (przyp. tłum.).